nie 17

PUŁKOWNIK

PUŁKOWNIK

Paryż.—W drukarni L. MARTINET, przy ulicy Mignon, 2.

PUŁKOWNIK

CZYLI

RÓŻNY LOS DWÓCH KOLEGÓW SZKOLNYCH

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

LUDWIKA Z KRZEWIA

[Orpiszewski Henryk]

CZĘŚĆ PIERWSZA.

PARYŻ

W KSIĘGARNI POLSKIÉJ

PRZY ULICY DE SEINE, 20.

1858.

ROZDZIAŁ I.

NOWE POKOLENIE.

Godziny często tak wolno ciekną, a lata tak szybko płyną, że zdawałoby się iż ziemia leniwo się obraca około swojéj osi, ale w przestrzeni bieg jéj niepohamowany. — Nie wiesz czasem jak wieczór zabić, a przy końcu życia, gdy przebiegniesz myślą po pasmie lat swoich, zdaje ci się, że dopiero co nazywano cię młodzieńcem, niedoświadczonym chłopcem, studentem; żeś niedawno przestał igrać przed gankiem wiejskiego domu pod okiem ojca i matki.

Podróż, przewidziane lub nieprzewidziane wypadki oddaliły cię na krótki czas — na lat kilka z okolicy; powracasz, lub spotykasz dawnych

znajomych — co za zmiany! Ta dziewczynka z którą się bawiłeś, która jak młoda i wesoła kózka skakała około ciebie, kłania ci się ze spuszczonemi oczami; zarumieniona patrzy ukradkiem i ciekawie, jak wygląda ów panicz którego nazywała mężem, kiedy on ją na kolanach kołysał? Panicz sobie wyłysiał lub posiwiał; nie tylko *decorum* nie pozwala, ale i chęci nie ma do zabawy z jegomością, bo przytem, (i to właśnie najgorsza,) ztetryczał i znudniał.

A ta panienka nieco starsza — taka ładna, taka zręczna, co tak zgrabnie i wdzięcznie tańczyła mazura, co się unosiła nad Walenrodem i Maryą Malczewskiego, co bujała po niebie myślą i jasnemi oczkami?

Ty sobie to wszystko przypominasz, cieszysz się na spotkanie, myślisz że się nagadasz, nie jedną rzecz opowiesz, którą ona lepiéj zrozumie i uczuje od tylu innych!

Gdzie tam! Roztargniona — ledwie cię słyszy, bo Kazio lub Władzio, Emilka lub Marylka, może w ogrodzie lub na podwórzu guza dostać biegając; biegnie więc i sama za niemi. Gdzie dawna jéj kibić — dawne ruchy — wdzięk dawny?

Tam gdzie i twoje, mój panie, czarne włosy, wesołość, nadzieje, świeżość dowcipu i serca!

To tylko dziesięć lat. — A dwadzieścia? a trzydzieści?

Otoż trzydzieści lat ubiegło — ubiegło szybko, chociaż nie jeden węzeł dla smutnéj najczęściéj pamiątki zawiązany na pasmie życia — od czasu, kiedy pułkownik Prokop Modliborski odwiedził z Kasztelanem kujawskim wuja swego pana Marcina Piwo, w jego dziedzicznéj wiosce łęczyckiéj. — Ileż to zmian od tego czasu! Ani jednego kontusza w okolicy.

Nawet w nieszczęściu krajowem zmiany. Nie Prusacy, jeno Moskale w Łęczycy panują. — Węzeł na pasmie życia za Księztwa Warszawskiego zawiązany, już głęboko zawinięty — zakryty nowszemi nićmi na kłębku; już duch Napoleoński oddawna osądzony za rozruch i rozgłos po kuli ziemskiéj, jak duch pana Marcina Piwo za rozterki i wrzaski w Łęczyckiem.

Zwłoki wielkiego Cesarza tęsknią o tysiąc mil od Europy, a mogiły pana Marcina i pana Sylwestra równają się już prawie z ziemią na cmentarzu o kilka

kroków od miejsca gdzie szabla jednego spadła na drugiego czaszkę.

Co się z innymi dzieje? gdzie się obracają?

Na pasmie tych lat trzydziestu świeżo jeszcze zawiązany węzeł wojny 31 roku, a pod Grochowem, Ostrołęką i Warszawą krew pana Marcina płynąca w Modliborskich i Zorowskich, zapewne obficie się lała!

Kości pana Marcina i pana Sylwestra nienaruszone spoczywają w parafii; lecz kości Modliborskich i Zorowskich, jeśli nie bieleją na polu pobojowisk, spoczywają może nad Janisiejem lub Sekwaną?

Duchy pana Marcina i Sylwestra złączone z duchami ojców, z duchem zacnego Senatora kujawskiego i poczciwéj Starościny — nie snują już nierównych nici doczesnego żywota; ale duch Prokopa może jeszcze związał długie pasmo cierpień i wmieszał swoją nitkę w pasmo, które nowe pokolenie snuje? Może on tęskni jeszcze i dręczy się? Dręczy się może nawet nadzieją upartą i krnąbrną po świecie! Bo nieszczęście jak mina prochowa rozsadza i rozrzuca rodziny polskie po całéj przestrzeni ziemi.

Tu Ewcia Piwówna, *secundo voto*, pani Zorowska wraca z mężem starym majorem wojsk francuzkich i polskich, z córkami i najmłodszym synkiem z kościoła parafialnego do domu. Tarantowate konie — wnuki czy prawnuki owych dawnych, kłusują ciągnąc koczyk nieco podszastany; a tu syn najstarszy téj zacnéj pary, jeśli nie zapomniał wiary ojców, w tejże saméj godzinie słucha zapewne Mszy Świętéj w jakim kościele paryskim, wzdychając do wsi łęczyckiéj, bo on także puścił się w świat z innymi po wojnie 31 roku.

II

Utopiony w mgle i wrzawie — szumiał Paryż. Już dawno słońce zaszło: we wszystkich mnogich latarniach miasta, po wszystkich sklepach światła błyszczą. — Szósta godzina wybiła na zegarach. Powietrze wilgotne, raczéj jesienne niż zimowe, chociaż to na początku Stycznia 1836 roku. Na ludnych ulicach zaledwie po pod domami przejść można. Potrącają, wymijają a nikt nie patrzy na

przechodzących, biegnie jakby wśród lasu. Jedni na obiad, drudzy z obiadu: — tymczasem dwókolne wózki, brzydkie najęte dwókonne landary, pyszne pojazdy, konni kawalerowie — kłusują środkiem ulic krzyżując się i bryzgając błotem na przechodzących i migających jak maryonetki pod błyszczącemi oknami sklepów, które nieprzerwanym szeregiem po dwóch stronach ulicy płyną na prawo i na lewo — w jednę i w drugą stronę miasta, tak że aż oko ginie za niemi w otchłani!

Bo jakaż to otchłań ten Paryż! A jednak ten ruch zewnętrzny, jest tylko niewyraźném drganiem jego fizyonomii nad tem co śmieje się, pracuje, cierpi, walczy i kipi w jego głębokościach.

Tu salony otwarte, liberya czeka przybycia gości na pyszne obiady; kłusują angielskie konie kołysząc w świetnych pojazdach wystrojone damy rozmaitych narodów; po ambassadach, w ministeryach, w pałacach zbierają się przyjacioły i nieprzyjacioły używać razem wszystkiego na co się tylko dowcip ludzki po tylu wiekach na korzyść zbytku mógł zdobyć; a intryga i namiętności, jak siły magnetyczne i elektryczne grają wśród nich niewidomie, i jak po klawiszach instrumentów

lub strunach telegrafu przebiegając — znaczą ognistym charakterem na sercach głoski pychy, chciwości, zakazanéj miłości, połamanéj wiary, strachu, przelotnego szczęścia i zgryzoty. Tymczasem światło kandellabrów leje rzęsiste promienie na twarze, na których prócz grzecznego uśmiechu — nic nie ujrzysz.

W innéj części miasta, zebrane w starym pałacu towarzystwo zasiada do stołu. — Skromniejsze potrawy, szczersze rozmowy, uczucia nieco przeczyszczone umartwieniem. Wielkie staréj monarchii imiona słychać co chwila. Mówią ciszéj, chociaż poufale; służba mniéj nadskakująca, ale z większem uszanowaniem odbiera rozkazy grzeczniéj dawane; jakaś zacność rodzinna i spokojność zasiadła między niemi; ale obok tego coś zdrętwiałego w całem obejściu, jakaś zgrzybiałość towarzyska ziębi. — To jest starzec poważny, na którego szerokiem czole widzisz znaki odżałowanych — w części może i zapomnianych grzechów młodości.

Między jednych a drugich pałacami, lśnią nowe salony zbogaconych kupców, fabrykantów, ban-

kierów; tam dusze jak zabłąkane światełka błyszczą wśrod materyi która je dusi.

Daléj gorzéj : pootwierane kawiarnie i gospody, gdzie starzy rozpustnicy cisną się nie mając rodziny ani domu do odetchnienia po dniu rostargnionym, i przepłacają zbytek, chcąc nim próżność i czczość życia zapełnić. Obok nich przy małych stoliczkach wprawiają się przybyli z prowincyi albo z obcych krajów panicze, do marnowania majątku, zdrowia, uczuć — zgoła całego życia!

Zanurz się głębiéj w paryzką otchłań — w czeluści biedniejszych i ciemniejszych ulic : — co tam nieznajdziesz? Tu zbójca czyha na ciebie; tu zgłodniała mierność zaczerpnąwszy trochę nauki w tysiącznych zakładach dziesięciowiecznéj cywilizacyi, odwdzięcza się spiskiem mającym tęż samą cywilizacyą pochłonąć.

Daléj — przechodzisz koło muru — długiego, czarnego, smutnego gmachu; przez okna, widać w głębi sal pozawieszane latarnie : — to szpital. I tam promień chociaż mniéj jaskrawy, mniéj rzęsisty oświeca twarze — twarze wybladłe, drgające bólem, konające. Przy nich — w rogu łóżek stoją w szarych sukniach niewiasty, czyhające także

na dusze wędrowne, ale żeby im ulżyć w wszelkiego rodzaju cierpieniach i jeśli można wysłać w końcu z téj otchłani paryzkiéj ku niebu.

Ach bo w téj stolicy Świętego Ludwika są także i święte rzeczy — i święci ludzie! bo ten drugi Babilon jest i drugim chrześciańskim Rzymem.

Oto patrz — w tym ogromnym domu, nad sklepami i magazynami dolnych sal; nad świetnemi pierwszego piętra salonami jakiegoś przedsiebiercy obracającego dziesiątkiem milionów; nad drugim, trzecim, czwartym wreszcie piątrem — napełnionemi rozmaitego rodzaju i narodu ludźmi goniącymi za uciechą lub zyskiem; pod samym strychem, w małym pokoiku, przy bladéj lampie, siedzi przy stoliku obtulony płaszczem dwudziestoletni młodzieniec, zanurzony w papierach i księgach. — To przyszły Lacordaire lub Ravignan, który za kilka lat grzmiéć będzie z kazalnicy, i zbudzi z letargu katolicką Europę; to może Guizot lub Vilmain, Dupuytrin lub Leverrier, który ze środka tego chaosu — téj otchłani ciemności i iskier — rzuci światłem nauki w całe przestrzenie świata.

Bo Paryż jest ogromne laboratoryum dobrego i

złego — światła i przesądów — poświęceń i namiętności; punkt w którym ostateczności się stykają; — otwór przez który najmocniéj Rzymskie źródło bije, obok pieczary łyskającéj ogniem piekielnym.

Słyszysz jak tam muzyka grzmi w téj obszernéj sali? Zgiełk u wnijścia : — żandarmy z bronią, w wysokich stosowanych kapeluszach jak karyatydy po dwóch stronach bramy stoją pod płonącemi latarniami, pilnując tego kotła warzącego rozpustę, żeby na ulicę nie wykipiał; a w sali skaczą pstre maryonetki, opętane dusze. Małe djabełki, czarniutkie, z różkami, w stusowanych także kapelusikach siedzą po gzymsach kolumn otaczających salę; cienkiemi nózkami kiwają nad skaczącą zgrają, koncepta sobie gadają — dowcipkują. Czasem jeden do drugiego przeleci, czasem jeden drugiego z wesołości czubi. — Tymczasem muzyka na chwilę zwolniała, dysząca zgraja pstrych maryonetek ustała w piekielnéj galopadzie, djabełki umilknęły — spojrzały na dół, czubiący się zatrzymali w wesołéj gimnastyce. W tém jeden z nich gwizdnął, drudzy poprawili bijąc tyłkami po gzymsach, skacząc i klaszcząc — muzyka hu-

knęła polkę i maryonetki rzuciły się do tańca. — Uciekaj czemprędzéj stamtąd! .

Patrz daléj : o parę set kroków na tejże saméj ulicy, gdzie przerwany ciąg świateł magazynów i sklepów : — w tym rogu nieco wklęsłym, ciemnym, kilka marmurowych, długich schodów prowadzi do wpółuchylonych szerokich drzwi; nad niemi błyszczą okna bladawo, a wysoko w ciemnościach powietrznych sterczą dwie wieże. — Ludzie cicho wchodą i wychodzą : — ciemno ubrane kobiety — pochyłe starce. Czasem z karety wyskoczy żywo młoda pani i zginie między kolumnami. Tam — w głębi — ukaże się ona znowu przed ołtarzem, zanurzona w myślach — chce się otrząsnąć z atmosfery światowéj zaczynającéj przyduszać w niéj powoli poczciwe i niewinne uczucia, wyniesione z rodzinnego domu; — a tu obok — wstaje od konfessionału młody człowiek, ze łzą w oku, wzruszony, szczęśliwy że przejrzał zanim młodość minęła. Dziwi się, że nie tylko lżéj mu na sercu, ale że zarazem jakaś jasność oświeciła jego umysł; że nagromadzone wiadomości zaczęły porządkować się w głowie jego; że nie jeden hieroglif roztworzył się i pokazał myśl dotąd dla

niego zamkniętą, a nie jedno zaś dumne, niby nowe mniemanie, stanęło przed okiem martwym trupem — leżącym na starym błędzie.

Szósta godzina wybiła na zegarach. Dwókolny wózek, bryzgając błotem, pędził ulicą Richelieu ku Sekwanie. Koń zwolniał nieco wstępując na wypukły grzbiet królewskiego mostu. Młody mężczyzna, już jednak więcéj trzydziestu lat mający, siedząc obok woźnicy i trzymając ładną laseczkę w ręce, któréj obcisła biała rękawiczka mimo elastyczności swojéj, ledwie ugiąć się pozwalała — rzucił okiem na lewo:

Jasne latarnie po dwóch stronach Sekwany odbijały się w szumiącéj wodzie; trzy mosty rzucone w poprzek rzeki, migały ruchomemi światełkami krzyżujących się po ich powierzchni powozów. Daléj, w głębokościach Paryża, za nowym mostem, ponura massa wyspy z wyglądającą z po za niéj czarną katedrą, usiadła wśród sławnéj rzeki, która ścisnąwszy ją we dwa ramiona, rozbija się na dwie odnogi i ginie jak między czterma skał ścianami, między czterma rzędami wysokich, pogarbionych od starości, świecących po mnogich piętrach migającemi światełkami — domów.

Kabryolet wstąpił wolno na sam grzbiet mostu, i stoczył się żwawo między arystokratyczne ulice lewéj strony miasta. — Wkrótce przed bramą pięknego gmachu szeroko otwartą zatrzymał się nieco, żeby wypuścić parę świetnych karet z zapalonemi latarniami wolno opuszczających podwórze, i zatoczył się nareszcie przed schody błyszczące w głębi dziedzińca. — Młody mężczyzna wysiadając z kabryoletu, okiem jeszcze zachwycił jasną suknię wchodzącéj damy na pierwsze piętro; i niedługo sam także przebiegając schody i obszerne przedpokoje pałacu państwa B....., pokazał się u drzwi salonu, których dwie połowy otworzyły się nagle i jego imię — « hrabia Wacław » — rozległo się wymówione donośnym głosem francuza lokaja.

Piękna kibić, włosy jasne ułożone sztucznie; regularne rysy twarzy, ruchy łatwe, przyjemne; strój wytworny ale nieprzesadzony i dobrany z miarą i trafnością człowieka umiejącego się ubrać. — Hrabia Wacław był synem Wojewodzica i Tekluni. Ktoby znał był dawniéj Stanisława, a w téj chwili zapomniał o epoce w któréj jesteśmy, mógłby się prawie omylić tak syn podobny do

ojca. Ten sam uśmiech, te same ruchy, ten gest wytworny i arystokratyczny. — Jeżeliby jaka była różnica, to że u syna jest coś drobniejszego i mniéj nakazującego w obejściu się i postawie. — Poznawszy bliżéj Wacława, możnaby nawet znaleźć, (mimo odmian które czas — mięszając interesa i wypadki — narzucił ludziom,) tenże sam kierunek myśli, tężsamę chuć znaczenia i rozgłosu przez arystokratyczno-liberalną popularność.

Nim jednak zapuścimy się z młodym panem w salon paryzki, zobaczmy pierwéj co się z rodzicami jego stało. Tyle lat i tyle wypadków! Jakież tam muszą być odmiany?

Wojewodzic Stanisław, syt świata bo nim zupełnie znudzony, od kilku lat już nie żył. Właśnie po rewolucyi Lipcowéj z Wiednia powrócił chory z Wacławem na Wołyń. — Nie miał ani z kim, ani ochoty rozprawiać o polityce. — Odzywał się tylko z niespokojnością i gniewem, kiedy pogłoski o mogącem nastąpić powstaniu w Polsce czasem się rozchodziły. — Lecz go nie doczekał — tego zatrważającego powstania, schorzały Wojewodzic. Skończył na sześć tygodni przed 29 Listopada. —

Ksiądz był przy łóżku, kiedy ducha oddawał — do spowiednika tedy i do Boga sąd o nim!

Teklunia — raczéj pani Stanisławowa, przykładna żona przez cały ciąg smutnego małżeństwa, ze łzami w oczach odprowadziła męża do grobu, i po skończonym pogrzebie zamknęła się z jednym z dwóch synów i jedyną córką w obszernym zamku wołyńskim, szerokiemi włościami męża oddzielonym niejako od reszty świata.

Ale nie Wacław został był przy pani Stanisławowéj. Wacława popędziła do Warszawy taż sama chuć niespokojna, która była ojca jego z za granicy do Polski przywiodła, kiedy naród do czteroletniego gotował się sejmu. Przy pani Stanisławowéj został był syn starszy od Wacława, mniéj lubiony od ojca, lecz za to przywiązany więcéj do matki.

Lecz wkrótce powstanie wybuchło. Pani Stanisławowa, takich samych co za młodu uczuć patryotycznych, z rozdartem sercem pobłogosławiła ukochanemu synowi do boju. — Błogosławieństwo niestety! było zarazem ostatniem pożegnaniem. Syn ów zginął na wojnie!

Nieszczęśliwa matrona jednocześnie prawie i

męża i najstarszego a szczególnie ukochanego syna i kraj opłakiwała. A choć Wacław, faworyt ojca, mniéj był czułym dla matki, mniéj zasługiwał na jéj przywiązanie; jednak i jego oddalenie przymnażało smutku; smutku tém dotkliwszego, że widziała w nim wady ojca, rosnące i rozwijające się z wiekiem; że lękała się co raz więcéj, aby dowcip jego — dziś przyczyna próżności i pychy, nie zaprowadził go po zawodach niechybnych w życiu każdego — na bezdroża w ślad ojca.

Tak po smutnem życiu Tekluni, wrota do smutnéj otworzyły się starości. Córka tylko — poczciwa — i wiele ciotkę swą, tegoż samego imienia, przypominająca Zosia, cokolwiek osładzała zgryzoty.

III

Powróćmy teraz do paryzkiego salonu, w którym rozległo się imię hrabiego Wacława. Pani domu powstała na jego przyjście. — Była to czterdziestoletnia osoba. Wysoka jéj, lecz nieco pochyła

postawa, tak nieujmowała wdzięku jéj ruchom, jak szerokie wiadomości, nie przeszkadzały łatwości w rozmowie i zabawie. — Sąd trafny, jeśli na chwilę nieskrzywiony żywością uczuć — co się czasem zdarzało. — Oko jasne i pełne intelligencyi — nawet słodyczy jeśli niezaiskrzone przelotném uniesieniem, było szczerem zwierciadłem jéj duszy wysokiéj i czułéj — ale niestety! niecierpiącéj wędzidła. — Bystra w poznawaniu ludzi, choć lubiła towarzystwo wytwornych i świetnych, przyjaźnią zaszczycała tylko zacnych — a skromną intelligencyą lub szczere serce wyśledziła często w zakącie salonu i zachętą a grzecznością wyprowadziła na szerszą scenę. Każdą niesprawiedliwość świata dla niesłusznie poniżonych umiała uczuć i chciała naprawić o ile można i nagrodzić. Nie ze zwyczaju, ale z głębokiego uczucia i po mnogich poszukiwaniach mocna w wierze i rozumiejąca cały sens i naturę katolicyzmu, choć niezawsze dość silna przeciw napadającéj pysze.

Powstała na przyjście Wacława i przyjęła go grzecznym ukłonem i uśmiechem, ale w tejże saméj chwili rzuciła okiém na młodego polaka, który w zapiętym czarnym fraku, rozmawiał

w rogu salonu z jéj synem, żywym bardzo francuzikiem, w nieco zaniedbanym przez sowizdrzalstwo stroju.

Salon jéj był jednym z tych nielicznych w owym czasie w Paryżu salonów, gdzie można było napotykać emigrantów polskich. Gospodyni domu miała zbyt niepodległą, zbyt wysoką duszę, a mąż jéj był zbyt zacnym, chociaż miernych zdolności człowiekiem, żeby mieli dla przypodobania się ambassadorom północnych rządów, unikać Polaków. — Już też trzecim był Wacław rodakiem naszym między przybyłymi na obiad gośćmi, a zaledwie kilka minut przeszło, drzwi się dla czwartego otworzyły polaka.

Nie jeden ale różne są typy w każdéj sferze towarzystwa i w każdym narodzie na świecie. — Nowo przybyły do salonu Polak, inną miał postać, inne ruchy, odmienny ubiór od Wacława; więcéj prostoty, frak zapięty, chustka na szyi czarna, od niechcenia chociaż gładko zawiązana, bóty nielakierowane, ukłon krótki i szybki — coś wojskowego w postawie; a jednak i w ruchach i ubiorze tak wyraźny panicz jak i hrabia Wacław. Bo też Alexander był bliskim krewnym Wacława: przodkowie obydwóch równi byli imieniem, majątkiem i znaczeniem. Lecz Wacław broni socyalistów i śmieje się z katolików, których w massie Jezuitami nazywa; Alexander zaś — surowych obyczajów młodzieniec, wierzy że jak religijno-moralne znaczenie Polski w składzie europejskim między schyzmą i protestantyzmem jest tylko pod chorągwią Oleśnickich, Hozyuszów i Sobieskich; tak do znaczenia politycznego może tylko ona wrócić szanując zasady *władzy* i *wolności*, równie deptane przez zbrodnie rewolucyjne despotów północnych jak demagogów południowych.

Tak jest: Alexander rozumiejąc jako szczery katolik, że *wolna wola* człowieka nie ginie, ale się nazywa *dobrą wolą*, w człowieku który sam z siebie i z przekonania szanuje Boga i Kościół: — rozumiał także, że mądre uszanowanie władzy, nadaje charakterom godność, zacność i męztwo obywatelskie, a zapewnia siłę narodom i broni je od niewoli z góry czy z dołu idącéj, przez koronowanych czy też przez ulicznych narzuconéj przywłaszczycieli.

Wacław zaś piękny i bystry panicz, rzucał jak piaskiem w oczy, liberalnemi słowami, bawił się

oburzeniem, które one sprawiały między konserwatorami paryzkiemi; cieszył się popularnością u demagogów polskich niezawodnie mniéj dowcipnych od niego, a w gruncie — drwił ze świata i ludzi.

Gospodyni domu równie uprzejmie hrabiego Alexandra jak Wacława przyjęła; zatrzymała się nawet nieco dłużéj rozmawiając z nim na środku salonu, a zacny gospodarz odłączył się od grona francuzkich polityków i przybiegł także go powitać. — Wacław tymczasem podawszy od niechcenia rękę krewnemu, zakręcił się po salonie, zlekka kiwnął głową przechodząc obok syna państwa B... a udał że młodego rozmawiającego z nim rodaka nie spostrzegł i usiadł między dwoma damami obracającemi się z wyraźną uciechą ku niemu. Niedługo wdzięczne oburzenie, wznoszenie oczów do góry, i rozmàite gesta ostrzegły przytomnych, (a ciekawi są wszędzie,) że rozmowa przybrała tok zwyczajny między pięknemi legitymistkami, od jakiegoś czasu przyswojonemi do nowéj dynastyi przez interes mężów, a świetnym paniczem, który dowcipnie i wymownie uczył te panie czytać w księdze przyszłości, i jakim sposobem na korzyść

rodu ludzkiego miały ich wszystkie perfumy arystokratyczne wywietrzeć. Kłótnia wcale nieprzykra, bo Wacław dowcipny, a francuzki przymilonemi oczkami starały się zmiękczyć srogość i nieugiętość przyjemnego rewolucyonisty.

Tymczasem pani B... już kilka razy zwróciła lorynetkę na zegar stojący pod wielkiem zwierciadłem na kominku. — Już w pół do siódméj, a jeszcze nie wszyscy zebrali się goście. Z niecierpliwiona, obróciła parę razy lorynetką w ręku, spojrzała po salonie, jakby dla przekonania się, ktoby tak kazał czekać na siebie i przybrawszy znowu uśmiech obojętnie grzeczny, przybliżyła się do dam siedzących na kanapie.

Alexander pomówiwszy z gospodarzem domu, obrócił się do jego syna, a widząc o parę kroków młodego rodaka w czarnym zapiętym fraku, przywitał go także i serdecznie uścisnął za rękę. Potem wmięszał się w grono francuzkich polityków.

Syn zaś Gospodarza chciał wrócić do młodego polaka którym wyraźnie więcéj niż innymi gośćmi się zajmował; ale czwarty w salonie już od jakiegoś czasu znajdujący się nasz rodak, zatrzymał go na środku i zaczął z nim mówić. Kto on był? niewia-

domo. — Zkąd miał pieniądze? i tego ciekawi ludzie nie mogli się z pewnością dowiedzieć. Kto go nauczył dość zręcznie grać rolę panicza? i oto pytano daremnie. — Każdy z tułaczów polskich w owym przynajmniéj czasie, miał znajomych — to sąsiadów ze wsi, to kolegów ze szkół lub wojska. O tym zaś jegomości nie można się było nic dokładnego dowiedzieć.

Ale ładny chłopiec, zgrabny, elegant, wcisnął się do angielskich towarzystw, gdzie go za doskonałego « *gentelman* » ogłoszono. Tam zabrał znajomości z francuzami i z nimi przeszedł do salonów paryzkich.

Jedna rzecz troszkę mu nie na rękę była : nie lubił spotykać rodaków. Wprawdzie zazwyczaj bardzo był dla nich grzeczny; chociaż gotów także dla utrzymania w świecie zdobytego położenia, strzelać się na zabój, jeśliby kto probował wysadzić go z téj fortecy salonów, nie tak łatwéj do stracenia, jeśli pod opieką pięknéj płci trzymanéj. Komuż się wreszcie ścigać chciało biedaka na nie swoim gruncie? Kręcił się więc po Paryżu, nim sam nie zginął, Bóg wie gdzie? i nikt się więcéj o niego nie pytał.

Zaproszony na dzisiejszy obiad, gdzie nie było ani Anglików ani znajomych jemu Francuzów, nie wiedział do kogo się przyplątać! — Nie mając ochoty stać ciągle jak kołek sam w kącie, zatrzymał młodego gospodarza domu na środku salonu i zaczął z nim rozmowę o ostatnich kursach końskich, z taką fantazyą jakby miał stajnie pełne nad Dzwiną lub Dnieprem, nim mu je za patryotyzm nie zrabowano. — Tymczasem dwunastoletnia blondynka, córka gospodarzów, prosta jak świéczka, wygadana jak prawdziwa paryżanka, przybiegła szczebiotać do młodego polaka w czarnym fraku, wyraźnego faworyta całéj rodziny.

Któż on jest? zapyta nareszcie czytelnik.

Jest sobie poprostu pan Karol Zorowski, syn pana majora Zorowskiego, i pani Ewy z domu Piwównéj, Ślesińskiéj, *primo*, a Zorowskiéj *secondo voto*.

Wychowany do dwunastego roku życia u rodziców, w dawném dziedzictwie pana Marcina Piwo, odbył szkoły w Płocku, i kończył uniwersyteckie nauki w Warszawie, kiedy powstanie listopadowe wybuchło. — Przeszedłszy przez proby gwardyi honorowéj utworzonéj ze studentów i akademi-

ków, służył przez cały prawie czas wojny w pułku jazdy, którym wuj jego Prokop Modliborski dowodził. — Bił się jak każdy, a po skończonéj kampanii, nie dokazując po Niemczech, spieszył do Francyi i dostał się choć nie bez trudności do Paryża, żeby uczęszczać na kursa i kształcić się daléj.

Poczciwa matka i ojciec który w części przez przywiązanie do żony, kilku córek i najmłodszego synka; w części z przyczyny ran odniesionych i zrujnowanego zdrowia, wrócił po wojnie do chaty łęczyckiéj — gospodarowali jak mogli, żeby Karolowi trochę pieniędzy dosyłać. To zrobiło, że przybywszy do Francyi, Karól nie rzucił się do zarobku, jak tylu innych młodych jego towarzyszów, jedynie dla zapewnienia sobie kawałka chleba. Położenie z jednéj strony szczęśliwe — miało także i swoją złą stronę. — Nie oddał on się bowiem jednéj z tych prac niewdzięcznych, które zmuszały wielu do obcowania z lichszą i samolubną klassą francuzów i rozwijały u nich pojęcia ciasne, negatywne, tak pod względem religijnym jak politycznym; u których nawet wypoczynek po takich pracach w gęstéj atmosferze kawiarni, nad dziennikami, nie był korzystnym dla duszy; i owszem — do reszty zasklepiał im rozum, i przyduszał wiele zarodków pielęgnowanych w rodzinnych domach, a mających kiedyś na pociechę kraju dojrzeć. — Pamięć poczciwych Zorowskich nie zapominających o losie syna, uchroniła Karola od takiéj śmierci moralnéj, ale też zapewnienie małego dochodu odwróciło go od przedsiewzięć praktycznych, w których jędrniejszego charakteru młodzieńcy, przetrwawszy kilka lat biedy, znaleźli czasem usposobienie chwalebne i korzystne na przyszłość.

Może też dusza Karola więcéj do czysto-moralnych, niż do praktycznych zatrudnień zdolna, przyrodzonym popędem, wpadła na inny trop, wzięła właściwszy sobie kierunek?

Jakkolwiek bądź, Karól — uniknąwszy zatargów i chaosu po zakładach, gdzie rząd francuzki po kilkuset emigrantów, jakby naumyślnie, żeby się w sosie swoim dusili i warzyli — przez jakiś czas trzymał; wolny i niepodległy, bez oznaczonego zatrudnienia, czerpał wiadomości na kursach, po bibliotekach i w pracy domowéj; a wprowadzony do domu, gdzie go dzisiejszego wieczora spotykamy,

przez młodego swego przyjaciela a syna gościnnego gospodarza, wszedł w dobre towarzystwo paryzkie, gdzie wiele nauczyć się i wiele mógł doświadczenia nabrać.

Matka jego przyjaciela zrozumiała szczerość i prostotę serca młodego polaka. Ujęły ją czyste uczucia bez cienia samolubstwa, skromność i jakiś rodzaj nieśmiałości, mimo okazanéj na polu bitwy odwagi. Był to dla niéj przyjemny, wśród eleganckich stolicy ogrodów nieznajomy kwiat polny, pełen świeżego zapachu i miłéj barwy. — A że dusza jéj znakomita i zacność dalekiemi były od podszeptów swawoli; uczuła dla niego przyjaźń, ale przyjaźń starszéj siostry lub matki, i narzuciwszy mu niejako opiekuńcze swoje starania, podniecała w nim szlachetne usposobienia i przez parę lat nie dała wyskoczyć kołom jego woza z kolei moralności i cnoty. Przy wielu innych wiadomościach, głębsze pojęcie wiary odznaczało tę dostojną matronę, i Karól — w jéj przyjemnem i korzystném towarzystwie przypominając sobie powoli nauki domowe, zapomniane po części wśród huku wojny, wszedł wkrótce w grono młodzieży, która zerwała z tradycyami negacyjnemi

ośmnastego wieku i stanęła wśród hufców katolickich odradzającéj się religijnéj Europy.

Są ludzie, którym się dotąd zdaje, że każdy francuz jest tylko metrem tańca, a każda francuzka zalotnicą. — Najstarsza Monarchia katolicka miała zawsze i dzisiaj ma równie poważnych mężów i równie gruntowne kobiety w nauce i obyczajach jak gdziekolwiek; a jeśli się trafi na dobre towarzystwo ludzi tego narodu, to znajdzie się u nich więcéj jeszcze jasności, sądu i czynności w umyśle, niż gdzieindziéj. Karól wiele był winien tym zacnym przyjaciołom swoim w Paryżu, oprócz niemałéj pociechy dla tułacza, że miał dom otwarty, gdzie go kochano i szanowano, a radami, zachętą i opieką w towarzystwie wspierano. — Wiele on znakomitych ludzi w tym gościnnym napotykał domu, wiele rzeczy tam słyszał i z innego punktu nauczył się na nie pozierać, niż mnóstwo jego mniéj szczęśliwych młodych towarzyszów, zamkniętych, dla braku znajomości, funduszów i rodzinnego życia, w ciasnem kółku koleżeńskiem, jak w falansterze jakim, i spoglądających na świat przez fałszywą pryzmę dzienników i własnych przywidzeń.

Wkrótce i znakomitsi polacy zauważali młodego ziomka. Między innymi Alexander okazywał mu za każdą okolicznością szczerą przyjaźń i szacunek. Co Wacław? ten go z góry traktował, tak jak ojciec jego wojewodzic traktował był niegdyś wuja jego, Prokopa Modliborskiego u pani Starościny na Kujawach.

Mówią że czasem odgadują się dusze zobopólnie, i ztąd pociąg lub wstręt od pierwszego wejrzenia. — Całe rody są ci czasem przeciwne i odpychające.

Czy przyczyna tego leży w tajemniczéj historyi domów? — czy w przeczuciach przyszłości?

Pani domu już po dziesiąty raz wzięła się do lorynetki i spojrzała na zegar. Może jakiś deputowany, lub urzędnik, lub minister się spóźnia? Ważne sprawy nie pozwoliły mu na naznaczoną godzinę z drugiéj strony Sekwany przyjechać. — Może też udaje, co się czasem zdarza, że bardzo zatrudniony, a tymczasem nowy romans wygodnie przy kominku w aksamitnym szlafroku kończy. Może jaki impertynent młodzik, nadużywa wysokiego położenia swego w hufcu lwów, czyli królów mody na tę zimę, i każe czekać starym

jenerałom i parom nim zabłocone suknie, powróciwszy konno z Bulońskiego lasku, na obiadowy ubiór nie zmieni?

Aliżci koła znowu zaturkotały na podwórzu. Gospodyni domu spójrzała przez lorynetkę na zegar: trzy kwadranse na siódmą. — Drzwi podwójne się otworzyły: « kontessa Kukowska » zawołał lokaj, i pokazała się kontessa z córką swoją panną Cecylią. Musimy zaraz wymowę lokaja francuza poprawić, któremu przez gardło na żaden sposób polskie « Ch » nie mogło się przedrzeć. — Jest coś w organizmie języków francuzkich, co im nie pozwala — nie tylko naszych ale i żadnego innego narodu wyrazów i nazwisk jak się należy wymawiać. Włoskie tony zapewne nie są od francuzkich twardsze, a jednak Włosi mnóstwo słów i imion niemieckich i słowiańskich dobrze wymawiają, któreby udusiły francuza, gdyby się uwziął na ich wydobycie z siebie. Na co się też zazwyczaj — zapewne przez ostróżność — nie puszczają. Powyżéj więc wymieniony lokaj, zrobił z kontessy Chuchowskiéj, kontessę Kukowską. Nie wiemy, czy wszedłszy w grunt rzeczy, ważna istotnie zaszła, przez tę zamianę tonów, pomyłka. — To

tylko pewna, że nasza pani mocno się martwiła, iż lokaje Francuzi kukali na nią po salonach paryzkich.

Kontessa wystrojona nie po parafiańsku — wcale nie! — Nosząca suknie, szale, koronki, bransoletki i t. d. i t. d. nie niezgrabnie — wcale nie! ale zupełnie tak jak na damę znającą dobrze świat stolic europejskich przystoi, ukazała się w salonie. — Jeśliby jéj co zarzucić można było, to może cokolwiek przygrube rysy twarzy i zbyt częste poprawianie stroju. — Ręka nie wiedzieć po co, często znajdowała się koło loków. Jakaś niepotrzebna uwaga raczéj na to co się na niéj, niż na to co się koło niéj działo, mogłaby nastręczyć myśl płochą, że bywały długie, kilkoletnie przerwy między jednem a drugiem spędzeniem zimy w Paryżu lub Wiedniu. Przerwy umilone wprawdzie sielankową swobodą w okazałym dworze na wsi wołyńskiéj, podolskiéj, ukraińskiéj lub nawet litewskiéj, w pośród dostatku i cześci. — W Wielko lub Małopolsce nie tyle pieniędzy. — Pani Chuchowska zapewne nie z tych ostatnich stron *pochodzi*.

Córka jéj, Cecylia, wydawała się być wcale dorze-

czy panienka. Kibić wysmukła — zgrabna; ukłon wdzięczny, usteczka przyjemne, oko żywe, jakieś ach! ciągle na wylocie. — Zgoła, wcale przyjemna młoda osoba. — Karól zaczerwienił się mocno na ich przyjście. — Alexander ukłonił się uprzejmie zdaleka, a Wacław przebiegł przez cały salon i jeszcze był o dwa kroki od kontessy, kiedy ta wyciągnęła poufale rękę do niego. — Panna Cecylia dygnęła ceremonialnie. W tejże saméj chwili syn gospodarza śmiał się żartobliwym sposobem szepcąc Karolowi do ucha, a pani domu zwróciła ukradkiem lorynetkę ku niemu.

Aliżci po ostatni raz otworzyły się drzwi salonu i wszedł wolno — jakby na palcach młody elegant francuz, w białéj chustce na szyi chociaż wówczas tylko starzy je nosili; w białéj kamizelce, wyraźnie przez własny wymysł i chęć odróżnienia się od innych śmiertelników, ze stojącym kołnierzem, co było także grzechem przeciw modzie. — Włosy utrefione — wygładzone spadały z tyłu głowy w pierścieniach. Pończochy jedwabne i trzewiki leciutkie. Stąpał jakby po szklanych klawiszach, a kapelusz i cieniutką laseczkę niósł w ręku, jakby jakie świętości. — Typ, zdaje się wymuskanego

młokosa silącego się jedynie na to, aby miano drwić z kogo w salonie; o niczem innem nie myślącego i nie umiejącego myśleć tylko o kamizelkach i wieczorkach; młokosa który zapewne i romansować nawet nie potrafi, bo panny biorą takiego panicza za przebraną lalkę i zbywają szyderczym uśmiechem.

Jednak pani domu obróciła się żywo ku niemu i przywitała z pewnem uszanowaniem — a przynajmniéj wielką grzecznością. —Karól żeby przerwać żarciki młodego przyjaciela, pobudzone rakiem spieczonym na widok panny Cecylii, a wcale mu nie do smaku w téj chwili — zapytał.

— Co twoja matka tak się nisko kłania temu wylizanemu paniczowi? To musi być jakieś zero podszyte wielkim tytułem albo majątkiem?

— Oto wasze przesądy patryarchalne! U was zapewne każdy człowiek czynny i zdolny, musi chodzić jak Derwisz turecki z powagą. Ty kochany Karolu już sam na Derwisza albo Muftego wyglądasz. — Brodę zapuszczasz, a stąpasz i kłaniasz się jak ksiądz egipski za czasów faraońskich — albo jakby stu senatorów rzymskich godność na twojéj

głowie ciężyła. — Jużem ci nieraz mówił, i matka moja ci powiedziała, że to troszkę zabawnie.

— Przecięż poprawiłem się już w części; odrzekł z uśmiechem Karól.

— Jeszcze nie dosyć.

— Ale takiéj miny, jak u tego panicza, zapewne mi nie życzysz?

— Prawda że oryginał: wymuskany i przesadzony. Lecz jednak omyliłeś się na nim niepomału, mój kochany Karolu. — Tą razą matka moja nie przed złotym cielcem, ani przed tytułem pokłoniła się, ale przyjęła grzecznie człowieka mającego niepospolity rozum i znaczenie w świecie rządowym.

— Toć to młokos jeszcze?

— Starszy niż myślisz, bo już przeszło lat trzydzieści liczy. Nie jest ani bogaty, ani żaden książe; lecz należał czynnie i z wielką odwagą do rewolucyi Lipcowéj. Po wstąpieniu na tron dzisiejszego króla, mianowany został prefektem na południu Francyi, w departamencie, gdzie jedna połowa ludności była republikancka, a druga legitymistoska. Położenie trudne i przykre; młody prefekt okazał na téj posadzie tyle taktu, energii i

talentu, że po kilku latach dostał w nagrodę wysoki urząd w Paryżu. Dziś, oprócz urzędu, został jeszcze wybrany na deputowanego przez współobywateli swego miasta, jest w ścisłéj przyjaźni z pierwszym ministrem państwa i w ogóle ma wiele wpływu u rządu. Od niego wiele zawisło. I wystaw sobie kochany Karolu, że zawsze ma czasu dosyć na wszystko — i na interesa, i na elegancyą i na umizgi.

— Ale zapewne nie bardzo się podoba damom.

— Dlaczego?

— Przy takich śmiesznych minach trudno żeby.....

— Trudno się podobać? A ba! Jak się panna dowie, że zostawszy jego żoną, można bywać wszędzie — po ambassadach, w ministeryach — na dworze; że wszyscy nadskakiwać jéj będą żeby na względy u męża zasłużyć — mój kochany Karolu — nie byłaby paryżanką żeby..... A chwała Bogu! już przecię na obiad dają! To wyrzekłszy młody francuzik widząc, że lokaje drzwi do sali jadalnéj otwierają, porzucił Karola i wyskoczył na środek, gdzie matka jego podawszy rękę jenerałowi Bugeaud czekała póki wszystkie panie wsparte

—41—

ROZDZIAŁ II.

KAROL.

na ramionach mężczyzn tych których sama o tę grzeczność prosiła, każdemu z osobna naznaczając jednę z dam przybyłych, za gospodarzem prowadzącym najdostojniejszą z nich — przez próg salonu nie przejdą. Karól nieśmiało — niby nie chcący przybliżył się do kontessy Chuchowskiéj i skłonił się przechodząc. Lekkie kiwnięcie głową i « bon jour » dostało mu się w odpowiedzi. Za to panna Cecylia bardzo uprzejmie dygnęła i śmiejące się oczki obróciła ku niemu.

Przy stole młoda poleczka znalazła się między dwoma przyjaciołmi — Karolem i młodym francuzikiem. Wiek, a może ciekawość lub dobra wola gospodyni były przyczyną, że kartka z nazwiskiem Karola znalazła się tuż obok kartki Cecylii. Francuzik bawił sąsiadkę wcale dowcipnie; ona jednak częściéj obracała się do Karola, i rozmowa po polsku szła jeszcze lepiéj. Wprawdzie wzrok pani Chuchowskiéj, zmieszał czasem mowę biednemu chłopcu, ale córeczka nic nie uważała na mamę, i prawiła jak kołowrotek.

Za takim kołowrotkiem jak nie ma snuć się nić rozmowy? Karól nabierał coraz więcéj odwagi i

przy końcu obiadu już zupełnie o wzroku pani Chuchowskiéj zapomniał!

Oprócz przezornéj mamy, trzy jeszcze były osoby uważające na młodą parę. Lorynetka gospodyni domu nieraz się w ich stronę zwróciła, a Wacław i Alexander kilka razy mrugnęli na siebie.

Nareszcie obiad się skończył. Goście przeszli do salonu na chwilę. — Istotnie na chwilę tylko, bo wkrótce po kawie, a nawet nim kawę przyniesiono, mężczyzni ukradkiem jeden po drugim się wymykali — a kobiety także nie dłużéj bawiły.

Kontessa jedna z pierwszych opuściła salon. Właśnie w tejże saméj chwili Karól schwycił także za kapelusz; ale gospodyni domu wracając ode drzwi, dokąd była odprowadziła tę panią, złowiła go na przesmyku i zatrzymała mówiąc:

— Gdzież tak spieszno? Czy na operę?

— Nie, pani. Zapewne pójdę do domu.

— To możesz pan trochę dłużéj z nami zabawić! Te panie jadą na operę, inni spieszą na bal do ambassady angielskiéj. Jeżeli pan nie ma co lepszego robić, to zostań z nami pół godzinki — proszę.

Kiedy to mówiła gospodyni do Karola, Alexander i Wacław przesunęli się z tyłu za nią i prysnęli na miasto bez pożegnania.

Na podwórzu jednak, spotkali jeszcze siadającą do karety kontessę. — Obróciła się do nich i zapytała z grzecznością czy nie będą tego wieczora na operze. Alexander odpowiedział że nie, a Wacław obiecał przyjść na chwilę i oddać jéj wizytę w loży. Cecylia mu była wpadła w oko. U pani B... nie mógł się był do niéj przybliżyć. Chciał powetować straty.

Kareta odjechała. Wacław dobył cygarniczki i dając jedno doskonałe cygaro krewnemu, chciał go zabrać z sobą do kabryoletu.—Alexander odmówił.

— Chcę się przejść trochę po obiedzie. Całym dzień w domu siedział.

— Bóty zamoczysz bez potrzeby.

— Ah! to tęgie bóty: nic im nie będzie.

— Jakto? nie lakierowane? na taki duży obiad.

— A to po co? Czym nie emigrant, żebym nie miał przynajmniéj przywileju mniéj od Rodszyldków na bóty wydawać? Toby już smutnie było.

Zapalili cygara i dwa panicze emigranty — jeden w kabryolecie, drugi piechotą puścili się na miasto.

— Dziś już nie ruszę się z miejsca. — Każdy taki obiad zmęczy mnie na trzy dni całe. — Nazajutrz niezdolnam do niczego. — Przez miesiąc przed obiadem myślę kogo zaprosić, kogo przykim posadzić; jednak zawsze się coś nie uda — zawsze się swarzą między sobą. Ja myślałam, że pani X. zupełnie już zapomniała o xiężnie d'Angouleme i o Henryku V, od czasu jak mąż jéj radcą stanu został; i posadziłam ją przy Ministrze spraw wewnętrznych. Gdzie tam! ząb za ząb się kłóciła; i gdyby nie hrabia Wacław, który ją socyalizmem drażnił, a pochlebstwem przyciągał, byłaby Bóg wie co na Króla i na ministerium dzisiejsze nie nagadała; za coby jéj zapewne mąż był bardzo wdzięczny! Doczeka się awansu, jeśli mu żona takie figle płatać będzie.

— Ja nie rozumiem pańskiego ziomka, odezwał się pan B. do Karola. Jak może człowiek, mający takie piękne położenie w towarzystwie jak hrabia Wacław, wyznawać demagogiczne opinie?

— Nie rozumiesz? odpowiedziała za Karola pani domu śmiejąc się: bawi się i kwita: w tém cała tajemnica, że go to bawi.

— Ależ taka zabawa niedodarowania! Igrać z ogniem.....

— Gdyby żył między robotnikami, zapewne żeby to mogło być niebezpieczném — nie tak jeszcze dla rządu, jak dla niego, bo wsadzonoby go do kozy. Ale między nami!... Boże drogi! prawi co mu przyjdzie do głowy dla zabawy. Gdzie tylko wejdzie, wszędzie konserwatorowie, nie jednego to drugiego kalibru. Więc mu nudno. Pomyślał sobie, że trzeba czasem między nich szmermela puścić, żeby ich poruszyć; a raz wdawszy się w dysputę, uwierzył sam powoli, że to jego rola być demagogiem. Nota bene! demagogiem eleganckim i dowcipnym.

— Lecz mnie..... przyznam się..... przykro, że przy moim stole zasiada taki apostoł. Przepraszam cię, kochany Karolu, ale doprawdy... sam zapewne zgodzisz się na to, że... że nie wypada w obcym kraju... gdzie gościnnie przyjęto... a potém w domu ministeryalnego deputowanego...

— To najważniejsza przyczyna, przerwała pani B. śmiejąc się do rozpuku. Przecieś trafił na nią na końcu.

— Bez żartu, że to nieprzyjemnie... i doprawdy, żałuję że go zapraszasz.

— Zapraszam go, bo bawi wszystkich — bo dowcipny i przystojny. Myślisz żeby kto dbał o moje obiady, gdybym tylko takich Senatorów jak ten co wyszedł dopiero zasadzała przy stole? — pani X. ani pani L. drugi razby nie przyszły.

— Mnie także przykro, odezwał się Karol nieco zarumieniony, że hr. Wacław rolę demagoga sobie wybrał w towatrzystwie. Już i tak nas Polaków obwiniają, że marzymy o przewróceniu świata. Jak tu nie myśleć, że każdy polski emigrant za rewolucyami goni, kiedy taki hrabia Wacław, który nigdy o swoich przodkach i bogactwach nie zapomina napomknąć, rozsiewa socyalizm.

— Ach! nie trwożcie się tak bardzo, moi panowie, odezwała się znowu pani B. — w Paryżu znają się na ludziach. Czy myślisz, kochany Karolu, że pani X. potępia bardzo Wacława? Wié ona dobrze, że Wacław....

— Pani X. miałaby potępiać Wacława? przerwał mąż śmiejąc się wesoło. Co o to, to się wcale

nie lękam! i owszem przeciwnego skutku obawiałbym się na jéj umyśle.

— Na takie domysły nie pozwalam panie mężu. Pani X. jest wesoła osoba, wié że ładna, lubi kiedy jéj podchlebiają, ale...

— Ale... ale to wszystko niebezpieczne, przyznasz mi, moja droga.

— Niebezpieczne... zapewne;... lecz do dziś dnia jest zupełnie uczciwa osoba — za to ręczę; — i mam nadzieję, że taką zostanie na zawsze. — Zawiele ma miłości własnéj a zamało serca, żeby jéj wielkie niebezpieczeństwo groziło.

— Niechże i tak będzie. Życzę pani X. z całego serca, żebyś się na niéj nie omyliła, moja droga; a szczególnie życzę jéj mężowi, żeby twoje przepowiednie nie chybiły. — Ale na mnie czas. Nim będę w Ambassadzie, muszę pierwéj, choć na chwilę, wpaść jeszcze do prezydenta izby deputowanych. Do widzenia więc. — Podał rękę Karolowi, a wychodząc szepnął żonie do ucha: « Biedny chłopiec, zdaje mi się, że istotnie zakochany w Cecylii. Dobrzebyś zrobiła, żebyś mu ten kaprys mogła wybić z głowy.

I

Salon już prawie pusty. Jeden tylko, prócz Karola, stary par Francyi, dawny prezydent jakiegoś trybunału na prowincyi, siedział wygodnie na kanapie, zdaleka od ognia, i rozmawiał z gospodarzem domu. Zapewne nie chciało mu się zaraz trząść po obiedzie, a nie miał ochoty iść, przez pochlebstwo, do którego z ministrów. Przy końcu życia, karryera skończona i zabiegi już niepotrzebne. — Syt więc urzędów i lat mozolnie spędzonych, wolał raczéj pozwolić żołądkowi, aby odbył spokojnie pierwszą pracę tam, gdzie go był z całą ostrożnością doświadczonego wieku napełnił, nie dając się uwieść podnietom dość drażliwego pod-

niebienia na szkodę ważniejszéj części swojéj cielesnéj machiny. Zegar ten szedł już regularnie przez lat siedmdziesiąt z okładem : trzeba było uważnie go nakręcać, żeby sprężyna nie pękła. — Lecz nasz Senator, mając zaufanie w swoim rozsądku, miał także nadzieję, że posilając się wstrzemięźliwie, kierując ostrożnie pieniędzmi na Bursie, i z miarą a uwagą wotując na Izbie, jakiś czas jeszcze w pokoju europejskim, krajowym, domowym i żołądkowym pociągnie.

Po dzisiejszym obiedzie radby był dłużéj posiedzieć w przyjacielskim domu : wiedząc jednak że gospodarz wybierał się do Ambassady angielskiéj, sięgnął powoli po laskę, wziął za kapelusz, oglądając go na wszystkie strony, czy czasem jaka pomyłka nie zaszła — i niby lekkim krokiem, cicho stąpając po dywanie, i zdaleka ręką prosząc gospodynię domu, żeby nie wstawała od komina, wysunął się z salonu. Pani B., pozbywszy się ceremonialnym ukłonem Senatora, usiadła napowrót w głębokiém miękkiém krześle przy kominie, i wyciągając nóżki prawie do samego ognia, rzekła razem do męża powracającego z przedpokoju, gdzie był Senatora zostawił, i do Karola :

Nie długo potém, zaturkotał pojazd, i słychać było, jak wyjeżdżał z podwórza na ulicę pan deputowany, konserwator, przyjaciel pierwszego ministra, bogaty, z imieniem znakomitém, ale przez niecierpliwość i chęć znaczenia, zbieg z obozu legitymistów na stronę króla Ludwika Filipa. — Długo łudził się, że będzie wysłanym na ambassadora do Neapolu, jeśli nie do Wiednia lub Petersburga. Lecz ponieważ wiedziano, że za nic w świecie nie powróciłby do legitymistów, gdzieby musiał przez zbyt wielkie przechodzić umartwienia i wymówki, nimby do łaski tych panów znów był przypuszczony (a o rzeczypospolitéj ludzie jego położenia we Francyi nie myślą); przeto każdy minister — jeden po drugim, zbywał go ładnémi słówkami, tak dalece — że jeżeli nie on, to przynajmniej żona jego zrozumiała, iż do ambassady w Neapolu nigdy się nie dostanie.

Tymczasem pan B. dawał obiady, przyjmował wiele ludzi, bywał wszędzie : — i tak czas schodził — powoli ambicya ukołysała się trochę — przyjął, rad nie rad, położenie do którego okoliczności i jego własna illuzya przyprowadziły go, i przyzwyczaił się do życia swobodnego i przyje-

mnego bez wielkich intryg, mozołów, zabiegów i blasku. — Czasem zmiana jakiego ministra trochę krwi i żołci zepsuła, lub też obudziła nadzieję; ale to znowu przeszło jak lekka gorączka — i czas znowu płynął swobodnie. Tak sobie żył pan hrabia B. pięćdziesięcioletni, zdrów, żywy, bez wielkiéj nauki, bez wielkich talentów, lecz z resztą... do rzeczy sobie i wcale niezłego serca człowiek. A syn jego szedł wygodnie w ślady papy. — Co panią B. to już trochę lepiéj znamy. Wspomnieliśmy o niéj, wchodząc z czytelnikiem do jéj salonu — naprzód przez grzeczność, bo trzeba było zaraz zaprezentować go gospodyni domu: potém i dla tego, że więcéj o niéj niż o mężu lub synie było do powiedzenia.

Siedząc zanurzona w głębokiém krześle, zdawało się że wpół-senna, marzyła o zniklej scenie i aktorach, którzy dopiero co opuścili jéj salon. — Karol naprzeciwko niéj, po drugiéj stronie komina, zadumał się także. Włosy w tył zaczesane, trochę w nieładzie, odsłaniały szerokie i szlachetne czoło. Chociaż w Łęczyckiém się rodził, jednak oko łagodne, nieco smutne, nie przypominało dziada Łęczycanina, owego strasznego pana Piwo; ale

raczéj rodzinę ojca, z otwartemi, poczciwemi twarzami Rawskich Mazurów.

Ogień ziejący ciepłem — cichość i obszerność salonu, w którym zmniejszono liczbę świateł po wyjściu gości — dopomagały do marzeń.

Wtém zegar stojący na kominie zadźwięczał i udrzył dziesięć razy.

Pani B. spojrzała na zegar jakby zbudzona z letargu — potém na Karola — i powoli rzekła uśmiechając się, jakimś na wpół litościwym, na wpół żartobliwym uśmiechem:

— Czy ją bardzo kochasz?

— Kogo? odrzekł żywo zarumieniony Karol.

— Kogo? Czy myślisz że ja nie widzę? Wszakżeż ja twoja opiekunka, kochany Karolu — mam twoją matkę zastępować — a matkę niełatwo oszukać! Zresztą dla czego się taisz przede mną? Toć wiesz, że ja ci wszystkiego dobrego życzę, a radabym każdą przykrość odwrócić od ciebie. Już i tak ich masz nie mało w twoim młodym wieku, biedny Karolu — daleki od rodziców — od krewnych — od kraju!.. Powiedz mi szczerze, czy bardzo ją kochasz?

— Ależ kogo?

— Karolu!

— Tak, kocham ją bardzo, rzekł żywo Zorowski powstając z krzesła i przybliżając się do komina, jedynie aby miejsce zmienić, boć biedakowi już i tak porządnie gorąco było.

— Biedny Karol, rzekła pani B. — Młodość! młodość! Pierwsze illuzye! Bo niepodobna mi wierzyć, żeby człowiek z taką duszą jak ty, Karolu, zakochał się w osobie prawie mu nieznajoméj; żeby zakochał się tak prędko... tak obcesowo. Nie mogę wierzyć, żeby to miało być już uczucie prawdziwe, głębokie. Tak sobie... ładne oczki głowę zawróciły. Uczucie w głowie! znana rzecz!.. A potém... i to dziecko — Cecylia! Może się rozwinie, ale dziś!...

— Czy pani myśli, przerwał Karol zarumieniony: czy pani myśli, że ten zapał patryotyczny, to głębokie uczucie dla kraju... nie jest dowodem, że Cecylia ma duszę — ma serce!

— Ach! kochany Karolu, wszystko co chcesz, ale nic głębokiego w Cecylii. To być nie może i nie jest. — Szesnastoletnia panienka nie wié nic o żadnych głębokościach. Zresztą — skądby jéj

się to wzięło? Matka tylko o strojach, o teatrach i balach myśli.

— Ach matka! ale Cecylia wcale do matki niepodobna.

— Mój Karolu! Cecylia istotnie jest bardzo przyjemna dziewczynka, i może być kiedyś jak najzacniejsza osoba, jeśli jéj matka w lekkościach i nicościach nie wychowa. Lecz dziś?... jest sobie dziecko poprostu — nic więcéj — i na jéj uczucia zupełnie nie ma co rachować. — A potém, jak wiesz, że ona będzie ciebie kochała?

— Ach! przecież...

— Doprawdy! jużeście sobie powiedzieli?

— Broń Boże! tegobym sobie nigdy nie pozwolił.

— Voyons... wyspowiadaj mi się, rzekła pani B. śmiejąc się i wyciągając rękę do Karola. Siadaj przy mnie... bliżéj — i powiedz mi co masz na sercu — tak jak własnéj matce. — Uprzedziłam cię naprzód, że ten romans nie podoba mi się dla ciebie. Chciałabym ci go wybić z głowy. Ale w przeciwnym razie — Karolu! wiesz, żem gotowa zawsze, i ja i mąż mój — na usługi twoje. — Jakże? więc myślisz, że Cecylia ci sprzyja?

— Nie pokazała wyraźnie... jednak... jéj obejście się...

— Zapewne, że mogłeś się jéj podobać. O tém wcale nie wątpię. Młody, ładny i nieszczęśliwy ziomek, jak się nie ma podobać dobréj, niezepsutéj jeszcze światem panience. Lecz od podobania się do miłości, Karolu!... daleko! — Zresztą... powiedziałabym ci jeszcze jedno słówko... ale doprawdy zaczynam się lękać, żeby nie obrazić uczuć twoich.

— Nigdy! nigdy! Ja wiem, że nikt mi lepiéj życzyć nie może.

— Poczciwy Karol, rzekła pani B. ze łzawém okiem. Otóż powiem ci, że w tych oczkach figlarnych Cecylii jest trochę... niewinnéj wprawdzie dzisiaj, ale... obiecującéj na przyszłość...

— Ach pani!...

— Na przyszłość, jeśliby wychowanie nie było dość gruntowne. — Kochany Karolu, jabym inną żonę marzyła dla ciebie. To świecidełko nie dla twojéj tkliwéj — doświadczonéj nieszczęściem duszy. A potém — zastanów się — czy ci ją dadzą? — Wygnaniec, bez majątku, bez karryery żadnéj! — Ja wiem, że u was małżeństwa nie są

jeszcze tak jak u nas kontraktami tylko — brudnémi często; ale przyznaj, że patryarchalność obyczajów już i u was zapewne znika; że i wy już nie pod namiotami mieszkacie, a pani Chuchowska, doprawdy — nie bardzo mi na Sarę albo Rebekę wygląda, i dla Cecylii innego męża niezawodnie, niż ty, Karolu, szuka. — Wierzaj mi, wierzaj! — otrząśnij się z tego pierwszego szału. Staraj się zwyciężyć póki jeszcze czas; bo potém wiele zmartwienia i czczość na długo... może na całe życie w sercu zostanie. — Ach Boże! jak ja to rozumiem! Młody chłopiec, sam, bez rodziny, daleko od kraju do którego niełatwo wrócić; spotka ładną dziewczynkę i pogadą z nią o nadziejach, o Ojczyznie, o wszystkiém wreszcie co podnosi duszę, co zapala głowę; tęsknota za powietrzem rodzinném zbudzi się, pamiątki domowe świeżéj przedstawią się w pamięci; dziewczyna słucha z ciekawością — czasem ze wzruszeniem — czasem coś czułego, naiwnego powie, zwyczajnie szesnastoletnie dziecko; czasem też powtórzy z pamięci, co gdzieś od kogoś słyszała; a tu każde podobne słówko pada na osieroconą, tęskną duszę młodego człowieka — rośnie — krzewi się szeroko, podsycane wyobraźnią i samotno-

ścią. — Taką rozmowę, on uważa za traf jedyny w życiu, myśli, że Opatrzność użaliła się nad losem jego; ona? ona zaś policzy ją zapewne do przyjemnych wypadków w czasie podróży. — Jeżeli pamiętniki pisze — to wspomni o spotkaniu... ołówkiem cóś naznaczy. A potém... ołówek się wytrze!

Tak, kochany Karolu! Ty może myślisz, że Cecylia już odgadnęła twoje uczucia, a ona zdziwiłaby się zapewne dowiadując się o nich jak o czemś niespodzianém. — Lub jeśliby to odkrycie zajęło ją żywiéj; jeśliby jéj zawróciło głowę; wtenczas nastąpiłaby rola matki; a jéj wpływ na umyśle Cecylii byłby mocniejszy, ja myślę, niżeli twoje cierpienie. — Kochany Karolu! w szesnastym roku może się głowa panience zapalić, ale żeby prawdziwie kochała?... to rzadko, prawie nigdy się nie zdarza.

O! jaka uboga, biedna dziewczyna, uwiedziona, wyprowadzona z rodzicielskiego domu, i potém opuszczona przez świetnego panicza, kończy nieraz z rozpaczy w Sekwanie. Lecz panna Cecylia, otoczona staraniami, któréj żaden krok, żaden rzut oka, matczynéj uwagi nie ujdzie... Kochany Karolu, takiéj panience nie pozwalają się kochać. — Chyba że się tak mamie podoba. W przypadku niespodzianéj miłośnéj choroby, zaraz z początku, nim się rozwinie, szukają lekarstwa. I w takim razie, rzadko kiedy lekarstwo nieskutkuje.

Nie wiem czy uważałeś, ale ja uważałam, że Kontessa was z oka nie spuszcza; i może już w karecie, między obiadem a operą, nie tracąc czasu, podała jéj niezłą dozę lekarstwa przeciw truciźnie, zaczerpniętéj u sąsiada przy moim stole. Chociaż ja wątpię o tém, bo pani Chuchowska myśli, i podobno się nie myli... przepraszam cię, kochany Karolu — ale przez szczerą przyjaźń... ty wiesz... muszę ci prawdę mówić. — Otóż kochany Karolu, pani Chuchowska niezawodnie myśli, że nie ma niebezpieczeństwa dla jéj córki: — przynajmniéj że nie ma go na teraz. A na późniéj?... na późniéj obiecała sobie być uważną. — Przy całéj próżności jest w téj kobiecie pewien sens i takt, których doskonale umié używać na korzyść swego samolubstwa. Ja mało ją znam, lecz znam wiele kobiét takich jak ona na świecie. — Typ ten nierzadki. — Potrafi ona poprowadzić córeczkę podług woli swojéj, tak jak ją rodzice zapewne podług samo

lubnych pojęć swoich prowadzili. — Ona lubi elegancyą, przepych, ale wszystko u niéj tak wyrachowane, jak entuzyazm, uczucia i słowa, które tylko dla ludzi, a w sercu zimno. — Ja nie wiem... ale mi się zdaje, że musi cóś być nie prawdziwego w téj illustracyi Chuchowskich, o któréj mi ona rozpowiada. Hr. Wacław trochę się uśmiechnął, kiedym go zapytała, czy to jest jedno z wielkich imion polskich — i zbył pytanie. Widać że nie miał ochoty o tém mówić.

— Ja także nic w kraju nie słyszałem o rodzinie Chuchowskich. Nie jest to imię historyczne, alež są w całéj Europie, bardzo uczciwe i zacne domy choć nie wspominane w historyi.

— Ach zapewne! Z resztą nie wiele się też kto o to dziś pyta.

Po krótko przerwanéj rozmowie pani B... widząc zadumanego i zachmurzonego Karola, podała mu rękę i rzekła znowu do niego z przyjacielskim uśmiechem.

— Zmartwiłam cię kochany Karolu. Ale dla pociechy powiem ci, (co z resztą wiesz sam dobrze,) że w każdym razie możesz rachować na mnie i na mego męża. On cię szczerze lubi i szanuje. Myśli

jednak tak jak i ja w tym względzie. Radzimy ci oboje żebyś się starał przezwyciężyć, a przynajmniéj.....

— Przezwyciężyć się?....

— Tak jest: żebyś się starał przezwyciężyć: przezwyciężyć to pierwsze uniesienie, póki jeszcze czas.

— Jak pani wie, że jeszcze czas?

— Wiem, wiem, że to jeszcze w głowie — że jeszcze nie mogło przejść do serca. Ach! żeby to już w sercu było? inaczejbym ja z tobą mówiła,— inaczéj cię żałowała!

To mówiąc ścisnęła Karola mocno za rękę, i wskazując na serce dodała z ogniem i szybko: « Jak ztąd trzeba miłość wyrwać to się rana przez całe życie nie goi. »

Karól tak był Cecylią zajęty, że nie uważał na wyraz twarzy pani B... w téj chwili. Inaczéj byłby poznał, że to zapewne ją samą dawna zabolala rana, o któréj on nie wiedział, i wiedzieć zapewne nigdy nie będzie. — Krew rzuciła się jéj do twarzy z przestrachu, żeby słowo wyrzeczone w uniesieniu, nie zdradziło przed młodym przyjacielem walk i cierpień minionych. Lecz Zorowski

policzył to wykrzyknienie serca, na karb spostrzeżeń psychologicznych tego wieczora; wziął go za zdanie ogólne, nie za echo dawnego bolu, zbudzone w piersi rozmową dzisiejszą. — Jeden rzut oka przekonał ją, że to nieroztropne słowo, przeleciało koło uszu zakochanego, nie zostawując śladu w jego myśli.

— Tak kochany Karolu, mówiła więc dalej : nie trać odwagi — raczéj użyj jéj, tak jak na ciebie przystoi — na twoją wysoką duszę. Ty Cecylii nie kochasz jeszcze : — to jest tylko szał mogący u ciebie w miłość się wyrodzić — bo ty możesz prawdziwie kochać : ale dziś jeszcze jest szałem tylko, który można zwyciężyć. — Zwycięż go więc — inaczéj będziesz dużo cierpiał — zatrujesz serce może na całe życie! — Żalby mi było tego twego serca! Tak je już rzadko w tem naszem starem towarzystwie spotkać. — Zachowaj je jeszcze.... zachowaj je dla jakiéj... dla jakiéj innéj.

Pani B... powstała wzruszona — ścisnęła za rękę Karola i pożegnała mówiąc, że chce odpocząć po trudach dnia i proszonego obiadu.

Kiedy Karól salon opuszczał i z progu spojrzał jeszcze na tę nieoszacowaną przyjaciółkę; ona —

zanurzona znowu w swojem głębokiem krześle, z założonemi ramionami, szeroko otworzywszy źrenicę, w któréj błyszczał jakichś dawnych pamiątek ognień, biegała rozognioną myślą w pomrok przeszłości, i w przyszłości noc ciemną : — i mięszała tajemną historyą swoją z nierozwikłanem jeszcze pasmem życia i uczuć zakochanego młodzieńca.

II

W płaszcz obwinięty zszedł wolnym krokiem ze schodów rzęsisto oświeconych bogatego i gościnnego pałacu — ubogi emigrant. Zatrzymał się na ulicy jakby namyślając się i wahając, za którym prądem cisnących się i popychających pójdzie : na lewo czy na prawo — ku pysznym bulwarom, czy w ciasne uliczki studenckie; na operę, aby wydać ostatnie kilka franków, gwałtownie na co innego potrzebnych, i rzucić z daleka — z kąta parteru kilka wejrzeń do loży, gdzie Wacław stać będzie przy Cecylii i lorynetą przebiegać tryum-

falnie wszystkie piętra sali; czy też do domu, aby zamknąć się na cały wieczór w swoim małym, samotnym pokoiku.

Gdyby był zaraz po obiedzie, przed ostatnią rozmową wyszedł od pani B... prąd ku operze pędzący, zapewne byłby go poniósł z sobą. — Ale właśnie zbyt dramatyczne myśli zbudzone uwagami przyjaciółki, odwróciły go od teatru. — Prawdziwa gra uczuć była w duszy, nie było serca patrzeć na zmyśloną. — Karól więc zwrócił kroki ku Panteonowi, niby dla pracy i nauki w domu— w istocie, aby dumać o Cecylii i własnym losie.— Lecz i to nie udało mu się dzisiaj.

Karól mieszkał był od jakiegoś czasu, (w części wciągnięty przez kolegów, w części z oszczędności,) na pensyi złożonéj z kilku studentów rozpuszczonych, z kilku starych weteranów wojskowych lub handlowych, z kilku bab rozmaitego gatunku, z kilku kobiet młodych..... także rozmaitego gatunku. — Nareszcie z kilku niemieckich, polskich, włoskich, i innych emigrantów. — Wieża babel co do języków, zwyczajów, obyczajów, historyi dawniejszéj, pretensyj teraźniejszych, i nadziei na przyszłość. — Pod jednym względem tylko

było dość podobieństwa między mieszkańcami téj pensyi — pod względem finansowym. Zacząwszy bowiem od gospodyni domu rozmyślającéj ciągle zkąd i jak grosza dostać, żeby do końca miesiąca swoją menażeryą wyżywić; aż do najdojrzalszéj damy na drugim końcu stołu przy obiedzie zasiadającéj — każdy prawie nad tém głowę łamał, jakim sposobem uiścić się z kilkudziesięciu franków za przytułek i pożywienie bieżącego miesiąca, żeby z wesołem okiem na miesiąc następny pozostać. — Kredyt popsuty u gospodyni domu, wielkie przykrości sprowadzał.

Jednak mimo tych trosk i kłopotów nieustannych, rozmaitość wieku, płci, uczuć, opinii, narodowości, położenia dawniejszego a nawet i teraźniejszego w świecie — nie tylko nie przeszkadzała do łączenia się i przepędzania wieczorów razem, ale nadawała jakiś rodzaj ruchu téj małéj kosmopolitycznéj rzeczypospolitéj, złożonéj z żywiołów skazanych bez wyjątku prawie, na dodrzymanie życia po długich trudach i brudach — komedyach i tragedyach — zmarnowaniu fortuny lub też zawiedzionéj nadziei.

Tam spotkać można było starego bretońskiego

szlachcica, który niegdyś z uczuciem krzyżowego rycerza lub młodego polaka opuszczał zamek przodków, żegnany błogosławieństwem matki, z medalikami na piersi, i rzucał się wraz z wiernymi chłopami z okolicy, na bataliony republikanckie. — a później, pobity przez własnych ziomków, włóczył długo skargi na tryumfującą ojczyznę między jéj nieprzyjaciołmi. Który nareszcie — po wielu latach, w klęsce narodu powitawszy wygraną, i wróciwszy do kraju ujrzał się właśnie wtenczas prawdziwym sierotą, bo nie znalazł tego, do czego był tak długo wzdychał: nie już fortuny oddawna zmarnowanéj, lub krewnych i przyjaciół wymarłych w czasie jego niebytności; ale nie znalazł nawet uczuć dla których był wszystko poświęcił.

Tam obok tego bretońskiego szlachcica z krzyżem Świętego Ludwika na wytartéj sukni; obok tego bankruta szlachetnych, bezużytecznych poświęceń, jaśniejących jeszcze w niezupełnie przygasłem oku, — spotkać można było innego rodzaju bankruta, w kafowym, długim, brudnym surducie, z obwisłemi szczękami, brutalskiem spojrzeniem, widocznie gardzącego innymi dla-

tego, że przez jego ręce przetoczyły się miliony, zebrane oszustwem, a przez ślepą, z wiekiem rosnącą chciwość stracone.

Tam widzieć można było uśmiechającą się podstarzałą aktorkę sławną niegdyś w Paryżu, (szczególnie za sceną,) wabiącą jeszcze do siebie młodzików; ci starsi nad lata, gardzą ostatniemi promieniami gasnącego słońca.

Tu znowu młoda Amerykanka, nierozumiejąca po angielsku, urodzona na południu Francyi i z rodziców czystéj krwi gaskońskiéj, gra zapamiętale w ekartę. Przed kilku miesiącami naturalizował ją, i ożenił się z nią na prędce młody obywatel nowego świata. Za kilka tygodni zapewne z nią się rozwiedzie, a ona powróci do swojéj narodowości gaskońskiéj i panieńskiego stanu. Tymczasem przez chciwość wrodzoną i język niepohamowany, chociaż bogata chojnością tymczasowego męża, kłóci się ze starym szefem szwadronu o pół franka, do którego zapewne nie ma prawa.

Karól zbliżał się powoli ku drzwiom tego domu, przechodząc słabo oświecone ulice zasypiającéj już téj części miasta w chwili, kiedy po drugiéj

stronie Sekwany huczał — w najlepsze jeszcze — nowożytny Babylon. Wkrótce wszedł pomiędzy dwa wysokie i długie mury zaniedbanych ogrodów, otaczających rzadkie domy ciasnéj ulicy; i w najciemniejszym jéj kącie zadzwonił u wrót szerokich prowadzących na podwórze — w którego głębi świeciły okna pensyi. Światło biło tylko z dolnych okien, i oświecało pnie drzew w pobliżu stojących, — których nagie gałęzie wyciągały ramiona w cieniu, ku wyższym piętrom czarnym i ponurym, jak skały wiszące nad chatami błyskającemi w nocy u stóp góry. — Pensya umieszczona była w ogrodzie otaczającym z trzech stron dom i podwórze, dla zapewnienia pensyonarzom, między innemi korzyściami świeżości powietrza; ale niestety! śmiecie wyrzucane tuż koło okien pod niekształtne akacye i jeden karłowaty kasztan, nie pozwalały używać mieszkańcom tego domu i téj patryarchalnéj pociechy, uroczyście po gazetach dla zachęty obiecywanéj przez gospodynię zakładu.

Karól przebywszy podwórze, wziął klucz od swego pokoju w budce portiera, przybliżył się do schodów i chciał cicho dostać się na trzecie piętro, dalekie od wrzawy i uciech towarzystwa zbierającego się zazwyczaj wieczorem w salonie i w sali jadalnéj na dole.

Już od jakiegoś czasu dom ten był sobie obrzydził. — Z początku myślał, że potrafi obronić się od udziału w schadzkach i zabawach wieczornych tego towarzystwa wcale mu do gustu nieprzypadającego; a przytem korzystać z wygody na pensyi, gdzie pod jednym dachem znajdując stół i mieszkanie, nie potrzebował nawet, w czasie pilniejszéj pracy cały dzień wychodzić na miasto. Ale koledzy, kamraci, przyjaciele, niektórzy mieszkający na pensyi, niektórzy zaś hurmem przybywający na obiad i wieczór, nie zgodzili się na wykonanie planu na pozór nieźle pomyślanego. — Napadali często na jego pokój, i nakurzywszy dymem fajek, ciągnęli go potem gwałtem z sobą na wrzaskliwe posiedzenia; — a on, otworzywszy okno; żeby wypuścić dym przyjacielskich fajek, rad nie rad — szedł czasem za niemi na dół.

Koleżeństwo polskie, wielce odmienne od innych, jakiś zbękarciały potomek dawnego szlacheckiego braterstwa — jest jedną z najwięcéj ciemiężących czasem tyranij; bo są okoliczności

gdzie go się pozbyć nie można, a jest jarzmem gniotącem i cisnącem twoją wolność, gust, miłość własną, opinie, rozum — nawet sumienie. Brutalstwo tego jarzma jest do niezniesienia. A jeśli jeszcze zdarzy się przypadkiem, że między tyranami znajdzie się taki, którego ojciec lub dziad był bogatszym od twoich dziadów, lub dostał w Wiedniu tytuł niemiecki, to wtenczas nie ma dla ciebie zbawienia, chyba w otwartym buncie. Bo on nie pojmie nigdy, i nigdy nie wytłómaczy sobie, że ty możesz mieć obyczaje i gusta estetyczniejsze od niego. W imię jakiegoś przodka swego lub tytułu, odmawia ci niejako prawa do lepszego niż jego wychowania; wmawia w innych i jeśli śmie w ciebie samego, że ty go unikasz, nie dla jego głupstwa i brutalstwa, do czego oczywiście przyznać się nie myśli; ale przez chęć wynoszenia się niesłusznie nad jego osobę, i w imię arystokratycznych swoich pretensyj, chce cię zniżyć do grubości natury swojéj.

Karól przybliżył się więc do schodów prowadzących na górne piętra, a umieszczonych w małym korytarzyku, właśnie między dwoma drzwiami, z których jedne do salonu a drugie do

sali jadalnéj należały. — Zaledwie nogę postawił na pierwszym stopniu schodów, kiedy drzwi na lewo będące otworzyły się gwałtownie, i drżąca od złości Ameryko-gaskonka wybiegła, skarżąc się głośno, że mimo jéj protestacyi, zabrał jéj (w najsłuszniejszy wprawdzie sposób,) pół franka stary szef szwadronu, niebardzo grzeczny zazwyczaj dla dam, chociaż i francuz i rycerz z czerwoną wstążeczką na piersi. — Śmiech goniąc za Ameryko-gaskonką w coraz większą wprawiał ją furyą, tak że nie widząc nic przed sobą, jak koń kiedy na kieł weźmie, potrąciła Karola i jak szalona wpadła na przeciwko do sali jadalnéj. — Tam Amerykanin z przyjacielem grok zapijał, a koło stołu kilku niemców emigrantów z fajkami w gębach, przed kuflami piwa siedziało, kiwając w takt już nieco ciężkiemi głowami, na melodyą tyrolską jednego ze swoich kamratów, który — z gitarą w ręku, — brząkał i wypuszczał na przemian z gęby, to kłęby dymu, to rulady góralskie. — A że nie mógł sam trzymać fajki, mając obie ręce zajęte graniem, przeto przyjaciel i ziomek obok niego siedzący, dawał mu kiedy niekiedy ze swojéj fajki parę pyków pociągnąć.

Salon i sala jadalna przez otworzenie drzwi naprzeciwko stojących, połączyły się niejako. — Z jednéj strony gitara i rulady, z drugiéj śmiechy ustały. We środku, w małym korytarzyku, między drzwiami, u stóp schodów, Karól kończył młynka, w który go pęd nadany przez skarambolowanie się z pięknością w furyi, wprawił. — Wszystkie oczy w salonie będące, biegąc za gracyą rozhukaną, zatrzymały się na Karolu, i widziały jak złowiwszy w powietrzu kapelusz spadający z głowy i poprawiwszy płaszcza, poszedł na górę.

Sprawa o pół franka wkrótce była zagodzona. Amerykanin nie bardzo gorącym się pokazał w obronie honoru swojéj damy, i stary francuz zatrzymał pół franka w kieszeni. Drzwi się pozamykały, gitara i rulady rozległy się napowrót w sali jadalnéj, a w salonie wzięto się znowu do ekarty i wista, lub usadowiono się na kanapie, po kątach i przy kominie.

Przy jednym stoliku czterech polaków grało w wista rozmawiając swoim językiem. Za nimi na kanapie siedział stary kawaler bretoński z expiękną aktorką.

— Ja założę się, mówiła ta ostatnia na w pół-

głośno, że pan Karól nie pokaże się między nami dzisiejszego wieczora. Wyraźnie gardzi naszem towarzystwem.

Kawaler bretoński ruszył ramionami, a gospodyni zakładu, dosłyszawszy zdaleka uwagę — odrzekła:

— Dlaczegoby miał gardzić? przecięż nieraz bawi się z nami. Jeżeli niekażdego wieczora go widzimy, to że niekażdego wieczora jest w domu. Zwyczajnie — młody człowiek, dobrze wychowany, przyjemny, musi mieć w Paryżu znajomości. Zapraszają go na wieczory, na obiady...

— I dla tego w łaskach u pani, przerwała exaktorka: jak obiad je na mieście, to go nie je na pensyi, a to zawsze się rachuje. Czysty zysk!

— A jaka to pani domyślna! Proszę pani wierzyć, że i ja potrafię także się domyślać.

— Cóż takiego? wykrzyknęła zaczerwieniona aktorka.

Nie wiedziała co daléj powiedzieć gospodyni: lękała się biedaczka żeby zbyt nie obrazić dość regularnie płacącéj aktorki, i zaczęła się już mięszać, kiedy jéj przybył w pomoc jeden z polaków siedzący dotąd spokojnie przy kominie. Wyciągnął

on był nogi bez ceremonii z zabłoconemi ogromnemi bótami na parę łokci od dużego krzesła, w którym się był usadowił wygodnie; długi, w półrudy, w półsiwy wąs często pokręcał, i z pod gęstéj czupryny tego samego co wąsy pomięszanego koloru, spoglądał obojętnie na pokój, jeśli oczy na chwilę czasem od ognia odwrócił.

Kiedy zaczęto mówić o Karolu, palce jego zaczęły także mocniéj koło wąsów pracować, i oko jak wyżła czujnego podniosło się kilka razy z ukosa ku górze, a w stronę aktorki. — Aż nareszcie spostrzegłszy, że gospodyni domu cofa się z placu boju, łamaną francuzczyzną — zwolna — nie zmieniając postawy, tylko nieco więcéj zwróciwszy ku aktorce figlarne oko, w którem teraz drwiny razem ze złością grały :

— Pani gospodyni rzekł, zapewne odgadła nieukontentowanie, że pan Karól nie poznał się na pani wdziękach.

— *Rustre*, mruknęła aktorka , a jeden z grających w wista , wąsaty jakiś kapitan, szepnął po polsku do towarzyszów :

— Nasz porucznik upomina się za przyjaciela.

— Ja nie rozumiem, rzekł Henryk, drugi z grających polaków, przystojny lecz nieco wymuszony i z sceptycznem spojrzeniem młodzieniec ; ja nie rozumiem przyjaźni między sentymentalno-teologicznym Karolem, a tym wachmistrzem — boć to żart zapewne być musi, żeby on kiedy szlify nosił.

— A ja rozumiem, odezwał się trochę głośniéj przez nieuwagę — a może naumyślnie, trzeci, porządnie ubrany, z grubym karkiem i podpuchłem okiem, jak na podstarzałego kawalera przystoi : a ja rozumiem dlaczego się oni tak kochają. Wiem dobrze zkąd obydwa pochodzą. Jeden, co w Paryżu gra rolę panicza i po salonach się włóczy, jest sobie poprostu szlachetka z moich stron. Ojciec jego stary major, ma wioszczynę po żonie i dzieci kopę. A drugi, ten wachmistrz jak go dobrze nazwałeś, służył za młodu u dziada pana hrabiego Karola za pachołka.

— No grałbyś grał, zamiast o drugich gadać, bo znowu dostaniemy szlema, odezwał się nareszcie czwarty, jakiś marszałek litewski w czamarze.

— Marszałek chodzi do jednego spowiednika z Karolem, rzekł Henryk i dla tego go kocha.

— Ale za co Marszałek kocha tego gbura przy kominie, przerwał znowu podstarzały kawaler.

— Bo się bił odważnie, a teraz pracuje na kawałek chleba. Jeśli będąc pachołkiem służył komu tak poczciwie, jak potem krajowi, to nie robi ujmy honorowi Mospanie!... i kwita.

— Marszałek zapalił się, a tymczasem stracił lewę.

— Bo to serce boli, kiedy się widzi, że obmawiają młodego chłopca za to, że się porządnie prowadzi, nikomu nie uchybi, uczy się i chce....

— I chce imponować dla tego że się wkręcił do arystokracyi francuzkiéj.

— Wszędzie umieją szanować przyzwoitych ludzi. To tylko zazdrość gada przeciw niemu.

— Marszałek znowu lewę stracił, na naszę korzyść, rzekł z zimnym uśmiechem Henryk, najmłodszy między grającymi. — I ja lubię także Karola: to istotnie dobry chłopiec i nie bez zdatności.

— Ach! ty nikogo nie lubisz, mój bracie.

— Kochany Marszałku! prawda że w zapał nie wpadam na wspomnienie o nim; ale oddaję mu zupełną sprawiedliwość. Dobry sobie chłopiec... troszkę zarozumiały... troszkę choruje na bohatera... to wszystko nie takie straszne wady! Tém bardziéj, że to choroba wieku — epidemia dręcząca emigracyą. Lecz Bóg da, że nam bajroniątko wyzdrowieje. Inaczéj spleen go czeka na całe życie, a nudy wszystkich, co będą mieli przyjemność obcować ze zwiędłym i okwitłym geniuszem. Z takich właśnie jak Karól, robią się nudniejsze indywidua od starych panien zamarynowanych w romantycyzmie.

— Jaki jaszczurczy język z ciebie, rzekł marszałek zadając z energią kartę. Ja przy swojem zostanę, że to zazdrość przez was gada i kwita.

— I kwita! przerwał stary porucznik wstając od komina, ma racyą marszałek. Nie mogą chłopcu darować, że go wszyscy lubią. Pan powiada, rzekł obracając się do kawalera z podpuchłemi oczami, że znasz nas dobrze. Znamyć się dobrze, boć to prawda że pan sąsiadował z panem Majorem Zorowskim, ojcem pana Karola. — Ja stary, ale mam jeszcze dobre ucho; powiada pan żem służył będąc chłopcem. Straszna historya! Toć ja znam takich, co służyli, a dziś karetami jeżdżą! Dałby Bóg tylko żeby poczciwie służyli. — Nie gniewam się więc, że pan powiada, żem służył, bo to prawda; ale proszę się także nie gniewać, bo to także prawda mój panie dobrodzieju, żem widział grzeczne listy pańskie u pana majora z prośbą o kilka

set złotych, kiedy pana żydy łęczyckie tradować chciały. Pan major sobie szlachetka, ale niczyjéj łaski nie potrzebuje, bo sumiennie się rządzi i nie zbytkuje, jak syn jego pan Karól, lub sługa pański, porucznik nie wachmistrz, Marcin Pomykalski. — Dobranoc panom. Wolę iść na fajkę do pana Karola, choć tam trochę zimno, niż tu byle czego słuchać. Dobranoc panu marszałkowi.

— Ja tam zaraz przyjdę do was na górę, rzekł młody Henryk.

— A to wyciął! odezwał się wąsaty Kapitan, skoro stary żołnierz wyszedł. — Ani się nie zająknął.

— Jak się prawdę mówi, to się nie ma czego jąkać, powiedział Marszałek litewski.

— Nie wiedzieliśmy, rzekł pokazując białe zęby między wąskiemi czarnemi wąsikami a wygłaskaną bródką, dowcipny Henryk: nie wiedzieliśmy, panie Michale, że się to już w Polsce hulało.

— Ja jemu dam, odparł rozgniewany z podpuchłemi oczami kawaler. Ten fagas za wiele sobie pozwala.

— Służę ci za sekundanta, przerwał wąsaty Kapitan z energią.

— Ja się z fagasami nie biję.

— Oczywiście! brzdąknął Marszałek pod nosem. Tymczasem wist się skończył. Rozrachowano się. Kapitan wąsaty zgrał wszystkich. Prawda, że grał z reguł. Pierwszą u niego regułą było, patrzeć na stół; drugą, w karty sąsiadów; a najmniéj turbować się o te co w ręku.

— Chodźmy Marszałku na fajkę do Karola, odezwał się Henryk; a poprawiwszy surdut trochę przechodzony, ale wyciągnięty i wymuskany, wziął kapelusz i laseczkę do ręki, i szepnął kilka słów z umizgiem do Ameryko-gaskonki, która w téj chwili z rozjaśnioną twarzą, zapomniawszy o niedawnéj furyi, wpadła szybko z trelami w ustach i z fiokami latającemi na głowie do salonu.

— To już po dziesiątéj — ja idę do domu, odpowiedział Marszałek, zapiął czamarę i pokłoniwszy się od niechcenia, otworzył drzwi na korytarz. — Za nim pobiegł elegancki Henryk w przechodzonym surducie — i kiedy pierwszy wychodził z domu na ulicę, drugi pędził galopem po schodach na górę do Karola, żeby z nim pogawędzić i razem podchlebić staremu Porucznikowi z którym nie miał ochoty być w sporze.

Henryk był istotnie, *porządny*, *dorzeczy*, *zdatny* (nie wiem jaki jeszcze wyraz znaleźć na jego pochwałę) młodzieniec. Nawet, co się dziwno zdawać będzie, podług tego cośmy już o nim powiedzieli — nie bez serca. — Ale przybywszy bardzo młodym do emigracyi, styrawszy niejako entuzyazm w wybuchach różnego rodzaju tego ciała skazanego na moralną i fizyczną pokutę i na poświęcenie, w każdym razie stawiające je choćby przez samo faktum cierpienia, wyżéj od reszty pokolenia — gdyż rany żołnierza szanowane są, choćby ten co je odniósł, nic większego nie uczynił od innych, których ochroniły kule — styrawszy niejako entuzyazm nasz młodzieniec w tem targaniu się i szamotaniu emigracyjnego ciała, przyjął był ton ckliwy, nieprzyjemny jakiegoś niedojrzałego filozofka, który mu robił bez potrzeby nieprzyjaciół.

Lecz jak z jednéj strony, wśród usposobień zbyt czułych w emigracyi na wszystkie ruchy i zmiany, potępiano go często niesłusznie; tak z drugiéj strony zyskał był zbyteczne wzięcie u ludzi wystarzalszych a miernych. Wyjątek ten, przybranéj lodowatości i powątpiewania w pośród nieu-

stającéj gorączki, był dostatecznym, żeby mu odrębne i często korzystne położenie zdarzyć. — Nie wierzyć niczemu w obec ciągłych prawie zawodów, jest to być zawsze niemal pewnym odgadnienia niedalekiéj przyszłości; ale z wiekiem, gra taka musi wyrobić na sceptyka i egoistę, który za zmianą okoliczności, zostanie na boku i nie przyłoży ręki do dzieła, w chwili danéj, koniecznéj, jedynéj może. — Nie potrafi jéj wtenczas samolub od innych rozróznić. — Przyzwyczajenie bowiem do ciągłéj niewiary, wysusza serce i umysł, i nadaje im zupełnie negatywną naturę.

Młody ten pseudo-filozof wbiegł na schody, lecz na pierwszym już piętrze spotkał Zorowskiego z panem porucznikiem Pomykalskim, którego historyą połączoną ściśle z dziejami Prokopa Modliborskiego, od czasu wojen Napoleońskich aż do dzisiejszego wieczora, w kilku słowach opowiedzieć nam wypada.

Lecz przedewszystkiem, chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego Zorowski tak późno na miasto się wybierał.

ROZDZIAŁ III.

KILKA SŁÓW

O DAWNYCH ZNAJOMYCH

WIECZOR PROSZONV.

I

Złapawszy na powietrzu kapelusz zlatujący z głowy i poprawiwszy płaszcza na barkach po owem niespodzianem a gwałtownem skarambolowaniu się z Ameryko-gaskonką; zły że go towarzystwo dolne zobaczyło, wbiegł Karól kłusem na trzecie piętro, otworzył drzwi niecierpliwą ręką, i rzucił się w głębokie krzesło. — Krzesło! przedmiot zazdrości wielu współ-mieszkańców owéj pensyi. — Dwa tylko tak wygodne, chociaż jeszcze przed-robespierowskie pamiętające czasy, istniały w całym domu. Utrzymywano nawet, że w jednem z nich Mirabeau, a w drugiem Siès zwykł

był niegdyś dumać. — Jedno przeznaczonem zrazu było dla bretońskiego kawalera; ale starzec odmówił ze wzgardą krzesło, do którego tak ohydne, chociaż fałszywe jak myślał, przywiązane były pamiątki! Dostało się więc ex-pięknéj aktorce! Drugie przez stronność gospodyni oddane zostało Karolowi pod pozorem, że siedzącemu i pracującemu wiele w domu oczywiście potrzebniejszem było, niżeli grającym w domino po całych dniach w sąsiedniéj kawiarni, lub przepędzającym wieczory w salonie i sali jadalnéj, jakeśmy to widzieli.

Lecz zaledwie Karól odetchnął po gwałtownym biegu aż pod dach domu, kiedy niespokojność która go cały wieczór dziś dręczyła, wypędziła go, jak duch gwałtownego Mirabeau, z dawnego krzesła tego rewolucyjnego atlety. — Zaczął szybko zatem chodzić po małym swoim pokoiku, zawadzając czasami o nieliczne meble i łóżko, nie myśląc nawet o zapaleniu świecy.

Biedny chłopiec! Ile tam myśli przez głowę jego przeleciało? — Od Łęczyckiéj wioski, na operę; od salonu pani B..... do salonu na dole biegała dusza rozczulając się, zapalając, wątpiąc, dąsając się — nawet gardząc. — Jak w kalejdoskopie przedstawiały mu się i ginęły najrozmaitsze obrazy.

Obok obrazu jaśniejącego w loży pod kapiącem światłem ze wszystkich stron ogromnéj sali; obok a jednak w dalekiéj przestrzeni, drżał w cieniu, między bezlistnemi drzewami, gęstym śniegiem przypruszony domek szlachecki. — W nim — tak jakby przez okno spoglądając, widział Karól ostatnie krzątania się siostr i matki i zasypiającego najmłodszego brata; widział ojca w pokoiku od ogrodu — dawnym pokoiku dziada swego pana Piwo, którego był nie znał, jeśli nie z dziwnych opowiadań i wieści chodzących jeszcze o nim po parafii i okolicy.

W pokoiku tym, zdawało się Karolowi, że było ciemno, tak jak i u niego na poddaszu paryzkim.— Tylko przeze drzwi uchylone nieco do sali jadalnéj, gdzie jeszcze się uwijano, trochę światła wkradało się do niego. — Ojciec rozbierał się powoli,— miał twarz smutną — czasami wzdychał. — W tem cicho weszła matka, położyła usta na schylonem czole ojca. On ją ścisnął za rękę. Coś cicho poszeptali sobie — nareszcie uściskali się na dobranoc i

matka wysunęła się z pokoiku, a ojciec rozebrał się, przeżegnał i położył do łóżka.

W téj chwili zakołatano do drzwi Karola i przerwał myśli Marcin Pomykalski.

— Jużem tak dawno pana Karola nie widział: że dziś gotów byłem czekać na niego, choćby i do północka, żeby go przecię zobaczyć. Panicz do starego wiarusa ani zajrzy, a ja dalibóg nie mam czasu we dnie, a wieczorem mospanie — chciałby człowiek stare kości zawczasu w łóżku wyciągnąć; bo to ekonomować w Paryżu podobno gorzéj, niż u nas. Na Kujawach albo w Łęczyckiem, człowiek po pracy zagrzał przynajmniej dzban piwa w kominie i wypił do poduszki; a tu spracowanemu iść milę drogi z Batyniolu, (Batignolles,) za Panteon po błocie i w nocy; przeprawiać się przez rzekę, żeby najczęściéj pana Karola nie zastać w domu; i potem wracać i kłaść się spać naczczo — dalibóg vexant, jak mój patron mowi, kiedy mu się co nie uda.

— Kochany poruczniku, cały dzień siedząc w domu, muszę choć... wieczorem przejść się trochę, jeśli nie do ludzi, to przynajmniéj na spacer.

— Na spacer!... do jakiejś dulcimei zapewne,

hem? Nie dalekoć jabłko pada od jabłoni, mówią. Pan major, jakeśmy byli w jednym regimencie, także...

— Ach dajże mi pokój poruczniku, przerwał Zorowski: dulcimei żadnéj nie mam. To nie mój zwyczaj. Trzeba przecię, choć wieczorem przewietrzyć się, kiedy dzień, jak student w domu przepędzam. Zresztą uciekam jak mogę, przed temi niegodziwemi schadzkami na dole.

— Już to zapewne dulcimea musi być młodsza od aktorki na dole, rzekł stary wiarus spoglądając figlarnie na Karola.

— Przestań, przestań, kochany poruczniku. Jakoś nie w humorze dziś jestem... myślałem dopiero co... o domu — o rodzicach.

— Hem! hem! To tak każdemu z nas się marzy ciągle. Zawsze ta Polska w oczach.

— Czy tam jest który z polaków na dole?

— Jest ich czterech i zapewne tu przyjdą na fajki.

— Ach ja nieszczęśliwy!

— Wiesz co panie Karolu. O to tak! Odprowadź trochę starego ku Sekwanie — pogawędzim po drodze. A tymczasem oni skończą wista, bo już po

dziesiątéj, a pani gospodyni nie lubi dłużéj lampy palić; więc muszą iść gdzie im się podoba, ale nie tutaj na fajki, kiedy nikogo nie będzie.

— Masz racyą poruczniku, rzekł żywo Karól, porwał za kapelusz, i obydwa zbiegając ze schodów napotkali młodego kolegę, i zabrali go z sobą; Karól bowiem nie myślał dla niego zmienić raz ułożonego planu. — Henryk jednak niedługo im towarzyszył na ulicy. Mieszkając także w téj saméj części miasta, blisko Panteonu, opuścił ich wkrótce i zginął w jednéj z ciasnych uliczek.

— Chciało mi się pogawędzić dzisiaj trochę; ale kiedy już pusta pensya na dole, to panie Karolu — wróć do domu. Gdzie się tam będziesz włóczył dla mnie po nocy? Już w pół do jedynąstéj biło.

— I owszem, i owszem kochany poruczniku, pójdę aż ku bulwarom. Tam się rozstaniemy.

Taka jest natura ludzka — a raczéj zakochanych chłopców. Nie przyznając się sobie samemu, szukał pozoru żeby — niby niechcący, zbliżyć się ku operze; żeby przynajmniéj przejść przez ulicę — usłyszyć odgłos muzyki — spojrzeć w okna w których — wie dobrze, że nic nie zobaczy. — Ale może się jednak... przypadkiem... ujrzy karetę i

wsiadającą do karety Cecylią? może... jéj suknię tylko? Ile to wtenczas będzie na całą noc pociechy!

A jeśli przez jakiś instynkt niewytłómaczony, jakiś wpływ magnetyczny, wychodząc z opery, Cecylia zatrzyma się na schodach przedsionka i obejrzy? — i zobaczy? — i pozna? — i spotka jego oko!... Bywa to czasem.

Więc idą daléj: Karól zbliżając się ku bulwarom, a porucznik ku swojemu domowi na przedmieściu. — Nim jednak oni przejdą przez most na Sekwanie, powiedzmy słów parę o losie naszego Marcina Pomykalskiego, i jego pułkownika, o którym nic nie słyszeliśmy od czasów Księstwa Warszawskiego. — Historya krótka — w kilku słowach. — Pomykalski służył w pułku Prokopa Modliborskiego aż do czasu, kiedy po wojnach Napoleońskich, niedobitki nasze miały stać się jądrem wojska małego Królestwa Polskiego, wymyślonego na kongresie wiedeńskim, i przejść pod dowództwo Wielkiego Księcia Konstantego.— Pułkownik i wachmistrz naradziwszy się z sobą i z majorem Zorowskim, który już był wcześniéj, dla ran odniesionych służbę opuścił i osiadł na

wsi z żoną — zdjęli także razem mundury, nie mogąc odważyć się na służbę pod wielkim Księciem, mimo przyznanych znaków, barwy i nazwiska armii polskiéj. — Prokop wolał wziąść za pomocą Zorowskich małą wioseczkę w dzierżawę, i tam — nie myśląc się żenić, doczekać lepszych czasów, w którychby mógł znowu szabli dobyć; a wachmistrz osiadł przy nim bez wyraźnych obowiązków — jako niby dawny wiarus kolega, w istocie jednak pełniący obowiązki ekonoma.

Nie byli oni nieszczęśliwi przez te lat pietnaście. Gospodarstwo szło dobrze, bo rząd był w domu, ufność zupełna między nimi, oszczędność, a przytem pan Bóg wyraźnie dopomagał.

Rok 1830 wywołał ich z domu i wsadził na konie. — Prokop dostał pułk jazdy nowo wystawiony przez obywaleli, a stary wachmistrz, w czasie gdzie doświadczeni żołnierze byli nader potrzebni, miał pluton pod jego dowództwem. — Żołnierze lubili starego wiarusa, bo w nich wzbudzał nieograniczone zaufanie przez odwagę i wrodzoną przebiegłość, umiał się z nimi obchodzić, i dotego anegdotkami z wojen Napoleonskich, (nie-

zawsze ścisłéj prawdy trzymając się w opowiadaniu,) bawił.

Przezwano go stryjaszkiem, dla odróżnienia od pułkownika poufale przez żołnierzy wujaszkiem nazywanego, a to z przyczyny jego siostrzeńca Karola Zorowskiego, którym obydwa się opiekowali. — Stryjaszek pokazywał się nawet trwożliwszym od prawdziwego wuja, o młodego chłopca; bo pułkownik mimo szczerego przywiązania, surowy i sumienny w wykonywaniu obowiązków, nie chciał aby Karól w służbie był ochraniany. Gdy tymczasem mniemany stryjaszek radby był za niego czasem noc nie spać, lub iść na patrol, żeby się, jak mówił stary wiarus wąs rudy kręcąc — « chłopczysko wyspało » lub żeby — « bez potrzeby w ręce kozuniów nie popadł. — »

Po skończonéj wojnie, pułkownik ani chwili się nie wahał, i drugi raz w życiu wybrał tułactwo, zamiast niewoli. — Porucznikowi zaś nie chciało się puszczać na włóczęgę. — Przemierzył on był już za młodu Europę parę razy od końca do końca, i sprawdził przysłowie że « wszędzie dobrze, najlepiéj w domu. » Więc tak sobie w téj okoliczności rezonował:

« Stary major Zorowski wrócił do żony i dzieci, i podobno dobrze zrobił. — Gdybym ja też osiadł przy majorze? On się coś prędzéj pomyka ku starości niż ja albo pułkownik. — Zwyczajnie nie kawaler jak my mospanie! — I brzuch mu rośnie! Gospodarowałbym mu wiernie. — A znam grunt na wiosce, boć przecię to w niéj się rodziłem. — Wiem gdzie pan Piwo pszenicę siewał — a gdzie żyto. — Mospanie! człowiekby skończył życie tam gdzie się wychował... to jakoś do serca gada!...

Pogrzebanoby kości gdzie pan Piwo leży..... Mospanie! I pan Sylwester!.. — Jeden obok drugiego. — O parę kroków od miejsca gdzie się byli rąbali. — Puf!... jak to czas idzie! Małem byłem jeszcze na onczas chłopięciem... — Jeszcze nie raz kańczugiem mnie wtenczas pan Piwo skropił — do pięciu ran pana Jezusa, jak zwykł był mawiać. — Szczęśliwe to czasy były!... Już się nie wrócą. A za uszy ilem to razy dostał!.....

I to tak przy panu Janie i przy pani Ewie....

Na przypadek choroby..... pamiętaliby o starym! — »

Tak z sobą rozmawiał drugiego dnia emigracyi nad wieczorem, i dumał nasz Marcin, nielitościwie

wąs kręcąc i chodząc w szerokich szarawarach skórą wyszytych, między szeregiem koni poprzywiązywanych do płotów w Golubiu, gdzie prusacy w kwarantannie trzymali przechodzące granicę pułki polskie. Dumanie przerwał tylko kiedy niekiedy ofuknięciem się na żydów, hurmem zbiegających się dla nabycia za bezcen koni, które każdy, rad nierad, sprzedawać musiał. — Czarny zamek Golubski, prawie zupełnie opuszczony od czasu kiedy ostatni starosta Skarbek przestał w nim mieszkać, zaczerwienił się z jednego boku od promieni zachodzącego słońca. — Bagnety chodzących czat pruskich migały na zrujnowanych wałach. Marcin rzucił wzrokiem ku górze. — Tam — za rudemi od starości szybami — Prokop i Karól, wyciągnięci na słomie, niemi — smutni — czekają rychło ich władze pruskie w dalszą podróż nie puszczą.

Marcin wąsa zakręcił tak, że mu zaledwie połowa w garści nie została — łzy mu stanęły w oczach.

— « Tak ich znowu samych w świat puścić!... Jeden już podstarzał, a drugi jeszcze prawie nie dorosł... Panie Marcinie! to nie idzie!... Człowiek zbabiał przez piętnaście lat pokoju. — Nawet te

kilka miesięcy bójki pfeferu nie dodały. — Tak nie idzie! »

Zakręcił znowu wąsa, obrócił się na piętach, jakiś ogień błysnął między łzami w oku, potrącił naumyślnie żyda co mu stał na drodze i prędszym krokiem, z dobrą miną, gwiżdżąc, niby to wesoło choć serce pękało, poszedł na zamek.

— A co pułkowniku! odezwał się do swoich, wchodząc z tąż samą dobrą — fanfarońską miną: czy konno w świat ruszym? Żydy nam po kilka talarów chcą za konie dawać; może daléj sprzedamy je trochę drożéj niż w Golubiu?

Prokop spojrzał na niego z boku, uśmiechnął się zwyczajnym sobie smutnym i przyjemnym uśmiechem — i rzekł półgłosem:

— Tybyś miał ochotę Marcinie wrócić na Kujawy albo w Łęczyckie, i masz podobno racyą. Po co stare kości po świecie nosić!

— Oh! pułkowniku! Stare kości! Toćto podobno — z przeproszeniem — Marcin młodszy od pułkownika.

— Żart na bok, kochany Marcinie. Ty tylko dla mnie chcesz daléj jechać. Inaczéj wróciłbyś do

swoich. Namyśl się jeszcze. — Karól jedzie ze mną. Sam więc nie będę.

— To będziemy we trzech pułkowniku.

— Prawda, że to przykroby było rozstać się po całem życiu spędzonem razem, rzekł Prokop nieco drżącym głosem. — Zdawałoby mi się, jak żeby... śmierć stanęła między nami. — Jednak Marcinie, żal mi cię wyprowadzać z sobą na włóczęgę. Zostań lepiéj.

— No! już nie ma o czem dłużéj gadać pułkowniku. — Już to nam trzeba razem skończyć, kiedy nas pan Bóg tak jakoś pożenił. Oto lepiejby pułkownik tego tu chłopca ojcu odesłał, bo major wyraźnie zaczyna podupadać na siłach choć od nas niestarszy; a najmłodszy synek jeszcze prawie w pieluchach. — Karól porwał się ze słomy na któréj obok wuja leżał.....

Trudno opisać koniec téj sceny, dość że za kilka dni wszyscy razem ruszyli w świat.

W początku emigracyi pułkownik z Karolem bawili w Paryżu. Pierwszy dlatego żeby być bliżéj tego kotła, w którym myślano, że się losy świata wtenczas warzyły; drugi dla nauki.

Marcin dostał się do jednego z najliczniejszych

zakładów na prowincyi. — Nie wiedząc co robić, robił to co inni — politykował; ale politykował po swojemu. — Wielkie zmiany towarzyskie na świecie nie obchodziły go wcale. — Nawet w nie nie wierzył. — « Mospanie, mówił, jeśli francuziska rozhulają się za bardzo, to znajdzie się znowu Napoleon, co ich okiełzna. » — Ale najważniejsza część polityki u niego była ta, co dotyczyła osób — osób jemu znajomych. — O panie! jak kto dotknął naprzykład honoru Prokopa, (co się zdarzało,) wtenczas porucznik pokazał się nie łatwym do ugłaskania : wtenczas gotów był na kilka kroków się strzelać. W istocie postrzeliwszy dwóch krnąbrniejszych, sam coś oberwawszy po uszach, sprzykrzył sobie to życie wrzaskliwe i ruszył do Paryża, gdzie łatwiéj było żyć na ustroniu niż w małem mieście.

Tymczasem rząd francuzki, co rok umniejszał zapomogi dawane wychodźcom polskim. Każdy przeto, ktory nie miał z domu zasiłku, rad nie rad, musiał starać się o zarobek. — Nie łatwa to była rzecz często cudzoziemcowi, w kraju przepełnionym szukającymi pracy, zarabiać na życie. — Jeżeli nie było szczególnego talentu, przyjmowano

naszych jak z łaski, najczęściéj dla tego że im taniéj niż francuzom płacono. — Osobliwie starszym w stopniach, officerom z krzyżami, niepodobna było prawie umieścić się u prywatnych. — Francuzi nie lubili mieć do czynienia z ludźmi, których nie śmieli, często nawet nie mogliby traktować z góry jak sługi. — Ztąd też Prokop znalazł łatwiéj sposób zarobkowania dla Pomykalskiego, niż dla siebie samego. — Umieścił go w rafineryi cukru, jako prostego robotnika. Marcin myślał z początku, że nie wytrzyma, kiedy mu przyszło, w ubiorze takim prawie jak do kąpieli, dnie przepędzać dźwigając, i pocić się nie ustannie. — Lecz że właściciel, dawny kolega wojskowy Prokopa, obiecał za pół roku zrobić go nadzorcą fabryki; przeto nasz Marcin cierpiał w nadziei rychłego polepszenia losu, i istotnie — mówiąc jego własnym językiem — wkrótce zaczął ekonomować za sto franków miesięcznie. — A że Marcin zawsze był przebiegły i nie hulał, tedy nie tylko na życie te sto franków mu wystarczyły, ale nawet miał zawsze od przypadku grosiwo w zapasie. Sam sobie jeść warzył, kaprala palił, bóty podkute nosił; sam surdut przechodzony nicował, naprawiał, póki

9

tylko można było; a chustkę na szyję tak długo na wszystkie strony przewracał i składał, że mu za pięć trwała. Jak ją rzucił przez okno na śmiecie, to już kawałek jeden drugiego się nie trzymał. — Przytem rzecz dziwna, zawsze czysty, zapięty, wyciągnięty jak na rewiję. Dziury załatane lub zakryte, że ich dostrzedz nie można było.

Z pułkownikiem gorzéj się działo. — Jak po wojnach Napoleońskich nigdy nie chciał był słyszeć o summie zapisanéj mu przez ś. p. Kasztelana kujawskiego; tak i teraz żadnéj od Zorowskich pomocy przyjąć nie chciał. Po wyczerpaniu więc ostatków przywiezionych z Polski i zmniejszeniu zasiłków udzielanych przez rząd francuzki, obaczył się w istotnéj biedzie. — W Paryżu dłużéj bawić nie mógł, wyniósł się na prowincyą dla tańszego życia, i dlatego nie spotkaliśmy go dotąd w stolicy.

Bolało to ciężko Zorowskich: bolało i poczciwego Marcina, któryby oddał z serca połowę zarobku, mimo że im starszym tém ostrożniejszym pokazywał się w wydatkach. — Lecz uporu nie można było zwyciężyć. Jeden tylko sposób, oszukiwania pułkownika z przyjaźni, pozostał im. —

Do tego się też udawano, żeby mu dopomódz. — Modliborski zostawił był kilkanaście tysięcy tu i ówdzie rozpożyczonych w Polsce. — Otóż — stary Zorowski, posyłając pieniędzy synowi, dołączył czasami sumkę dla Prokopa z listem, w którym — pobożne popełniając kłamstwo — utrzymywał, że ktoś tam jakiś dawny dług wypłacił. — Marcin raz popełnił był nawet inny rodzaj szalbierstwa. Zabrawszy od Karola pieniądze z Polski i listy do pułkownika nie zapieczętowane, pod pozorem że się także do niego dopisze, i razem wszystko odda na pocztę; poważył się podskrobać i pozmieniać cyfry, żeby mógł swoich sto franków dorzucić do summy przez majora Zorowskiego przysłanéj pułkownikowi.

Dziś wieczorem idąc od Panteonu ciasnemi uliczkami ku Sekwanie wraz z Karolem, odezwał się w te słowa:

— Już się dawno nic nie posłało pułkownikowi, a teraz zima; musi być ciężko staremu. Może nie ma kawałka drzewa na komin.

— Ach kochany poruczniku! serce pęka, jak się o tem pomyśli. Ale kiedy nie ma z nim rady. — Jać wprawdzie nie przy pieniądzach teraz; potra-

fiłbym jednak dostać zkąd kilkadziesiąt franków, gdyby je tylko chciał przyjąć. — Lecz darmo mu posyłać. Wiesz, że je odeszle napowrót i jeszcze się obrazi.

— Toć wiem, że uparł się stary. Jabym tam... może też mógł zkąd dostać!...

— Z kieszeni porucznika, rzekł uśmiechając się Karól. Wiemyć dobrze,ześ krezus w emigracyi.

— Żeby to pan major napisał w tych czasach, toby można sfabrykować jaką gadkę pułkownikowi i posłać ze sto franków. Miałby stary na drzewo i na tytuń.

— Ja się właśnie w tym czasie spodziewam wiadomości z domu. Może i wkrótce nadejdzie.

Tak rozmawiając wyszli nad brzeg Sekwany i przez most pierwszy przeszedłszy, dostali się na wyspę. — Tam obróciwszy na lewo, dążyli przez Nomy-most, Louvre, Carousel, i ulicę Richelieu, ku bulwarom.

Taka różnica między jedną a drugą częścią miasta, że Paryż — jakby się obudził wśród nocy, zahuczał im znowu w téj stronie. — Na rogu dwóch ulic, przede drzwiami jednéj trzeciego lub czwartego rzędu kawiarni, stał kabryolet. — Furman

drzymał, kiedy drzwi się otworzyły i wybiegł z kawiarni młody mężczyzna — wskoczył do kabryoletu, i zbudziwszy końcem ładnéj laseczki woźnicę, ruszył także ku bulwarom.

— Hrabia Wacław, rzekł uśmiechając się Marcin.

— Co on tu mógł robić? odpowiedział Karol; myślał bowiem, że był oddawna na operze przy pięknéj Cecylii.

— Co on tu mógł robić? Toć on tu co wieczór przyjeżdża na półgodziny popularyzować się między naszemi krzykałami. Przecię pan Karól musi wiedzieć, że w téj kawiarni schadzki mają nasi panowie, co to świat na nowo chcą urządzić. — A pan Wacław demokrata! — musi być między nimi. Panu Karolowi to dziwno, ale nie mnie! — Znałem-ci ja jego tatusia. Jak dwie krople wody do niego podobny. — Tamten się popularyzował — i ten także. — Tamten za *liberum veto*, ze elekcyą, za republiką obstawał; ten demokrata — i republikanin. — Tamten podobno drwił z ludzi i myślał o sobie — i ten toż samo. — A taką poczciwą ma matkę, mospanie! Aż przykro na sercu kiedy się pomyśli, co ta biedaczka musi cierpieć. — I ojciec i syn tak panie... na wspak poszli. — Ani

za młodu, ani na starość pociechy. A anioł mospanie... szczery anioł panna Starościanka. — Już ci to musi być wiadomo panu Karolowi, że pułkownik się był za młodu palił do panny Tekli.

— Słyszałem ja coś o tem od matki.

— Mospanie kochał ją nielada. Ale dzieckiem prawie wyswatano ją za bogatego kuzyna, za ojca hrabiego Wacława, i tak panie, zostaliśmy obydwa kawalerami.

— A panna czy mu była przychylna? zapytał Karól, który zaledwie przypominał sobie, że kilka razy matka jego, wspominając o jakiejś wielkiéj pani mieszkającéj na Rusi, spójrzała figlarnie na pułkownika. — Pułkownik zazwyczaj na żart taki brwi zmarszczył, a major Zorowski mrugnął na żonę, żeby umilkła. — Okoliczność ta, nie obudzała wielkiéj ciekawości w młodym chłopcu na ówczas: — wszakże ją zapamiętał. — Ale napomknienie dzisiejsze o miłości pułkownika do matki Wacława, nierównie mocniéj uderzyło umysł Karola. — Myślał on, bo zazdrość łatwo powstaje w sercu zakochanych, że Wacław jest lub będzie jego rywalem. W duszy swéj poetyckiéj szukał tedy jakiejś mistycznéj zagadki — szukał przy-

czyny, dlaczego los lub Opatrzność stawia na drodze jego życia jako zawadę, właśnie syna owego człowieka, który pojął jedyną kobietę mogącą wzbudzić miłość w sercu jego szlachetnego wuja?

Tak rozmawiając i dumając, zbliżyli się obydwa do bulwarów. Karól pożegnał starego żołnierza i poszedł ku operze. Mnóstwo karet, powozów, doróżek stało czekając. Jedynasta i w pół do dwunastéj wybiło, a jeszcze mało kto opuszczał teatr. Tylko starzy — bojący się tłoku, wychodzili powoli — i odjeżdżali, lub wlekli się piechotą po nocy do domu. — Nareszcie przed samą dwunastą, ruch lekki naprzód, potem nieco większy powstał koło teatralnego gmachu. — Głos lokai, furmanów, policyantów rósł coraz mocniéj. W końcu zagotowało się na całéj ulicy. — Trzask, rumor, śmiechy, krzyki rozległy się na około — aż póki rozszerzając się po przyległych ulicach, i zarazem wolniejąc stopniowo — nie ucichły zupełnie wśród sennego miasta.

Karól w płaszcz zawinięty — jak duch jaki przesuwał się między pojazdami, okiem bystrem śledząc na wszystkie strony.

Nie zobaczył! — Los mu był wyraźnie dnia tego

zawistny. Doczekał ostatniéj karety — kwadrans wybił po dwunastéj — zamykano teatr. — Zżalem tedy opuścił jakby plac boju i utonął w głębi Paryża!

II

Nazajutrz o dziewiątéj godzinie rano wstawszy znużony, (bo aż nadedniem zasnął dopiero,) spojrzał od niechcenia w okno. Widok dnia nie orzeźwił ani pocieszył. — Okno wyglądało na ogród otoczony wysokim murem, za którym wznosiło się długie — czarne więzienie. Nieco daléj widać było szpital. Smutne sąsiedztwa. Wszystko przykryte śniegiem, ledwo co spadłym, a już topniejącym. — Na korytarzu słychać drzwi trzaskanie i stąpanie schodzących pensyonarzów na kawę; stukanie szczotki zamiatającéj i zapewne wznoszącéj kurz po wszystkich zakątkach domu; wołanie gospodyni na portyera niosącego buty, wodę i t. d. na trzecie i czwarte piętro.

W pokoju wilgotno — zimno. — Ledwo kawa-

łek dywanu jak dużego psa język, tuż przed łóżkiem, a daléj ceglana posadzka. — Rozrzucone węgle, których nikt nie poprawił na kominie. — Karól wstał, zadzwonił na nieszczęśliwego portyera, niewiedzącego komu pierwéj odpowiedzieć, do kogo biegnąć, tak wszyscy na biedaka wołali i dzwonili — i uklęknął przy łóżku żeby trochę myśli zebrać i pomodlić się.

Portyer wszedł tymczasem, ułożył drewka na kominie, przyniósł dwa węgielki żarzące, położył je na drewkach i dmuchnął z dziesięć razy. Niebieski płomyk ukazał się nad węgielkami. — Portyer już kontent z rezultatu, położył mieszek i wyszedł—a niebieski płomyk zniknął i zostawił po sobie dymek daleko niewinniejszy od dymu fajki którego z niemców w sali jadalnéj przy kawie.

Tak zapalają ogień w niektórych hotelach paryzkich. — Nie było rady! Żeby mieć trochę ognia, trzeba się było samemu wziąść do mieszka. — Karól z całą umiejętnością francuzów oszczędnych położył na dwóch drewkach opartych na żelazach a prawie dotykających się z sobą, dwa węgielki, w których jeszcze parę iskierek dostrzegł. — Węgielki te obok siebie tak ułożył, że się świecącemi

stronami pocałowały, i lekko — z wielką ostrożnością dmuchając, rozniecał je powoli i rozżarzał. — Popiół z pod dwóch drewek, między żelazkami wybrany, nie przeszkadzał powietrzu wciskać się między szczeliny nad któremi wisiały węgielki. Kiedy te stanęły w ogniu, Karól zaczął je przykrywać powoli innemi węglami, tu i ówdzie zbieranemi w kominie. Żar rósł coraz mocniéj, aż nareszcie i drwa syczeć poczęły. — Natenczas Karól przyłożył trzeci kawałek na wierzchu nad rozpłomienionemi węglami i ogień powstał na dobre.

Troszkę weseléj zrobiło się w pokoju, i Karól weselszy powstał od komina, a w tém zapukano u drzwi. — Wszedł w liberyi lokaj pani Chuchowskiéj i oddał list zdaleka pachnący, a nieskazitelnéj formy. Pieczątka nieherbowa, ale tylko z konceptem. Pani Chuchowska nie lubiła używać nie hrabioskiéj korony, a hrabioskiéj nie śmiała.

Karól się zarumienił. To nie kontessy ręka. Kiedy ona pisać się uczyła, na Rusi prościejsze stawiano litery : tu adres długiemi pochyłemi, angielskiemi literami wypisany. To nowsza moda, a sposób pisania nie zmienia się tak łatwo jak suknia. — Na

tym adresie Karól odgadnął rękę Cecylii i list odpieczętował zbijącem sercem.

Zaproszenie na pojutrzejszy wieczór — na filiżankę herbaty, — jak to mówią. — Nic więcéj! — Pani Chuchowska kazała zapewne córce takich dziesięć albo dwadzieścia napisać. — Córeczka ładniéj pisała, mamie się nie chciało — oto cała tajemnica; — a Karolowi serce biło! Kto wie co ona myślała stawiając te litery? Pod każdą może leży jakie uczucie? Każda jest hieroglifem, który... kto odgadnie?

Przez dwa dni i noc jednę Karól tylko o wieczorze śnił i myślał. Chłopcy pod tym względem biedniejsi od panien, bo myśl nie jest nawet zachodem o stroje roztargniona. — Frak wisi na kołku i czeka solennéj godziny, a tymczasem serce stuka i stuka.

Nareszcie nadszedł wieczór — ale jeszcze nie godzina. Dopiero szósta! tam jeszcze obiad jedzą. Siódma! dopiero wstawają od stołu. — Karól chodzi po swoim pokoiku — myśli — spogląda na zegarek. — Nerwy grają, aż słabo biedakowi się robi.

Osma nareszcie! Ha — to czas! wielki czas!

nawet zapóźno! Nim się ubierze! — nim zajedzie! — Nie chciał być pierwszym — teraz będzie ostatnim!

Pozrzucał dzienne oddzienie, ubrał się żwawo, zapiął frak, wsiadł do doróżki i mało co po dziewiątéj był na ulicy St. Honoré d'Anjou przed domem kontessy.

Nie wielki wieczór — wieczorek sobie, ale ładny. Najwięcéj ziomków, emigrantów i nie emigrantów. Nie brakło jednak na cudzoziemcach. Sporo anglików — jak przystoi. — Parę dam francuzkich, jedna Księżna włoska, tu i ówdzie literat lub artysta dla honoru cywilizacyi słowiańskiego domu.

Ledwie wszedł Karól, pani Chuchowska, tuż przy drzwiach przypadkiem stojąca, przywitała go uprzejmie głową i gestem, ale ani słowa nie rzekła. — Cecylia zobaczyła go natychmiast i kiedy się przybliżył do niéj, ukłoniła się bardzo wdzięcznie; a chociaż otoczona w téj chwili kilku rówienniczkami i kawalerami będącymi właśnie w akcie zamiany pierwszych frazesów bez koloru i sensu; przecież wyraźnie czekała, czy Karól jéj co nie powie.

Lecz Karól nie wiedział co powiedzieć! Cecylia rada nie rada, musiała głowę obrócić ku jednemu, młodemu galicyaninowi, który od kilku dni powziął był chwalebny zamiar w niéj się kochać — a Karol został niemy na miejscu gdzie stanął. — Zmięszany nieco swoją głupotą, spójrzał po salonie i spostrzegł panią B... siedzącą z innemi damami na kanapie. Rozmawiała żywo bawiąc się wachlarzem, ale patrzyła na niego. — Karol zgadł, że widziała wszystko i zrozumiała każdy krok, każdy ruch jego. Zawstydziło go trochę nieporóbwnane, jedynie zakochanym wybaczane mazgajstwo; szedł jednak zwolna ku niéj żeby ją przywitać, przesuwając się między licznymi gośćmi. W tém zatrzymano go za rękę.

— Dobry wieczór, odezwał się do niego Alexander z przyjacielskim uśmiechem. — Cóż ty porabiasz, że cię tak rzadko teraz spotkać można? Zapewne pracujesz? Czy piszesz co nowego?

Karol zatrzymany obcesowo zbudził się i odetchnął, tak jak tonący kiedy gruntu nogą dotknie— odepchnie się ku górze — wypłynie na wierzch — otrząśnie się i obejrzy czy nie ma za co się uchwycić.

— Szkoda, jeśli czas tracisz, kochany panie Karolu. Pan Bóg dał zdatność, trzeba jéj na dobre używać. — Grzechby był żebyś ją marnował.

— Pan chcesz zapewne, żebym o polityce pisał, a to doprawdy nie moja rzecz.

— Niekoniecznie — niekoniecznie, kochany Karolu: — chociaż przyznaję się, że kiedy rewolucyjna część emigracyi taka czynna, to mi się zdaje, że niebardzo wypada siedzieć z założonemi rękami i czekać póki piwa nie nawarzą! Oto patrz, panie Karolu, mój kuzynek (mówił daléj Alexander pokazując z uśmiechem wchodzącego Wacława), ten nie drzymie. Bawi się, a przytém popularyzuje. Jeśli nie pisze, to jednak nie próżnuje. A twój wuj, Modliborski, zamiast tu być z nami i siły nam dodawać powagą, cnotą i rozsądkiem, filozofuje na prowincyi, jak ty na przedmieściu. — Nie wiedziałem nawet gdzie mieszkasz. Byłbym cię już dawno odwiedził. — Dopiero wczoraj Pomykalski dał mi twój adres. To poczciwa dusza, ten stary wiarus. Bardzo go lubię.

Tu jeden ze starych jenerałów polskich przywitał Alexandra, i zaczął z nim rozmowę. Karol ukłonił się jenerałowi i poszedł ku pani B.

— Dień dobry, rzekła, i razem dziękuję.

— Za co, łaskawa pani?

— Że głowa będzie mnie dzisiaj bolała nie w domu, ale tu — na wieczorze i w tłoku.— Taką mam migrenę, żebym się pewno z domu nie ruszyła, gdybym nie myślała, żem powinna koniecznie dziś być na placu boju. — Nie codzień zdarza się bowiem, żebyśmy znajdowali się razem we troje— co mówię? we czworo! Zapomniałam o mamie, a mama właśnie jest bardzo ważną osobą. — Siadaj na chwilę przy mnie. Oto jest miejsce. — Ja ztąd nieruszę się przez cały wieczór. Doskonały punkt do obserwowania obrotów. Widziałam jak mama przywitała cię od niechcenia; jak córka ścigała za tobą oczami, chociaż otoczona i zajęta gośćmi. — Widziałam także, jakeś się przybliżył do ładnej panienki, i głowę stracił— dodała cichszym jeszcze głosem, ale śmiejąc się dość głośno, i bawiąc wachlarzem.

— Jak nie stracić głowy kiedy się widzi...

— Że tobą zajęta — nieprawda?

— Więcéj niżeli innymi przynajmniéj.

— Oh! niezawodnie więcéj niż tym, naprzykład, paniczem (pokazując końcem wachlarza Galicya-

nina rżekła pani B.), który więcéj w źwierciadło patrzy niż na nię, chociaż z nią niby rozmawia. Za jednę rzecz mogę ci zaręczyć,' kochany Karolu. Gdybyś miał majątek i nie był emigrantem, Cecylia ciebieby prędzéj niż jego wybrała — a to dla bardzo prostéj przyczyny : matka nie zabroniłaby jéj w tobie się kochać; a ty jesteś nierównie przyjemniejszym.

— Mówią od kilku tysięcy lat, że zawady powiększają miłość.

— Niekontent jesteś ze mnie, kochany Karolu.

— Przepraszam : myślę, że pani z najlepszego serca odradzasz mi Cycylię; ależ trzeba przecię dobre przyczyny dawać, żebym mógł uwierzyć, że już zupełnie dla mnie nadzieja stracona.

— Miłość powiększa się przeszkodami : tak mówią i tak często bywa, choć nie zawsze. Lecz tu nie o to idzie : — tu mama nie pozwala miłości wkraść się do serca Cecylii.

— Dlaczegoż mnie prosiła na dzisiejszy wieczór?

— Jak ta miłość rozum odbiera! Dlatego zaprosiła cię na wieczór, żebyś ani ty, ani córka, ani obcy nie spostrzegli się, że jéj uwaga na ciebie

zwrócona. — Co więcéj powiem ci, kochany Karolu. Może być, że nawet nie miała wcale cię zaprosić; ale Cecylia wspomniała o tobie, a matka powiedziała od niechcenia : « Prawda, dobrze żeś mi przypomniała; trzeba mu także bilet posłać. » Cecylia nie wié i wiedzieć nie powinna, że matka na was uważa, a matka ze swojéj strony pewna jest, że ona w tobie jeszcze nie myśli się kochać.— Gdyby tak było, niezawodnie nie byłbyś dziś na wieczorze, a w każdym razie nie w takiby sposób cię przyjęto. Cecylia zbyt naiwnie, szukała cię oczami, i przywitała bez żadnego zmienienia się. Zupełna szczerota dziecka.

— Tem bardziéj się podoba.

— Wierzę! bardzo wierzę, panie kawalerze, że przyjemnieby było w takim pierwotnym pączku miłość obudzić. Poczekaj... Teraz pani Chuchowska na nas patrzy. O! już jéj oczy gdzieindziéj : — Ona na nas także uważa... Gdyby się nie domyślała, że Cecylia u ciebie w głowie, gotowaby cię o zły gust posądzić; a mnie — że młodych chłopców na starość łowię.

— Na starość!

— Jakie zadziwienie! myślałeś, że koniecznie

wypada w téj chwili i przy téj okoliczności komplement mi powiedzieć. — Daj sobie pokój, kochany Karolu!... Otoż i mąż mój... i syn. Wracają z obiadu od księcia Decase.

Wkrótce syn przybiegł i przywitał matkę i Karola. Karol podniósł się i zaczął z młodym B. rozmawiać.— Oh! co tu Polaków! zawołał Francuzik: nigdym ich jeszcze tylu razem niewidział. Kto to jest ten... a ów?... a ten znowu? Pytania wylatywały jedno po drugiém, a potém żarty — śmiechy — zadziwienia, aż póki nie znalazł kogo innego i nie uczepił się na pół godziny, zostawując wolno Karola.

Tymczasem coraz więcéj przybywało gości; coraz więcéj mięszano się, przechadzano, gadano. — Karol przybliżywszy się do Cecylii, i ochłonąwszy z pierwszego ognia, już nie tak jak na przywitaniu pokazał się niezgrabnym.— Ale panna zajmowała innych także. Trzeba było im miejsca ustąpić. Lecz jednak znalazła się raz i drugi sposobność, żeby się do niéj dostać i kilka słówek powiedzieć, a zawsze być z grzecznością i uprzejmością przyjętym.

Oprócz Galicyanina tak wyraźnie ciemiężącego nudną rozmową, jak wyraźnie wzdychającego do

Cecylii, każdy uważał że hrabia Wacław nie był także dla niéj obojętnym. — Czy to dla zabawy tylko, czy też istotnie mu się podobała, tego jeszcze wiedzieć nie można było; ale z całą pewnością człowieka wysokiego położenia, i zręcznością umiejącego żyć w świecie, zajmował się młodą, ładną i dowcipną panienką. — Przybliżył się do niéj raz, wtenczas właśnie, kiedy Karolowi cokolwiek gładziéj zaczęła iść rozmowa; i niepatrząc na niego, jakby nikogo obok Cecylii nie było, lekko — jakby odniechcenia — jakby przechodząc tylko — rzucił słów kilka; potém — niby odpowiedzią panny zatrzymany, przystanął — zaczął mówić i już nie pozwolił jéj żeby obróciła się do Karola, który, mniéj śmiały, mniéj wprawny do wojny salonowéj, naprzód nie wiedział co z sobą zrobić — a potem się cofnął powoli.

Zły na Wacława, zły na siebie, przybliżył się do starego jenerała rozmawiającego teraz z Henrykiem któregośmy przed parą dniami, na pensyi w okolicach Panteonu poznali.

Wąsiki i bródka ułożone arcy-gładko: wymuskany — z resztą przyzwoicie ubrany. Chociaż — gdyby się kto dobrze przypatrzył, zgadłby łatwo, że

trzeba było pewnego wysilenia dowcipu w domu, żeby skompletować toaletę. Rękawiczka gładka, obcisła, dobrze zapięta: tylko... może już nie na pierwszym wieczorze od czasu jak ze sklepu wyszła: lecz któż na to uważa? Frak trochę przetarty: to i lepiéj! nie wygląda się na kupczyka wystrojonego w niedzielę od w pół do dwunastéj. — Kapelusz zawsze podszewką obrócony do kolan: a cóż robić? nikt kapelusza codzień nie kupuje: nie ma co pokazywać, że trochę nie świeża podszewka. — Tylko że to..... kiedy jedna rzecz tak jakoś się zdarzy to już i ujdzie; ale wszystko razem..... Eh! czy to wieczór na prowincyi, gdzie białe atłasowe krawaty koło szyi okręcają. Ręczę że nikt na to nie uważał — nawet hr. Wacław. — Chyba Galicyanin!

Skoro się Karol przybliżył, Henryk podał mu rękę jak łopatkę — nie ścisnął tylko się uśmiechnął uprzejmie. — Pewna forma przybrana: grzeczny, zimny, wymuszony. Forma, bo istotnie jakeśmy wyżéj powiedzieli — nie był bez serca.

Czy więc przybrał tę formę przez głupstwo? boć to w końcu głupstwo jest udawać, że się jest z lodu. I to nie: wiemy, że wcale nie był głupim.—

W części okoliczności — położenie; w części trochę wąska rachuba, wyrobiły u niego takie *extra-nicdorzeczy* (*) obchodzenie się z ludźmi. Był za dobrze wychowany, żeby się łączyć i żyć z grubszą częścią emigracyi; za mało był znany z początku, żeby go wciągano między porządniejszych; a rodzaj dumy zabraniał mu między nich wciskać się samemu. — Unikając jednych a udając że niedba o drugich, wyrobił sobie system lodowatości, ironii i pomiatania drugimi — system długo wygodny — w końcu przynoszący zapomnienie i zupełne odosobnienie, jeśli szczególny talent i zasługi nie postawią tak na nogach, że się bez innych obejść można. Ale — czy to się często zdarza? -- A jeśli się zdarzy, czy serce tymczasem nie skostnieje w systemie? piękny rezultat! Skoro się Karól więc do niego przybliżył, podał mu rękę jak łopatkę i rzekł żywiéj niż zazwyczaj.

(*) Wyrażenie nie autora, ale najlepiéj wychowanego człowieka w Polsce, który nigdy nikomu nie uchybił i nie gniewał się, kiedy jemu uchybiono. Ale położenie jego było też potemu.

— I Karól zapewne tego samego jest zdania co ja, łaskawy jenerale.

— Ależ ja niezupełnie tobie przeczę : — niezupełnie przeczę, że młodzież przybywająca z kraju do Paryża, nie zawsze tak postępuje z nami jakbyśmy się mogli spodziewać. — Często i mnie serce zabolało, patrząc na wielu z tych paniczów. Lecz że ty z nich czasem niesłusznie się wyśmiewasz i chcesz nimi pomiatać — do tego musisz się przyznać. I dlatego też może — nie zawsze dla ciebie grzeczni.

— Przepraszam jenerale! w ogóle oni dla wszystkich nas prawie jednakowi. — Są wyjątki zapewne, i tak — dla jenerała naprzykład — będą z uszanowaniem. Ranga i wiek do tego ich zmusza. Widzą że starsi obywatele przybyli z kraju, lub damy są z respektem, to i oni starają się być przyzwoitszymi. Nawet podchlebiają się czasem, żeby zyskać pochwałę, co im szkodzić nie może. Ale jednak — daruj jenerale że... tak mi się przynajmniéj zdaje... że kiedy mogą czmychnąć na ulicy, żeby się z jenerałem nie spotkać, to tego nie zaniedbają. — Znam ja ich dobrze! Z panem Wacławem będą liberalizować. Z panem Alexandrem

będą rozprawiali o ekonomii politycznéj i ofiarach dla ojczyzny; gotowi nawet do ekonomii wprowadzić sentymentalność, a o ofiarach zapomnieć na mocy reguł ekonomicznych. — Każą się prowadzić do Mickiewicza i Zaleskiego. — Nawet Witwickiego i panią Hofmanową nawiedzą. Lecz zbywszy się tego, jak pańszczyzny, unikają innych jak dżumy, sarkają na całą emigracyą w ogóle, i skarżą się że ich dręczy ciągłą gorączką patryotyczną. — I istotnie dręczy ich, bo niech jak chce będzie, trochę jest niewygodna rzecz hulać tam gdzie inni cierpią za to, że szlachetniéj młode lata spędzili, niż oni dziś je pędzą.

A! chyba że się zachce któremu oszczędzić pieniędzy, lub że je zbyt prędko uciechy paryzkie wyciągnęły z kieszeni; wtenczas czepia się emigracyi, bo czasem dobrze jest korzystać z jakiego emigracyjnego zakładu, gdzie można taniéj...

— Ależ daj już pokój!

— Nie jenerale! to czysta prawda. Lecz za to, jeśli ich spotkasz w jakim salonie u francuzów lub anglików, to przez wdzięczność woleliby cię nie poznać : — bo emigrant, to coś niższego; to część ziomków przez los upośledzona — obwijająca

wszystkich polaków w jakąś smutną suknię — w jakiś całun żałobny, który przeszkadza się bawić i odbiera myśl swobodną. — Nie pozwala być szczęśliwym. — Nawet panny mniéj lgną do polaka, jeśli za bardzo patryotyzuje. — Jeszcze — żeby to przynajmniéj można grać rolę protektora, wspaniałomyślnie dopomagającego biedzie ziomków: — traktować ich z góry w obec cudzoziemców! Lecz cudzoziemcy uwzięli się brać położenie polaków na seryo, i nie chcą dzielić Polski na tych co powinni, i na tych co nie mają obowiązku cierpieć za kraj; nie chcą zrozumieć, że wygnańcy mają byc pośledniejszymi od tych co zostali na roli, gdzie na nich pracują, żeby było za co się bawić — za co grać w preferansa.

— Dawnom cię nie widział tak rozpalonym, rzekł Karól, smutno się uśmiechając, boć i on czuł nie raz małość niektórych zepsutych młokosów, u których żadne gorętsze uczucie nie zagrało w piersi, nawet w pierwszéj wiośnie ich życia; którzy nasłyszawszy się w domu o nieszczęściach na kraj spadłych po wojnie 1831 roku, zgodzili się na samolubne potępienie wszystkiego, co może na szwank fortunę i położenie narazić; i nie zdając

sobie sprawy z własnego moralnego poniżenia, przyszli do jakiegoś nie wyraźnego, ale istotnego u nich uczucia, że wygnanie umniejsza nie powiększa położenie towarzyskie; że na przykład z dwóch braci rodzonych, ten który służył w dwudziestym pułku piechoty, bił się pod Liwem i Warszawą, a potem pracował w biórze jakim lub fabryce we Francyi na kawałek chleba, jest niżéj położonym w towarzystwie, niż drugi brat, który wyszedłszy ze szkoły, pędził wódkę z kartofli, dawał soli baranom, jeździł na człapaku za żniwem, i skarżąc się na ciężkie czasy jadł i pił dobrze, spał we własnym domu, utył, a dla przerwania monotonii życia i pociechy, ćwiczył z sąsiadami w karty przy okazyi.

O! na taką małoduszność i Karól trafił także nie raz w czasie swego pobytu we Francyi, i dla tego smutnie się uśmiechnął; bo niepodobna żeby takie spotkanie nie zasmuciło — nie zraniło serca. — Lecz Karól nie był ani zazdrosnym, ani zawistnym, ani zawziętym. Przeto rozśmieszył go trochę zapał jego kolegi, wywołany inpertynencyą jakiegoś źle wychowanego chłystka. — Istotnie, kiedy Henryk rozmawiał z jenerałem cytując ró-

żne dzieła; przeszli tuż koło nich — ów galicyanin zakochany w Cecylii i pewien panicz brutal. Ten ostatni rzucił był jakąś drwinkę, jakiś koncept niesmaczny, który jak knot płonący padł był na zarozumiałość Henryka, i taką zapalił w nim satyrę na młodzież nie emigracyjną.

— Dawnom cię nie widział tak rozpalonym, rzekł więc Karól, uśmiechając się.

— Bo przykro jest, że te młokosy bez żadnéj zasługi, bez żadnych szlachetnych uczuć, bez wychowania nawet, chcą nami pomiatać jak awanturnikami dla tego że przy wioskach zostali. I to jeszcze tutaj — na emigracyi. Cóżby dopiero było, gdybyśmy wrócili do Polski! Przyjęliby nas jak upiorów wracających z tamtego świata, żeby im mieszać lubą spokojność; jak natrętów, żałując żeśmy nie zmarnieli na wygnaniu.

— Zmiłuj się, bądź trochę sprawiedliwszym, przerwał mu znowu Karól już nie uśmiechając się, ale z wyrazem szczerego wyrzutu. Czyliż każdego roku nie spotykamy młodzieńców pełnych najwznioślejszych uczuć i gotowych na wszystkie poświęcenia; natchnionych tym samym duchem który wybuchnął w roku 1830? A przyznaj! często z wyobrażeniami więcéj rękojmi dającemi Polsce, niż nasze były przed powstaniem.

— Ach! znowu przymówki do Wolteryanizmu uczniów uniwersytetu warszawskiego. — Jeżeli chcesz, to ci przyznaję, że Jezuici więcéjby powolności znaleźli u tych dzisiejszych paniczów niż u nas dawniéj.

— Nie u tych paniczów, na których słusznie się skarżysz, ale u tych w imię których ja bronię nowego pokolenia. Powstając tak na wszystkich młodych ludzi przybywających za granicę, popełniasz względem nich tęż samą niesprawiedliwość, co cudzoziemcy przez lekkomyślność, a często przez samolubną niechęć względem nas popełniają, głosząc, że każdy emigrant polski musi być koniecznie demagogiem.

— Bo więcéj mają pojęcia praktycznego w polityce mój panie dobrodzieju, odezwał się hr. Wacław, niż utopiści, którzy marzą o średnich wiekach z całym przyborem królów, zamków i klasztorów; bo wiedzą dobrze przez rozum lub przez strach, (zależy do jakiéj należą partyi,) że odrodzenie Polski w odrodzeniu ludzkości; że przeto polski emigrant musi w *przyszłości* nie

w *przeszłości* nadziei szukać. — Ale przepraszam, żem przerwał rozmowę... tylko te parę słów musiałem powiedzieć słysząc tak młodego pana jak pan Karol takie stare ogłaszającego opinie.

— Żartuje pan hrabia i basta, przerwał stary jenerał. — Pan taki demokrata, jak ojciec pański.—Utrzymywał *liberum veto*, żeby się popularyzować między szlachtą; a pan demokratyzuje żeby się popularyzować w Emigracyi. — Oto cała historya.

Wacław który już był odszedł o parę kroków, zatrzymał się, spojrzał bystro na jenerała, i byłby może wszczął żwawszą sprzeczkę, mimo niechęci wojowania ze starym weteranem, pozwalającym sobie czasami za wiele wolności w wyrażeniach, i nie bardzo dbającym, w nader nieucywilizowany sposób na to, jak je kto przyjmie; lecz Alexander, naumyślnie zapewne żeby inny tok dać rozmowie, rzekł obracając się do Karola:

— Ja zaś nie mogę przystać na ten podział emigrantów i nieemigrantów, jakby na dwa obozy przeciwne. — Jest podział wprawdzie, przez same położenie, przez samą naturę rzeczy — ale jakby podział na dwa skrzydla tejże saméj armii. —

Odmienne obowiązki, podług odmiennego stanowiska, na którem Opatrzność postawiła; lecz też same uczucia i tenże sam cel. — Bezecna rzeczby była, żebyśmy mieli i o to jeszcze się szwarzyć. — Ja nigdy nie uwierzę żeby kraj miał się wypierać emigrantów, ani też nie zgodzę się nigdy, żeby emigranci rościli sobie urojone prawa.

— Co do mnie, wykrzyknęła pani Chuchowska, ja nad życie kocham emigrantów. Dla nich szczególnie żalby mi było Paryż opuszczać. Co to za szczęście widzieć codzień prawie pana Kasztelana Niemcewicza! Jenerała Kniaziewicza i tylu innych zasłużonych ziomków! — Przeczę zupełnie żeby kraj nie miał cenić emigracyi — Toć przecię na dzieja nasza w was panowie!

Kiedy pani Chuchowska tak na zimno deklamowała, wznosząc oczy do góry; ów panicz brutal, który to był pierwszą przyczyną całéj téj niewczesnéj rozmowy, zmarszczył nos niezgrabnie i szeptał jakieś drwiny do ucha galicyaninowi śmiejąc się i patrząc na gospodynię domu.

Dobry był i poczciwy człowiek, ale obficie niestety uposażyła go natura płaskim dowcipem, który rubasznie kołatał się w jego grubem ciele,

na plagę wielu przymuszonych do obcowania z nim.

Panegiryk wypalony przez panią Chuchowską na cześć emigracyi, zamknął usta wszystkim. Powoli rozeszło się grono przed chwilą tak żwawo rozmawiających, jak się rozchodzi tłum Paryżanów, skoro się spostrzegą, że służyli za igraszkę ulicznikom, którzy rachując na znaną ciekawość tego ludu, udali że czegoś szukają — i tym sposobem zatrzymali trzech, czterech, dziesięciu przechodzących — do których przylgnęło drugie tyle na pociechę i uciechę małych obszarpańców. — Karól trafił znowu do Cecylii, i tą razą udało mu się dłużéj pomówić. Panienka rozgadała się na dobre; aż mama musiala — niby niechący — niby przechodząc — zatrzymać się przy niéj, poprawić różyczkę we włosach i dać jakiś rozkaz do wykonania w drugim pokoju. — Sama — uśmiechnąwszy się wdzięcznie do Karola, usiadła na chwilę przy pani B... i obsypała gradem pochwał biedaka pozostałego jak kołek na środku salonu, bez mamy i bez córeczki. O jego zdolnościach, prowadzeniu się, skromności, dystynkcyi nawet — było wykrzykników nie mało. Potem mówiła o smutnem

położeniu emigrantów, o ich życiu bez celu i przyszłości. — Spoglądając na hr. Wacława, który w téj chwili przysunął się do Cecylii wracającéj właśnie z pobocznego pokoju, dodała pani Chuchowska z westchnieniem : « Oto hr. Wacław naprzykład : piękne imię, rozum, przyjemność; nawet część znaczna ogromnego niegdyś majątku — wszystko jest! Cóż kiedy emigrant! — Gdyby się oświadczył o córkę, musiałabym, rada nie rada, odmówić. — »

O filut kobieta! pomyślała sobie pani B... Zgadła że los Karola nas obchodzi i ostrzega, że emigrantowi nawet wyżéj od niego położonemu i majętniejszu córkiby nie dała. — Biedny Karól! boję się bardzo o niego. — Dziś zabrnął dobrze nieborak, a Cecylia nie myśli o nim. — Matka ma czasu dosyć wszystkiemu zaradzić.

Nie długo wieczór się skończył. Pani B... wychodząc z salonu, kiwnęła na Karola i prosiła go na drugi dzień na śniadanie. On jeszcze ociągał się czas jakiś; ale Henryk napierał, żeby z nim szedł razem na drugą stronę Sekwany, gdzie obydwa mięszkali. — Wacław zabrał był miejsce między Cecylią a matką i poufale rozmawiał. Wejść w to

ciaśniejsze kółko, nie śmiał Karól a inaczéj nie wiedział co z swoją osobą robić w próżnym już prawie salonie. — Z żalem więc — rzuciwszy jeszcze parę razy wzrokiem na Cecylią, dał się wyprowadzić Henrykowi z salonu, tem więcéj że ten ostatni zaczął się już wypytywać z uśmiechem, coby go tak trzymało u pani Chuchowskiéj.

ROZDZIAŁ IV.

EMIGRANCI NA PROWINCYI.

I

Miasteczko Sablé leży w dawnéj prowincyi Menu. Rzeka nie szersza jak Bzura pod Łowiczem dzieli go na dwie części. — Most który za czasów Henryka IV czy nawet późniéj, z podziwem okolicy dla przepychu swego i wielkich nakładów był zbudowany — a dziś na chwilę nie zastanowi podróżnego — łączy nielicznych mieszkańców po ciasnych uliczkach dwóch stron rzeki osiadłych. — Największą ozdobą jest zamek, niestarożytny wprawdzie, ale obszerny i panujący nad miastem, bo zbudowany na wzgórzu. — Kronika niesie, że minister, (nie Sully zapewne, a więc nie za Henryka IV,) rządzący państwem, razem go z mostem

budował; zamek dla siebie, a most dla króla, i dla tego zamek tak obszerny a most tak wiele kosztował. Dawne kroniki nie więcéj, jak widać, od dzisiejszych gazet dbają o dobrą sławę ministrów.

Okolica przyjemna, choć żadnym szczególnym nie odznaczająca się widokiem. — Coś polskiego, z niektórych Lubelskich lub Sandomirskich okolic. Dobrze uprawna, świecąca zbożem wesoło, poprzegradzana laskami. — Pełno ścieżek łączących z sobą wieśniacze zagrody, — Ledwo jedna bita droga, kurzem lub błotem odstraszająca. Natomiast dróżki wabią w zarosłe wąwozy, i na pastwiska; albo też między zboża i borki. — Gdzieniegdzie krzyż drewniany lub murowana kapliczka dla Matki Boskiéj.

I lud równie przyjemny i łagodny jak okolica.

Przynajmniéj takim był jeszcze na ówczas — w roku 1836.

Ze wszystkich okolic Francyi, ta okolica najprzyjemniejsze na tułaczem sercu zrobiła wrażenie. — Zostawiła po sobie jakąś niewyraźną — ale błogą pamiątkę. — Żaden wypadek szczególny nie mąci łagodnego w myśli obrazu. — Jest on jak przypomnienie spędzonych w zaciszu dni niewin-

nych. Prawda, że zazwyczaj tam jechało się na odetchnienie po kilku latach pobytu w Paryżu, do którego — ten co tę powiastkę pisze, zawsze smutny dojeżdżał, a z uciechą zawsze go porzucał.

Może więc dla tego i okolice Menu, i lud jego, tak mu się zdawały przyjemne?

Mieszczanin i chłopek nabożny, gościnny, uśmiechający się, spokojny. Między właścicielem ziemi, mieszkajcym zazwyczaj w jednem z pobliskich miasteczek, a jego dzierżawcą chłopem, zgoda i zaufanie: — ztąd szacunek zobopolny i przyjaźń; poufałość łącząca, nie dzieląca klassy towarzyskie.

Skoro nadchodzi jesień — czas dzielenia się tem co pan Bóg dał na ziemi powierzonéj przez właściciela dzierżawcy, w dzień naznaczony, pierwszy każe zaprządz do wózka, jakby do naszéj drendulki, włożyć do niego kilka butelek lepszego wina, ciast napieczonych naumyślnie w domu na tę uroczystość i jedzie do zagrody raniuteńko, gdzie go dzierżawca z dobrą twarzą czeka. — Do południa mierzą zboże, rachują dochowek, dzielą się bez swarów.

Tymczasem żona dzierżawcy gotuje kurę, piecze kaczkę, układa owoce, nakrywa do stołu grubym ale czystym obrusem. — Koło jedenastéj ksiądz

proboszcz jadący poważnie na małym koniku lub też osiołku, w sutanie podkasanéj, w czarnych pończochach, w trzewikach z wielkiemi błyszczącemi zdaleka sprzączkami i ogromnym rogatym kapeluszu, pokazuje się u wrót zagrody, zsiada na środku podwórka; chłopiec biegnie i ciągnie wierzchowca do stajni, a ksiądz proboszcz wchodzi do stodoły lub spichlerza cieszyć się z parafianami z darów bożych. — O południu wszyscy razem zasiadają do stołu. Surdut obok bluzy, czepek miejski obok wiejskiego korneta, który od wieków mody nie zmienia; a w pośrodku ksiądz probosz raczący zaszczycić biesiadę swoją przytomnością, pobłogosławić pokarmy przed spożyciem, rozweselić rozmową w czasie obiadu, przewodniczyć modlitwie na końcu.

Nieraz ten który tę powieść pisał — tułacz — sierota — wciągnięty przez przyjaciół na takie biesiady w chłopskich zagrodach, z rozrzewnieniem spędzał przyjemnie te chwile. Cichość — swoboda — wieś — przypominały mu Ojczyznę; a sięgając głębiéj myślą, mówił sobie w duszy: « Czemu to u nas do takich stosunków — między szlachcicem a wieśniakiem nie przyszło? Czemu

od Kazimierza Wielkiego, aż do podziału, w tym względzie cofaliśmy się ciągle, mimo oporu królów i przestrzegań Skargi? Czemu w tylu innych okolicach Francyi niepodobnemi je uczyniono, obudzając w jednych zawiść, w drugich pogardę. Czy we Włoszech podobnych stosunków w ostatnich latach nie popsuto? A my — czy koniecznie będziemy musieli przejść z niewoli do swawoli? Czy z krzyżem w ręku zrobimy krok naprzód ku swobodzie i powiększeniu wartości moralnéj całego narodu; czyli też z nożem w ręku rzucimy się naprzód, żeby w dół wlecieć — i przez wiek jaki w kałuży leżeć, póki nas znowu krzyż z niéj nie wydobędzie. !

Lecz w miesięcu lutym roku 1836, nie zaś w czasie przyjemnéj jesieni, tą razą przybywamy do Sablé. — Pola pokryte były śniegiem na około miasteczka, dymy unosiły się nad białemi dachami, lód pokrywał rynsztoki i otaczał studnie. Słońce jednak, zaczynając przygrzewać koło południa, rozjaśniło nieco widnokrąg zamglony w pierwszéj dnia połowie, — zajrzało w okna domów i rozweseliło umysły. — Trochę więcéj ludzi pokazało się na ulicach, chociaż śnieg wilgotniał pod nogą i

spadał kroplami na głowy topiąc się na dachach.— Na pierwszem piętrze niewielkiego domku, wszczupłéj izdebce z jednem oknem na podwórze, siedział mężczyzna przy prostym, białym stoliku i czytał jakieś dzienniczki. — Na stoliku było trochę papierów i kilka książek od ściany; na brzegu zaś dwa głębokie talerze, łyżki blaszane, żużyte noże i widelce w czarną kość oprawne. — Dwa łóżka, w dwóch rogach pokoju niewiele wolnego miejsca zostawiały na środku. — Za jednem z łóżek stojący pałasz potwierdzał, cobyśmy łatwo byli i bez tego świadectwa odgadnęli, że pokój był mieszkaniem starego wojskowego. — Starego istotnie, bo wąs i włosy posiwiałe, i poorane czoło mówiły, że żołnierz ten nie tylko do wojen Napoleońskich, ale i do tych już co zamknęły wiek przeszły — należeć musiał. — Istotnie sześćdziesiąt lat z okładem ciężyło na jego głowie.

Prosty, ścienny, drewniany zegar wiszący w rogu pokoju uderzył dwunastą. Nasz żołnierz spojrzał na zegar, potem znowu w dzienniczek — znów zwrócił oko ku kominowi, na którym przy ogniu parę garnków stało — nareszcie w okno. Zdawało się, że się waha między czytaniem dal-

szem, a innym obowiązkiem przypomnianym przez uderzenie zegaru.

Na obszerne podwórze wjechało tylnemi wrotami parę wozów próżnych i bryzgając na w pół stopniałym śniegiem — wykręcając między belkami i tarcicami tu i ówdzie rozrzuconemi — stanęło przed stajnią. — Czerwony kogut patrzący niespokojnie z wierzchu pewnego wysokiego kopca usypanego tuż przed stajni wrotami, zagdakał gwałtownie i trzepocąc skrzydłami uciekł wraz ze swoim serajem na środek podwórza.

« Już musi być południe, chociaż nasz zegar zazwyczaj spieszy, rzekł do siebie stary żołnierz. Nie masz też co i czytać, dodał marszcząc czoło i rzucając dzienniczki na inne papiery leżące wraz z książkami w rogu stoła. — Trzeba się wziąść do kuchni, bo poczciwy Aloizy wkrótce zapewne nadejdzie. — »

Wstał ze słomianego, jednego z trzech w izbie stojących stołków, zdjął jakiś stary kaftan, zakasał rękawów, umył ręce i wziął się do obierania kartofli. — Wzrostu miernego, szczupły, na pozór nie bardzo silny; ale w postawie tyle godności, w ruchach taka spokojność a w oku pewność, żeś

odgadł łatwo, iż on nie tylko słuchał w swojem życiu ale i rozkazywał: i że ani lata ani bieda, któréj dzisiejsze zatrudnienie jest świadkiem, dotąd go jeszcze niezupełnie przygniotły.

Tak jest! Prokop Modliborski — dzielny oficer za Kościuszki, świetny pułkownik Napoleoński, odbywszy ostatnią wojnę na czele pułku jazdy, — dziś na poddaszu w małem miasteczku fracuzkiem czeka w nędzy ale z wiarą, rychło Opatrzność pozwoli mu za dobrą sprawę dobyć téj szabli, co w rogu łóżka stoi. — Myśl i przekonanie, że nigdy w życiu z obowiązkiem w targi ani w układy nie wchodził, ale go zawsze w prostocie duszy pełnił — jest jego nagrodą. — Ztąd też ta godność w postawie, ta pewność i spokojność w ruchach i oku. — Jeżeli czasem chwila smutna i zwątpienia mocniéj dogryzie — « *sursum corda* » zawoła, i znowu jest czem był całe życie, — gotów na wszelaki bój. — Jeżeli usłyszy głos zatrzymujący go w przelocie czasu — « Kto idzie! » « Ja jestem, odpowie: żołnierz bojujący dla Polski! słucham czy nie woła. — »

W tem skrzypnęły drzwi od sieni i wszedł do pokoju Aloizy, młody dwudziesto-kilkoletni człowiek. — W szkole jeszcze przeznaczony do stanu duchownego przez stryja biskupa, w czasie wojny wolał włożyć mundur, i dowodził plutonem w pułku Modliborskiego, a dziś z nim zły los dzieli. — Po stracie stryja wyzuty z wszelkich zasobów, nie mogąc pogodzić się z sutanną, do któréj nigdy wielkiego popędu nie miał, musiał o jakimkolwiek bądź zarobku pomyśleć.

Była w Sablé mała drukarnia: zaczął więc jako prosty robotnik w niéj pracować i jakkolwiek biedę opędzać. — Mieszkali razem z pułkownikiem. Dowódzca smarzył i warzył jak umiał, Aloizy dzienniczki polskie znosił; wieczorem kurząc fajkę gawędzili razem — razem wzdychali. — A jeśli pogoda i przerwa w pracy drukarskiéj pozwoliły — chodzili razem na przechadzkę.

Lecz w najlepszych małżeństwach bywają podobno niesmaki: i między nimi więc czasem zaszła chmurka, rozpędzona natychmiast szacunkiem i przywiązaniem zabopólnem. — Aloizy, jak tylu młodych wygnańców naszych, jeżeli nie był członkiem towarzystwa Demokratycznego, to przynajmniéj dzielił jego opinie jak najdaléj posunięte; o wszystkich jego illuzyach w dobréj wierze ma-

rzył. — Uczucia tylko katolickie, wpojone od młodu przez stryja biskupa, różniły go, prawie ze wszystkimi *zaregestrowanymi* i czynnymi towarzystwa żołnierzami.

Pułkownik nie mógł, jak każdy łatwo pojmie, wejść w jego polityczny sposób widzenia; i owszem — bojąc się żeby przy danéj okoliczności Aloizy nie wpadł w jaką niedorzeczność, lub nie wplątał się w jakie szkodliwe zamiary — probował czasem, czy nie potrafi mu trochę myśli zabałamuconéj sprostować. — Lecz podobne próby tak pułkownikowi się nie udały, jak zazwyczaj nie udają się nikomu. — Czas i doświadczenie tylko w podobnéj chorobie są lekarstwem dla tęższych umysłów i serc prościejszych. — W słabych zaś mózgach jak się raz pieczęć taka wyciśnie, to już na całe życie rozum zapieczętuje; — bo pycha reformatorska wdziawszy apostolskie sandały, dopomaga rozumowi do szamotania się w obłędzie — i nie pozwala mu wysunąć się z zaklętego koła. — Najwidoczniejszemu postępowi, taki maniak przeczy i łaje, jeśli nie przez rewolucyjne środki państwo jakie, lub towarzystwo do niego przyszło: — i tak w końcu zwichnie sąd własny, że w imię urojonéj

naprzyszłość doskonałości, staje się ciągłą — absolutną terazniejszości negacyą.

Pułkownikowi nie udały się więc próby z Aloizym; całym wypadkiem jego starań były kwasy, (wprawdzie nie długo trwające między nimi) i dzienniczki demokratyczne znoszone do gospody przez młodego kolegę, aby starego pułkownika na swoje znowu nawrócić.

Inna jeszcze była przyczyna chwilowych zachmurzeń. Prokop wychowany przez pobożną matkę, pełen serca, miał zawsze przed okiem obrazy domowe, które za mgłą kilkudziesięciu lat spędzonych samotnie dla serca wśród obozów i po miastach cudzoziemskich, — błyszczały mu w jaśniejszych, weselszych i cieplejszych kolorach, od wszystkich późniejszych wyglądających z ciemniejszego tła dojrzałego wieku.

Jeżeli na wiosnę lub latem wyszedł sam błąkać się po polach Menu, i smutną myślą błądzić po przeszłości, częściéj promień rzucony z ukosa na zboża lub łąki, przypomniał mu Kujawskie lub Łęczyckie błonia, niżeli hiszpańskie lub lombardzkie płaszczyzny.

Jeżeli tentent galopującego konia ucha dole-

ciał? — echo to raczéj wspomnienie bułanka lub tarantka zbudziło, niż tego lub owego z dzielnych rumaków, na których waleczne pułki do szarży prowadził.

W szarą godzinę zimową, nim Aloizy powrócił z drukarni, jeżeli czasem rzucił się na łóżko żeby wyciągnąć stare członki, i wtedy także — przeskakując myślą cienie wszystkich wypadków i znajomości — sięgał za epokę lat czterdziestu i bawił z upodobaniem w Modliborzu, lub u wuja w Łęczyckiem, lub też u Kasztelana Kujawskiego.

Z Modliborza wybierał się w myśli jak za dawnych czasów z matką na odpust do Kłóbki: przez pół mili drogi — drendulką — wolnym truchtem postępując — napotykał całe parafie spieszące modlić się do Świętego Prokopa. Przyjechawszy — ujrzał się znowu młodzieńcem w kościele; matka, i on czasem — idą do stołu pańskiego, a w wielkim ołtarzu — nad jego głową — błyszczy patron jego w srebrnéj zbroi na koniu.

Jeżeli myśl zaprowadziła go do Kasztelana Kujawskiego — to znowu senatorska postawa daleko poważniejszą występowała przed oko w kontuszu i żupanie, niżeli figury wszystkich marszałków

francuzkich. A Kasztelan nie zaczął biesiady na którą nieraz całą okolicę sprosił, ani jéj nie skończył, niewezwawszy Boga, nie przeżegnawszy się uroczyście.

U wuja także widział czasem siebie samego — (tak myśląc o dawnych — minionych latach,) uwijającego się między hufcem poczciwych reformatów, którym nadskakiwał z uniżoną pokorą straszny pan Piwo!

Gdzie tylko więc myślą się obrócił, z każdego obrazu młodości błyszczącego na krańcach widnokręgu jego życia, z za ciemnych, późniéj namalowanych planów — wyglądał krzyż katolicki!

Jak tu sarkać na wiarę najniewinniejszéj — najszczęśliwszéj pory życia? na wiarę najukochańszych osób, które z tą wiarą do grobu się położyły?

A jeśli i Teklunia zajaśniała w pierwotnéj postaci przed zmęczoną źrenicą starego żołnierza — (co nieraz się zdarzało, bo sieroctwo całego życia wyrwało nieraz westchnienie mu z piersi;) to i wtenczas jeszcze, słowa najprzyjemniejsze które z jéj ust słyszał — słowa ciche, drżące — kiedy karetę starościny opuszczał — w owéj pamiętnéj

nocy powstania warszawskiego — także pobożnością namaszczone były!

O nieszczęśliwy człowiek, który zbyt wcześnie stracił pobożnych rodziców, lub ich nigdy w imię Boskie nie znał! Kto nie ma podobnych pamiątek! W czasie zgrytot dojrzalszego wieku, grubsze chmury nad nim ciężą! I starość na pociechę głucha, jeśli przy wejściu do życia taka nie jaśniała jutrzenka!

Nie w takim stanie był umysł pułkownika. Pamiątki jego młodości, były niejako uświęcone uczuciem religijnem; nigdy więc wstrętu do wiary nie czuł. Ale — kawalerskie życie — wpływ czasu — duch Napoleońskiego wojska, gdzie materyalna siła i potęga ludzka, zdawało się, że obejść się mogły bez Boga; gdzie huk dział zagłuszał grzmoty nieba, a ich pociski zdawały się więcéj stanowcze niż pioruny Boże; wszystko to przerwało nić praktyk religijnych, i zwykłem następstwem rzeczy osłabiło wiarę. Bo kto zaprzestanie wykonywać prawo i przepisy zakonu — musi także wyjść z zakonu.

Skoro człowiek przestanie wierzyć, staje się pochopnym i łatwym do zgorszenia. Zdawałoby się

podług naszego języka, że potrzeba się naprzód stać *złym*, żeby można się *gorszyć*.

Otóż pułkownik sam przez się nigdy nie uderzał na wiarę ojców swoich; lecz jeśli kto natarł na niego z téj strony, wtenczas — rozdrażnionego — zaczęły gorszyć okoliczności na które inaczéj byłby nawet nie uważał, lub je w prostocie serca swego z pobłażaniem wytłómaczył, jeśli nieuniewinił. — Ale w takim razie każde zdarzenie naganne — nabierało wagi. I owszem — pamiątki nawet dawne, traciły na uroku, a niechęć kusiła go przeciw ludziom, których był kochał, i od niepamiętnych czasów z żalem pogrzebał. — Wtenczas jakiś mnich pijany w Polsce, lub rozpuszczony w Hiszpanii stawał mu na myśli; albo co więcéj! po tylu latach dopiero, uczuł niestrawność grubego i nieoświeconego nabożeństwa Pana Marcina i pana Sylwestra. — Rozum tak jasny, i tak widzący zazwyczaj na czysto, nie mógł wtenczas rozróżnić przepisów wiary od przestępowania tych przepisów, i czynił odpowiedzialnemi prawa, za ludzi łamiących też prawa.

Przytem była jeszcze jedna zapora niepozwalająca przejść prawdzie do głowy pułkownika; do

głowy tylko — bo w sercu leżała ona od młodości, chociaż uśpiona wśród burzliwego życia — Pułkownik był prawdziwie poczciwym i szlachetnym człowiekiem. — Żaden czyn nie brudził jego charakteru; nawet spotykał on czasem ludzi znacznie niższych pod względem moralnym od siebie, choć wierzących lub niby wierzących. « Po cóż ta wiara, powtarzał więc sobie, kiedy nie daje pewnéj rękojmi dobrego życia? — » Nie zastanowił się, że ciż sami ludzie, (nie mówi się tu wcale o hipokryzyi, przybierającéj poprostu maskę religijną, aby tem łatwiéj oszukać, co także dowodzi, że wiara jest pewną rękojmią, kiedy złość pod jéj płaszcz się kryje;) nie zastanowił się że ciż sami ludzie słabi w cnocie, byliby niezawodnie gorszymi bez hamulca lub zachęceń wiary; nie zastanowił się że i on — jeśli niepodług sądów świata, to przed Bogiem uczułby się lepszym gdyby do wiary powrócił. — To samo nawet zadowolnienie z siebie, w istocie pozorne tylko i fałszywe, bo niech jak chce będzie sprowadzone do serca jedynie pochlebstwem osobistéj dumy i zarozumiałości, ustąpiłoby miejsca nie równie lepszemu uczuciowi — uczuciowi niedoskonałości ludzkiéj, a szczególnie

własnéj i zarazem dałoby pochop do postąpienia w dobrém. — Uczucie bowiem niedoskonałości po chrześciańsku pojętéj, jest źródłem postępu : i kto wie czy to mniemanie o ciągłym postępie w ludzkości, nieznane jak się zdaje w pogańskim świecie, nie jest tylko zwichniętem uczuciem chrześciańskiem, od duszy indywidulnego człowieka przeniesionem na pole panteistycznych proroctw?

Jednak ta gorzka niechęć do wiary, objawiała się tylko wtenczas w pułkowniku, kiedy Aloizy lub Karól, starali się go słowem i dowodami nawracać.

Kto kogo bez łaski Bożéj nawróci w taki sposób? Oczywiście taić mniemania swego ani wolno — ani pożyteczno. Zawsze i wszędzie śmiało wyznać Chrystusa i dać świadectwo wierze należy. Lecz argumentowanie nie apostolstwem. — Adwokat a żołnierz, to nie jedno. — W argumentowaniu więcéj zazwyczaj dumy niż poświęcenia i miłości. Dlatego też najczęściéj z wiatrem idzie, lub gorzéj : wywoływa dumą dumę, budzi upór, który opokę niedowiarstwa jeszcze twardszą czyni.

Pułkownikowi ciężko robiło się na sercu, że mło-

dzież chciała rozumu go uczyć. — Taki to skutek bywa, kiedy się naciera na rozum człowieka. Do serca prędzéj trafisz: —prędzéj ono zmięknie jeżeli także sercem — ale rzetelnie na nie natrzesz.

Lecz sobie samemu zostawiony Prokop, wzdychał nieraz. Nawet czasem udawał się mimowolnie do swego patrona, skoro mu wraz z okolicą — i rodziną — i dawnemi czasy stanął na myśli.

Do księży nie czuł on nigdy nierozsądnego wstrętu; tylu ich znał, szanował i kochał za młodu i późniéj! — Trzeba było jednéj szczęśliwéj chwili tylko — chwili uroczystéj, którаby wstrząsnęła nim mocniéj, i wyparła z téj twierdzy obojętnego zadowolnienia z siebie.

Kartofle już skwierczały w tygielku, kiedy Aloizy wszedł do izby. Pułkownik przyjął go z rozjaśnioną twarzą. — Kuchnia widać więcéj zabawiła, niż dzienniczki. — Może też apetyt zaostrzony zapachem dodał fantazyi.

— Jak się masz kochany Aloizy! Trochę się spóźniłem — ale twoja wina. Zaczytałem się w dzienniczkach. — Przytem — i zegar źle idzie. — Niewiele będziemy mieli z niego pociechy. Lepiejby może było na tytuń te kilka franków zacho-

wać niż ten grat kupować. — Zachciało mi się niepotrzebnie raz znowu przyjść do zegara.

— Oh! pułkowniku! jaka uczta dzisiaj! Tоćto barszcz widzę w garnku.

— Już ci go od pół roku obiecywałem: nareszciem się odważył. To droga zupa na naszą kieszeń.

— Ja w dobrych stoję interesach — ciągła była robota aż dziś do południa. Jutro znowu coś nowego zaczyna się drukować i będzie zarobek.

— Ale ja nic nie mam mój bracie. To licho!

— Koniec miesiąca niedługo — będzie żołd.

— Żołd! Jałmużnać to mój Aloizy, te sześćdziesiąt franków.

— A krzyż legii honorowéj? przecież choć za to powinni Francuzi płacić.

— Już o nim zapomniano. Tymczasem bieda naciska. — Tytuniu braknie — praczce winien jestem za przeszły miesiąc.

— Może z domu co przyszlą?

— No — nie myślmy dziś o tem. Jest barszcz — bądźmy weseli.

— A po obiedzie pójdziemy trochę pochodzić, bo pułkownik za bardzo się zasiedział — to nie-

zdrowo. — Dziś mam czas wolny, słońce przyświeciło, pójdziemy za miasto. — Tylko że coś mokro zrobiło się na dworze, to pułkownik nogi zamacza.

— Nie uważaj na to. Jeszcze zdrowie służy. Jużem dawno nie chodził. Samemu jakoś smutno na polu, a tyś był ciągle w drukarni.

Odsunęli jeszcze więcéj ku ścianie papiery leżące na stoliku, Aloizy nalał barszczu na talerze, pułkownik tymczasem dostał chleba z szafki i ukrajał parę kawałków. — Zaczęli zajadać smacznie.

— A cóż pułkownik powie o nowym artykule? rzekł Aloizy.

— Oto że lepiéj o nim niegadajmy. Jakoś mi dziś weselej na sercu, a rozmowa może nas skwasić.

— Ma racyą pułkownik — niegadajmy dziś o polityce, odpowiedział żwawo Aloizy i porwawszy się z miejsca, przyniósł tygiel kartofli.

W półgodziny potem, wyrzuciwszy popiół z fajek, które sobie razem przy kominie wykurzyli, zabrali się do toalety. Aloizy włożył czamarkę, a pułkownik wydobył granatowy surdut dobrze już podszarzany; ale go wyczyścił tak starannie, że

prócz przebijających białawych nitek, których niepodobna było zataić, nic niepotrzebnego na nim nie zostało. — Zapiął go aż pod szyję jak mundur, wziął kapelusz, stare jelonkowe rękawiczki, laskę i wyszedł na ulicę. — Nie znał on nikogo w mieście osobiście, jednak prawie każdy zdjął mimowolnie czapkę przed starym wojskowym. Szlachetna postawa więcéj jeszcze niż czerwona obok niebieskiéj wstążeczka uszanowanie nakazywała.

Nie długo obaczyli się za miastem i poszli drogą ku wiosce zwanéj Solesme, gdzie jest klasztor Benedyktynów opuszczony w czasie rzeczypospolitéj, cesarstwa i restauracyi, a znowu zaludniony napowrót za Orleanów.

We dwadzieścia minut ukazała im się wierzyczka, a w pół godziny późniéj byli pod klasztorem. — Kościół był otwarty — « Wejdźmy na chwilę, rzekł pułkownik. Trudno co piękniejszego we Francyi zobaczyć, od rzeźby znajdującéj się w tym kościele. »

Aloizy natychmiast przystał i weszli obadwa. Pułkownik poszedł prosto do jednéj z bocznych kaplic, w któréj kilkanaście figur naturalnéj wielkości przedstawiało zdjęcie z krzyża pana Jezusa.—

Aloizy został nieco z tyłu, ukląknął na chwilę i pomodlił się. — potem przybliżył się cicho do pułkownika.—Stary żołnierz wpatrzył się w twarz Chrystusa. — Zadumanie, jak cień rzucany przez chwiejące się gałęzie drzewa błąkało się po jego czole. — Cofnął się o parę kroków i znowu zatrzymał oczy na innym posągu, przedstawiającym Świętą Magdalenę, a najpiękniejszym z całéj téj grupy kolosalnéj.

« Niepospolity rzeźbiarz, rzekł półgłosem. Kto wie jego imię! Patrząc na dzieło można zrozumieć, że się nie troszczył, aby imię jego przeszło do potomności. Nic dla effektu, dla poklasku. — Samo czucie. — Miał obraz w duszy i wydobył go na jaw. — Zostawił go w całéj prostocie i prawdzie jak był u niego, wykuty na wieki. — Dusza jego przylgnęła do tego kamiènia. Zdaje mi się nawet, że widzę artystę. Jakiś pokorny sługa opata tutejszego. Ani się domyślał, że wielki człowiek i dlatego dzieło tak wielkie. Nic nie mąciło źródła z którego nabożna sztuka płynęła. — Co znaczy imię! Kilka głosek niezgrabnie może połączonych! Dzieło jego i duch jego w dziele pozostał na wieki! »

Aloizy milczał tuż stojąc. — Łzę miał w oku myślał: rzeźbiarz nie wiedział że wielki człowiek, a ty nie wiesz żeś tak przesięknął katolicyzmem za młodu — że taką masz naturę katolicką, iż od jednéj iskry szczęśliwéj goreć będziesz cały.

« Wiesz kochany Aloizy, kogo mi przypomina ta Święta Magdalena? Jakąś szlachciankę polską z dawniejszych czasów — nabożną i prostą — szczerą — siedzącą przy otwartéj trumnie umarłego syna. Nie widzi obok stojących — nie słyszy szepcących obok. — Cała w bolu a jednak spokojna. Żadnych konwulsyj. Ledwie czasem łza spłynie — i tę zapomina otrzeć. — Ludzie dzisiejsi gotowi myśleć, że u takiéj matki mniéj bolu. — Oczywiście! — im potrzeba wszędzie drammatu lub romansu. Nie rozumieją bolu, więc chcą rozpaczy. — Serca mniéj proste, zatem i pojęcia o uczuciach przesadzone. Ztąd dziś... »

Pułkownik wpadłby był może na drogę uwag o literaturze i sztuce, w istocie zapewne prawdziwych, ale niekoniecznie potrzebnych w téj chwili, gdyby ciche stąpanie w kościele nie zatrzymało go na czas. Obrócili się obydwa i skłonili przybliżającemu się Benedyktynowi. Ksiądz odkłonił się

uprzejmie i Aloizego przywitał jak znajomego. — Potem parę słów przez grzeczność wyrzekłszy do pułkownika, poprowadził go do drugiéj kaplicy i tłómaczył znaczenie dwóch wielkich obrazów, złożonych z kilkudziesięciu posągów.

Wszystkie zachowane w zupełnéj całości. Jeden tylko przedstawiający rycerza, umieszczony nieco na boku, obtłuczony był na wszystkie strony. — Ręce, nogi, nos pokaleczone. — Na domiar obelg wyraźnych, policzek jeden na w pół przepiłowany.

Pułkownik zapytał ojca Benedyktyna, co naraziło na takie blizny nieszczęśliwego rycerza.

« Dwojakie barbarzyństwo, ksiądz odpowiedział, do dwóch bardzo różnych i bardzo od siebie odległych należące epok. — W średnich wiekach, (bo te posągi średnich sięgają wieków:) lud prosty utrzymywał, że rycerz siedzący na boku, przedstawia przebranego djabła i chce rachować grzechy Matki Boskiéj w środku téj grupy umieszczonéj; mścił się więc za patronkę swoją na kamieniu, i kaleczył na wszystkie strony. — Zapewne posąg ten jest wizerunkiem jakiego wielmożnego pana z okolicy, który kazał się tu umieścić, a posądzanego o niedobre życie. Późniejszy wiek zrobił ze złego człowieka przebranego djabła. — Blizna zaś piłą zadana, daleko jest świeższa. Za cesarstwa, Napoleon posłyszawszy o piękności posągów tego kościoła opuszczonego i na w pół zrójnowanego na ówczas, chciał je, podług swego zwyczaju, sprowadzić do paryzkiego muzeum : — lecz kazał dobrze naprzód przekonać się, czy posągi mogą daleką do stolicy podróż, bez żadnego szwanku odbyć! — Cóż mądry człowiek na ten cel tu na miejsce przysłany, wymyślił? Oto jak panowie widzicie, żeby się przekonać o twardości kamienia, rycerzowi policzek przepiłować kazał. — »

Historya ta rozśmieszyła wszystkich. Wyszli razem z kościoła, a Benedyktyn zapytał pułkownika, czy nie życzyłby sobie obaczyć bibliotekę klasztorną, nie tak bogatą wprawdzie jak to bywało dawniéj po Benedyktyńskich domach, ale wzmagającą się od lat kilku przez dary prywatne i przychylność rządu, — nowo bowiem powstający zakład starał się odpowiedzieć tradycyjnym zwyczajom i obowiązkom uczonego zakonu i rozpoczął na nowo szerokie prace literackie.

Półgodzinki przyjemnie przeszło na oglądaniu i

rozmowie. Pułkownik podobał się księdzu a ksiądz pułkownikowi. — W istocie Benedyktyn, *superior*, a późniéj biskup i opat tego klasztoru, był znakomitym duchowieństwa francuzkiego członkiem. — Młodym jeszcze będąc, zabrał przyjaźń z dwoma księżmi znanymi dziś całéj Europie : z księdzem Lacordaire i z księdzem de Lamenais. Ostatni — najstarszy wiekiem, był niejako naczelnikiem ich. — Nie długo przybył do ich związku młody par Francyi. Założyli oni, o ile przypominamy sobie, dziennik pod nazwą : « przyszłość » i w czasie naszego powstania listopadowego i wojny, gorąco obstawali za sprawą naszą, jako za sprawą najznakomitszego i wielce w kościele zasłużonego narodu na Północy. — Każdy z nich został na zawsze wiernym przyjacielem Polski, i każdy doszedł do wysokiego znaczenia między ludźmi, chociaż nie wszyscy jedną drogą poszli. — Jeden z nich — ich niejako naczelnik, opuścił kościół na którego łonie tyle sławy w młodości swojéj był zyskał — i już do śmierci nie powrócił do matki. — Nam zawsze był przychylny : lecz czy przez rewolucyjne pisma swoje i zabiegi usługę jaką nam oddał — nie wiemy.

czasem wiwinął, powiedział jakie słowo weselsze do towarzysza, jakby dla przerwania myśli, jakby opierając się prądowi który ją porywał i ciągnął coraz daléj.

Powróciwszy do domu, z roztargnioną wesołością zdjął zabłocone obówie i surdut złożył do szafki z nieskazitelną żołnierską ochędożnością. — Aloizy rozpalił ogień i odgrzał resztę barszczu zachowanego z obiadu. — Po skromnéj wieczerzy pułkownik usadowił się z fajką przy kominie i weseléj niż od kilku miesięcy wieczór na gawędce i anegdotach przepędził. — W nocy jednak, jak za dawnych czasów studenckich, kiedy na święta do domu, lub u Kasztelana Kujawskiego z hartami na polowanie się wybierał — i dziś także, marząc o jutrzejszéj podróży — spać nie mógł.

Kiedy się smutne i samotne życie pędzi, lada wypadek przerywający monotonność smutku i samotności może uciechę dziecinną w biednem sercu obudzić. — Dlatego to często tę naiwność prawie dziecinną u starych emigrantów uważano, nie zawsze przez zbyt prozaicznych ludzi zrozumianą.

II

Przyszedł nareszcie ranek pożądany. Aloizy zwykle wcześnie idący na pracę, nie przebudził się był jeszcze, a już pułkownik wstał cicho i zaczął krzątać się koło śniadania i swego odzienia.

O godzinie 9 bryczka superiora benedyktynów zajechała. Ksiądz wszedł do pułkownika na chwilę, pociągnął oczyma ukradkiem po żołniersko-tułaczéj celi — po sprzętach ubogich — i zrozumiał położenie nowego przyjaciela. — Może i historyą jego odgadnął choć w części ze stosunku, jaki mógł naprędce zaprowadzić w myśli swojéj między usposobieniem moraluem, postawą i obejściem się człowieka, a mieszkaniem jego. — Po krótkiéj wizycie wyszli razem obydwa i wsiedli do bryczki.—

Ranek był pogodny, nieco mroźny.—konie biegły szybko. — Pułkownikowi wąsy szron pokrył, twarz się zarumieniła, oko rozjaśniało. Jakoś pełniéj oddychał. Wyraźnie duch podniósł się. Taki wpływ zbawienny ma czasem mała okoliczność

Wychodząc z biblioteki superior spojrzał przez okno na korytarzu i pokazując bielejący się zdaleka między bezlistnemi drzewy posąg w ogrodzie, rzekł uśmiechając się : « Oto Królowa Polska. » Pułkownik zrazu nie uważał na te słowa, zajęty tém jeszcze co widział i o czem rozmawiał; ale przechodząc późniéj koło posągu, (bo superyor dla skrócenia drogi przez ogród gości na drogę ku Sablé przeprowadzał,) zatrzymał się nagle i z zadziwieniem zawołał : « To Matka Boska ! »

— Tak jest — i Królowa Polska, odpowiedział zakonnik wesoło : czy pułkownik zapomniał o swojéj Królowéj ?

— O nie ! nie zapomniałem wcale : — ale przez roztargnienie coś o rodzinie Leszczyńskich myślałem w chwili, kiedy mi Ojciec Dobrodziéj statuę zdaleka pokazywał ; tem bardziéj że to..... nie Polak tę uwagę zrobił.

— Ale ksiądz katolicki ! Ksiądz katolicki, oprócz swojéj Ojczyzny, powinien mieć w sercu przytomną — więcéj jeszcze niż każdy inny wierny, całą rzeczpospolitę chrześciańską — osobliwie cały świat katolicki ; a siostra nasza w Bogu i Kościele, siostra tak długo i tak ciężko cierpiąca i pokutu-

jąca — nieszczęśliwa Polska! powinna ciągle stać mu przed okiem — przypominać się w modlitwach. Jeżeli ludzie stanu wytłómaczyć sobie mogą, że na wadze politycznéj protestanckie Prusy zastępują Polskę; to ani papież, ani ksiądz, ani żaden wierny, szczery i oświecony katolik na taką zamianę przystać nie może. — I niezawodnie: w zimnéj rachubie politycznéj, co znaczy jednego państwa upadek, jeżeli ciężar przenosząc się gdzie indziéj, nie psuje podług zdania światem rządzących, potrzebnéj równowagi?

— Lecz jeśli ją psuje, nie tylko w świecie moralnym, mieszając pojęcia o obowiązkach względem ojczyzny, władzy, legalności; ale nawet pod względem meteryalnych kombinacyj politycznych?

— Zupełnie jestem tego zdania co pułkownik, i dlatego właśnie mówię, że zimna polityka może was opuścić przez omyłkę, bo rachunek omyłkom podległy; ale papież, ksiądz, prawdziwy katolik, nie powinien téj kwestyi nawet pod rachunek poddać w sumieniu swojem, boć siostry obca nie zastąpi. — Wierzajcie mi panowie, że cały wątek i przyczyna bytu Polski, jest w katolicyzmie. — Wyrzeczenie się jego byłoby samobójstwem i ja-

bym myślał, że niedostatki moralne które podobno bardzo czuć się dają w usposobieniu duchowieństwa polskiego, a osłabienie wiary w wyższych warstwach narodu waszego są największą może klęską dzisiaj, nawet pod względem politycznym dla ojczyzny pułkownika.— Najszczerszych przyjaciół w Europie, macie między gorliwymi katolikami, a najsroższi wasi nieprzyjaciele, siekierę do podstawy bytu waszego — do katolicyzmu w Polsce skierowali. To samo powinno wam służyć za przestrogę!

Żegnając się przy furtce ogrodu superior obiecał odwiedzić pułkownika, lecz za kilka dni dopiero; miał bowiem zamiar jechać nazajutrz o parę mil do klasztoru Trapistów, niedaleko miasta Lawal, położonego.

— Czy pułkownik był kiedy u Trapistów?

— Nigdy! nie znam wcale tego zakonu, a przyznam się że byłbym ciekawy poznać jeden z jego zakładów we Francyi. — Mówią że między trapistami wielu starych znajduje się wojskowych. — Możebym napotkał którego z dawnych moich kolegów.

— Może być, bo istotnie są tam dawni woj-

skowi. — I niedziw : jeżeli ksiądz bardzo podobny do żołnierza, ponieważ zawsze powinien być gotowym na swojéj poczcie do boju i poświęceń, a żyć w takiéj karności i posłuszeństwie jak żołnierz; to zakład trapistów jest jak obóz okopany lub twierdza, gdzie te obowiązki do najwyższéj są podniesione potęgi. — Każdy istotny w duchu, i z namaszczeniem prawdziwie wojskowem żołnierz, powinien zrozumieć zakład tego zakonu. — Czy pułkownik chce jutro zemną jechać? Mnie bardzoby jego towarzystwo przyjemnem było. — Mam bryczkę i konie, a u trapistów się pożywiemy — ale jak w obozie, bardzo skromnie. — Przenocujemy u nich i na drugi dzień powrócim do domu.

— Znajwiększą przyjemnością! tem więcéj; że ta podróż pozwoli mi korzystać ze spostrzeżeń i rozmowy księdza superiora. — Po grzecznéj odpowiedzi Benedyktyna, pułkownik zadowolniony z nowéj znajomości, puścił się z Aloizym ku Sablé. — Nie wiele mówił — często się zamyślał; ale jakieś życie wstąpiło w starego żołnierża, przygniecionego nieco samotnością, i zastygnieniem myśli w téj samotności. — Szedł żwawiéj, laską

i rzucające cienie ruchome na oświecone szyby i ścianę przeciwległą.

Po dziesięciu minutach, otworzyły się małe boczne drzwiczki, i wszedł do izby xiądz zakonnik cały w bieli, bez brody, z krótko przystrzyżonemi włosami na głowie : — inny jest bowiem ubiór xięży, a inny prostych braciszków zakonu.

Postawa jego wysoka i prosta, wiek młody. Zaledwie lat trzydzieści mógł liczyć. Blady i szczupły. Rysy jego regularne, piękne, prawie greckie, szlachetne.— Trzymał xiążkę w ręku. Nasi goście powstali; on dał im znak i poprowadził korytarzem na chór kościoła.—Tam przyprowadziwszy, wskazał klęczniki, sam uklęknął i przeczytał głośno kilka uwag o śmierci — dał chwilę do pomyślenia, i odprowadziwszy napowrót do sali zapytał podróżnych czegoby żądali.

Superior oświadczył kim był, i powiedział, że życzy sobie przenocować w klasztorze wraz ze swoim towarzyszem, przepędzić z zakonnikami kilka godzin na nocném nabożeństwie, i jeśli być może z ojcem Amancyuszem pomówić, chcąc u niego rady zasięgnąć.

— Ostatnie żądanie, nie wiem, czy zadowolnio-

ném będzie. — Superior klasztoru powołany przez papieża, do Rzymu odjechał, a w jego niebytności, ojciec przeor niechętnie daje pozwolenia przerywające zwykły porządek klasztoru. Natychmiast jednak pójdę żądania panów przedstawić.

Postawa, ułożenie, sposób mówienia tego młodego mnicha, mocno uderzyły pułkownika. — Wszystko zdradzało w nim człowieka wychowanego w wyższych warstwach towarzystwa. Takiéj figury pułkownik nie spodziewał się napotkać u Trapistów. Ktoby on mógł być? Zkąd podobne powołanie? Gdyby to jeszcze był Włoch lub Hiszpan! — i dotego w innym zakonie! Ale Francuz! zagrzebać się żywym, bez żadnéj jawnéj, wyraźnéj czynności w duchowieństwie?

Takie myśli biegały po głowie pułkownika, kiedy wszedł ojciec Amancyusz, z wesołą, rubaszną, otyłą, rumianą twarzą staruszek. — Znacznie przed pierwszą rewolucyą francuzką wszedł on był do zakonu. Wywołany wraz z wiarą katolicką w owéj strasznéj epoce z kraju, w Szwajcaryi ukrył się w jednym klasztorze, a za Napoleona znowu wrócił do domu, to jest do celi Trapistów. Odtąd jest wielkim spowiednikiem zakonu i okolicy, doradcą

młodych xięży w wypełnianiu ich obowiązków, spłacze się często skrycie w konfessionale, ze łzami zwykle się modli, z szczególną skruchą mszę świętą odprawia, ale zawsze z uśmiechem na twarze ludzkie pogląda. — Anioł pociechy jako xiądz, a ciche dziecko jako zakonnik. — Wyraźnie pokutuje z rozkoszą za innych, nie za siebie. I owszem — pokuta u niego zamieniła się na raj ziemski. — Czy bowiem ciągły spokój w duszy — uśmiech na twarzy — wola tak łatwa w wykonaniu prawa, że już nawet wolą nie jest, ale raczéj naturą — czy takie życie może się nazywać pokutą?

A jeśli jeszcze do tego usposobienia wewnętrznego dodamy ciągłą czynność duszy i serca, które bezustannie z siebie, jak nić pajęczą, miłość i modlitwę snują — czy taki żywot spokojny, kochający i miłością czynny, nie jest rajem na ziemi?

— O xiądz Superior! może przyjechał do nas odpocząć po pracy? Prosimy — prosimy! Trzeba xiążki zamknąć na parę tygodni, i z nami w polu się pobawić, to potém nauka łatwiéj pójdzie i siły się pokrzepią. Ojciec dobrodziéj zbladł mi coś od czasu jakem go nie widział. — A to żołnierz? jak mi się zdaje: czerwona wstążeczka! czy także na

odpoczynek do nas po biedach na świecie? rzekł uśmiechając się do pułkownika. — Mamy tu kilku takich. Przyszli do siebie po długich troskach, modląc się lub z motyką albo siekierą pracując. Aż miło na nich teraz spójrzeć! Ludziska odżyli na nowo. Czasem język widać ich świerzbi jeszcze, ale trzymają go jak mogą. Bo to u nas nie wolno gadać, panie dobrodzieju, i dlatego człowiek taki gaduła jak pozwolą czasem na chwilę.— Pfe, pfe, zawołał śmiejąc się i kładąc palec sobie na ustach: zgorszę waszmości.

Superior pomówił na boku z księdzem Amancyuszem, a ten wkrótce pożegnał gości, obiecując że się jeszcze z nimi zobaczy na nocném nabożeństwie, ale że się tymczasem poprawi i już gadułą nie będzie.

— Za klauzurą niewolno gadać, to tylko tutaj w sali gadulstwa, skoro na chwilę, jak ptaszka, wypuszczą. Tam daléj — za ryglem — język zupełnie martwy. Cóż robić! A jednak, dodał śmiejąc się serdecznie: a jednak wesoło: — nigdy się nie kłócą: — taka przyjaźń! — Do widzenia — Bóg z wami! A panie żołnierzu, chodź na odpoczynek do nas. — Ksiądz superior powiedział mi,

przerywająca na chwilę tęsknotę, przypominająca szczęśliwsze czasy.

Kto nigdy nie znał oddalenia od swoich — od kraju własnego, od zwyczajów, widoków i zatrudnień ojczystych; ten ani się domyśla często, jak mała ofiara z jego strony, ale uczyniona z całą prostotą i szczerością, mogłaby ulżyć na chwilę wygnańcom i sierotom; a jak niewiele potrzeba, aby rozdrażnione ich i tęsknotą zużyte dusze, jeszcze bardziéj przycisnąć.

Nie było prawie rozmowy między naszymi podróżnymi. Pułkownik używał ruchu i powietrza, patrzał na konie, parę uwag zrobił o nich mimochodem woźnicy, żył przez tę parę godzin zupełnie tylko fizycznie.

I niedziw, że stary żołnierz przyzwyczajony od młodosci do konia, na wsi lub w obozie, do życia w przestrzeni — sechł na bruku po miastach; że zazdrościł chłopom z targu na wozach lub konno wracającym do domu; że dziś tak używał przejeżdżki.— Koło południa zatrzymano się w Laval gdzie superior miał jakieś sprawy do załatwienia, a po obiedzie, trochę przed czwartą, zadzwoniono

do klasztoru Trapistów, w okolicy tego miasta położonego.

Grunta klasztorne, obszerne, ogrodzone na około, rozciągały się przed okiem podróżnych, kiedy stali przed furtą czekając na odźwiernego. — Widać było zdaleka kilkunastu zakonników krzątających się w polu, i zajętych, jak się zdawało, znoszeniem gałęzi czy chróstu. — Tymczasem braciszek odźwierny przybiegł, spojrzał przez małe okienko u furty, otworzył, uklęknął, i kaptur uchylił żeby zmówić małą modlitewkę za podróżnych. Potém przez podwórze prowadząc, zawiódł ich do obszernéj sali w klasztorze, i nie rzekłszy słowa — zniknął im z przed oczu. Bury, gruby habit i bródka braciszka przypomniały pułkownikowi Kapucynów; głowa tylko wygolona i krój ubioru różnicę stanowiły.

Po jego zniknieniu, pułkownik spojrzał na superiora nieco zadziwiony; lecz ten uśmiechając się pokazał mu tylko stołek pod ścianą stojący za całą odpowiedź i sam także milcząc usiadł na boku.— Cichość grobowa. Przez okna widać słońce zachodzące jaskrawo, i drzewa bezlistne chwiejące wierzchołkami pod mroźnego wiatru poddmuchem,

rzekł zmieniając wesoły uśmiech na smutny : żeś Polak. Możeś wiele cierpiał! Odetchniesz u nas nim Pan Bóg powoła.

Pułkownikowi nadzwyczaj się podobał ten przyjemny i dobroduszny starzec. — Taka w nim była prostota, taka swoboda odmalowana na twarzy, że jakoś serce wypoczywało w jego obecności.— Całe życie prawie niemo spędzone : zdawałoby się że to więzienie okropne, taki klasztor; że taki klasztor musi przygnieść; że człowiek powinien w nim ogłupowacieć — osowieć — zabić się umysłowo. — A tu! — nietylko nie ma znaku hypokondryi ani melancholii, ale uosobiona wesołość i czerstwość ciała i umysłu.

Dziwne to więzienie z którego swoboda wygląda, kiedy na otwartym świecie — po wielkich miastach — po pysznych pałacach ludzie mrą z nudy — czasem uciekają z życia jak z więzienia, podrzynając sobie gardła.

Tem więcéj uderzyła pułkownika osoba ojca Amancyusza, kiedy Benedyktyn odmałował go w takich kolorach, w jakich przedstawiliśmy go już wyżéj czytelnikowi. — Dopiero dwadzieścia minut spędzonych w klasztorze Trapistów, i to

jeszcze za obrębem klauzury — nie za kratami, a już wielce ta wizyta pułkownika zajęła.—W ogóle wrażenia nader przyjemne. Ciekawość obudzona, szacunek i pociąg mimowolny do dwóch figur, które niejako na progu ukazały się klasztoru.

Młody zakonnik zaledwie lat kilka dojrzałego wieku spędził na świecie, a już smutek, jako wieczny obyczaj, wygląda mu z oka; już jakaś historya tajemnicza jak hieroglif wykuty na jego czole. — Pułkownik chciałby się czegoś dowiedzieć o nim; ale kogo pytać? Kto co wié? Kto cò powié? Całe jego życie przeszłe, zapewne zostawione, jak stare brudy, za klasztorem — wyrzucone na śmieci. — Kto dba tu o namiętności i ich wojny na świecie? Kto troszczy się i zachowywa ich dzieje? Czy one bawią tu lub straszą kogo? Inny tu dramat odgrywa się, i inną kończy się śmiercią.

Tymczasem długie życie starca w kilku słowach zamknięte, już superior pułkownikowi opowiedział. Żadnéj tajemnicy — wszystko jasne i spokojne. — Nawet kilkunastoletnie na świat z klasztoru wygnanie, wydaje się, w oddaleniu czasu, jak krótka burza tylko, jak trzask piorunu, którego echo już oddawna w duszy starego mnicha

ucichło! — Tak zapewne odmienne ich dzieje, jak odmienne natury.

Ksiądz superior wspomniał, że za klauzurą jest jakiś pan wielki z wiedeńskiego dworu; że są tam i żołnierze staréj gwardyi napoleońskiéj.

Dziwny to świat jest, ten świat odrębny za temi kratami! Tyle żywiołów rozmaitych nie w wojnie, ale i owszem w ciągłéj, wiecznéj ciszy!

Jednak ta cisza, daleka od śmierci, bo u dwóch mnichów których pułkownik zobaczył, dusza przytomnie patrzyła z oczu.

Pułkownik wszystko to zauważył i rozbierał w umyśle chodząc wolnym krokiem po szczupłéj celi tuż obok sali gdzie był pierwszą godzinę swego pobytu u Trapistów spędził, ofiarowanéj mu na krótki czas jego pobytu. — Po skromnéj, postnéj wieczerzy w gościnnym refektarzu, zawsze za obrębem prawdziwego klasztoru — odbytéj w towarzystwie kilku osób na rekolekcye przybyłych, i cichéj z niemi rozmowie, każdy wrócił do swojéj celi koło siódméj godziny, po któréj to godzinie już niewolno było z niéj wychodzić.

Pułkownik nie spał, i liczył jedne po drugich — zapełniając je tysiącem rozmaitych myśli — wszy-

stkie godziny, które zegar klasztorny ponurym dźwiękiem ogłaszał; aż nareszcie i północ wybiła, a zarazem dzwon wołający na modlitwę cienkim, donośnym, uporczywie w ucho wdzierającym się głosem odezwał.

W téj saméj chwili wszedł braciszek z latarnią do celi, zapalił świecę stojącą na stoliku przy łóżku i nic nie mówiąc wyszedł. — Pułkownik porwał się czemprędzéj; ubrał, i słysząc głuchy szmer na korytarzu, drzwi uchylił. — Kilka osób szło spiesznie. — Pułkownik udał się także za niemi, i wszyscy zebrali się w przybocznéj sali oświeconéj latarnią blado błyszczącą na stole. — Przy stole siedział zakapturzony ten sam niemy braciszek, który był wszystkich pobudził.

Widząc zebranych, powstał i poprowadził ich, z latarnią w ręku, do klauzury klasztoru. — Klucze ogromne brząkały u jego pasa.

Trzasnęły zamki i drzwi otworzyły się na długi, wąski korytarz. Weszli — i znowu zapadły rygle. — Światełko latarni błąkało się między cieniami korytarzy, kiedy szli cicho, zatrzymując mimowolnie oczy na setnych czarnych drzwiczkach w pośród białych murów, nad któremi

długie rzymskie numera wypisane stały. Nareszcie braciszek odgarnął zasłonę wiszącą w końcu jednego korytarza i przepuścił wszystkich do kościoła. Kościół jak grób cichy, jedną tylko łampą przed *Najświętszym Sakramentem* oświecony, w pomroku szaro wyglądał.

Z jednéj i z drugiéj strony chóru, ode drzwi aż ku środkowi, po wielki ołtarz — stojąc jak białe posągi — cicho i spokojnie, każdy w swojéj stali osobnéj, czekali na rozpoczęcie nabożeństwa księża Trapiści.

Za wielkim ołtarzem, dzielącym na dwie równe prawie połowy kościół, umieszczeni byli braciszkowie.

Wtém przeor uderzeniem młotka w pulpit dał znak, i sto głosów wzniosło hymn do Pana.

Śpiewy trwały długą — długą godzinę. — Znak ojca przeora zatrzymał je na raz. Zaledwie echo ucichło wśród murów, nowy znak dano, i białe posągi ugięły się razem i padły na kolana. — Cichość ogarnęła pańską świątynię. — Tylko kiedy niekiedy westchnienie mocniejsze wyrwało się z piersi i przeszło wolno, jak przypadkowy szmer po puszczy — po cichym kościele.

Uroczystość téj niemej modlitwy ogarnęła duszę pułkownika. Oko jego przywykłszy do pomroku, błądząc po zakapturzonych twarzach, zatrzymywało się coraz częściéj na lekko oświeconym promykami lampy czarnym krzyżu, na którym jaśniało rozpięte blade ciało Chrystusa — i widny był przenajświętszy bok jego otwarty. — Ramiona boskie zdawały się odrywać od drzewa, i powoli rozciągać się z wysokości ołtarza nad schylonemi głowami klęczących; a kiedy pułkownik wzruszony skłonił głowę na piersi, i w głębokiém zamyśleniu powiekę przymknął: obraz ten zamienił się w myśli na inny — szerszy — straszniejszy, i zdawało się pułkownikowi że widział w dali! w pomroku — po zapadnięciu słońca — drżący obraz Golgoty; że widział trzy krzyże na pagórku i prawdziwe ciało Jezusa na środkowym świecące najjaśniéj. Szmer ludu żydowskiego uwijającego się w jakichciś kołpakach i długich sukniach wschodnich w pobliżu, dochodził niby jego ucha, a z tyłu ponure miasto Jeruzalem czerniało coraz mocniéj, kirem pokrywając się nocy.

Ten obraz coraz mocniéj — coraz uporczywiéj wciskał się w umysł pułkownika, a za obrazem

budziły się jakieś uczucia — rosły jakieś myśli — rozjaśniały się jakieś pojęcia, lekko naznaczone za młodu, na w pół pozacierane i wyblakłe długiem zaniedbaniem. Jak zgłoski blado naumyślnie napisane, zachowują w tajemnicy znaczenie pisma, aż póki na jaw nie wyjdą wywołane działaniem ciepła; tak te pojęcia, uczucia i myśli, słabo ujęte w młodości, a zapomniane późniéj — występowały w pułkownika umyśle i sercu, pod wpływem dzisiejszéj nocy. — W tem zawarczały koła klasztornego zegaru, i dzwon uderzył drugą godzinę ranną. Uderzenie także młotka w pulpit przeora, przerwało nabożne dumanie i ojcowie powstali.— Jeden oddzielił się od kolumny i wziąwszy ognia z przed wielkiego ołtarza, przebiegał chór po obydwu stronach kościoła, zapalając świece przed stojącymi zakonnikami. — Znowu odezwały się głosy i hymny trwały do rana.

O czwartéj wszystko ucichło. Zasłona się uchyliła, i braciszek ukazał się u drzwi z latarką. Benedyktyn dał znak pułkownikowi do wyjścia, ale zarazem i cały zastęp zakonników się ruszył, i wychodząc rozpierzchnął się po korytarzach i zaczął ginąć w ich głębi.

Pułkownik szedł wolno, patrząc na te znikające cienie w pomroku. W tem ktoś dotknął go lekko z tyłu po ramieniu. On obrócił się żywo i poznał ojca Amancyusza. — Zakonnik zwyczajem wielu starców nieco otyłych, trząsł się musząc się do cichego śmiechu, i razem palce kładąc na ustach przypominał, że nie wolno gadać. — Tak odprowadził pułkownika do drzwi klasztoru, do klauzury; przystanął — uśmiech zginął — wyraz skupionego ducha zastąpił go na twarzy; zdawało się że coś myślał, czy modlił się. Wreszcie pobłogosławił wolno żołnierza i położywszy rękę na jego ramieniu, znowu z uśmiechem, ale spokojnym, tkliwym, pożegnał go — zapewne na zawsze!

Pułkownik wszedł do swojéj celi, rzucił się ubrany na łóżko, i płaszczem nakrył, ale zasnąć nie mógł — Całą noc tę jak na czatach przepędził. — Świeca się paliła na stoliku, tuż przy głowie. — Skoro cokolwiek zaświtało, porwał się z łóżka, zgasił świecę i pobiegł ku oknu. Śnieg pruszył — powietrze wilgotne i zimne, zdawało się że przez szyby przechodzi i przejmuje kości. Ceglana podłoga mroziła nogi. Smutek wyglądał z każdego rogu celi, i ziębił duszę; wracał ją z górnych sfer

do których ją nocne podniosły dumania; wracał ją nielitościwie na tę materyalną planetę naszą — dziś przed okiem jego w śniegu i błocie, w którem my — mikroskopiczne robaki, czołgamy się z nędzném życiem naszem, ratując jak mogąc ciała nasze — te kawałki lichéj materyi, żeby nie ugrzęzły — nie potopiły się; żeby — o ile można najpóźniéj w tem się rozpuściły błocie. — Wyraźnie jakieś kuszenie djabelskie napadało pułkownika w téj chwili; jakieś smutne — rozpaczliwe — materyalne czucie dręczyło go i cisnęło.

W tem Superior Benedyktynów zakołatał, i zaproszony do celi powiedział, że idzie odprawić Mszą Świętą po skończeniu którój trzeba będzie im wracać do domu. — Pułkownik chętnie z nim poszedł do kościoła.

Inny — odmienny zupełnie obraz od tego nocnego, co tkwił w pamięci i ścigał jak sen naprzykrzony, przedstawił się oczom pułkownika. — Coś weselszego — jakby feta parafialna — jakby obchód rezurekcyi wielka-nocnéj — Braciszki uwijają się po kościele. Jedni coś porządkują, drudzy zapalają świece. — Księża w ornatach wychodzą z zakrystyi, inni po skończonéj mszy wracają szepcąc

jeszcze ostatnie modlitwy. — Przygotowania uroczyste do wotywy — jakiś ruch — życie — zatrudnienie w kościele. — Reformaci Łęczyccy i ranki u nich spędzone przyszły pułkownikowi na myśl.— Spójrzał też na ów wizerunek Chrystusa na czarnym rozpięty krzyżu.

Taż sama lampa paliła się, tylko nieco bledsza przy świetle dziennem. Wizerunek ukazał się w mniéj szerokim — mniéj strasznym obrazie niż ów który rozpalona imaginacya w nocy około niego roztoczyła; ale tkliwsze, łagodniejsze uczucie budziło się w duszy na widok pochylonéj głowy pod cierniową koroną. — Myśl pułkownika ostygła, lecz w sercu zaczęło ciepleć. Jakieś dobroduszne, łagodne usposobienie zajmowało miejsce rannéj pokusy. — Mszy Świętéj przez ojca superiora odprawianéj słuchał z rozczuleniem; przy podniesieniu *Przenajświętszego Sakramentu* uchylił głowę pokornie; zapomniał na chwilę, że nie wierzył czy wątpił.—Uczuł się na raz, jakby w innym świecie — ale w świecie znanym, dawnym, przyjemnym; — tak jakby po długiéj podróży — po długich niepokojach i znużeniu wrócił znowu do domu i odetchnął wśród swoich ludzi, swoich

obyczajów, swego żywiołu nareszcie. — Sam nie wiedział — nawet nie miał ochoty zastanowić się, co się działo koło niego, bo mu było błogo i przyjemnie.

Kiedy pułkownik wszedł z Benedyktynem do sali w któréj poprzedniego dnia razem wieczerzę jedli, żeby trochę ciepłego piwa napić się na drogę, zdawało mu się że wszedł do dawno znajomego miejsca. — Twarz braciszka wydawała mu się dzisiaj nie tak surową : raczéj jakąś przyjacielską — uśmiechającą się — dobrą. — Żal mu było wyjeżdżać. Za bramą — wsiadłszy do bryczki, kilka razy jeszcze obrócił się ku drzwiom klasztornym patrząc czy kogo nie obaczy na progu.

Ale rygle zapadły i klasztor milczał — oddzielony od świata.

Kilku tylko braciszków widać było zdaleka po za murami na wzgórzu, idących ku laskowi z pochyłonemi ku ziemi kapturami na które śnieg pruszył.

ROZDZIAŁ V.

EMIGRANCKA GOŚCINNOŚĆ.

I.

Tego samego dnia rano, kiedy pułkownik w Sablé dzielił czas i uwagę między gotowaniem barszczu, a czytaniem dzienniczków demokratycznych, były narady o nim i jego losie, między jego przyjaciółmi w Paryżu. Około godziny dziewiątéj zadzwoniono na drugiem piętrze jednego z domów ulicy Caumartin. Służący polak, z długiemi wąsami bo niby stary kawalerzysta; trochę brudnawy, bo od czasu jak na wielkim świecie żyć zaczął, odwykł się był stroić od rana — drzwi otworzył.

— Pan jeszcze w łóżku.

— Ba! ale już nie śpi może?

— Adyć nie: słyszałem jak się ruszał.

— Boć i czas. — Już dziewiąta. Idź zobacz : — muszę go widzieć dzisiaj.

— Chodź, chodź poruczniku! proszę — odezwał się młody mężczyzna otwierając do przedpokoju : od godziny już listy piszę.

— To co innego. Myślałem że pan także się wyuczył sypiać do południa.— Wieczorem pana nie zastać w domu, a rano nie mam czasu. Ledwiem na chwilę potrafił wyrwać się z fabryki.

— Więc zawsze się pocisz w fabryce, rzekł Alexander wprowadzając Pomykalskiego do pokoju.

— Bo jeszczem się nie oduczył jeść pieczeni panie Dobrodzieju. Ażeby jeść, trzeba szlachcicowi pracować u francuzów gorzéj jak na pańszczyznie. Tu nikt starego żołnierza nie wezmie na rezydentkę. — Żeby to tylko o sobie człowiek myślał..... byłoby pół biedy.....

— Doprawdy poruczniku? A kogóż to jeszcze masz do żywienia ? Przecię nie zrobiłeś głupstwa, spodziewam się, żebyś się na starość miał żenić. Czy czasem jaka gryzetka w głowę nie zajechała?

— Dałbyś pan żartom pokój, przerwał Marcin

Pomykalski, kręcąc siwo-rudy wąs i marszcząc czoło : mnie tam takie rzeczy nie w głowie.

— Widzę, kochany poruczniku, żeś dziś nie w humorze. Czy istotnie masz jakie kłopoty ? Proszę cię, siadaj. Zaraz pogadamy o tem. Tylko muszę pierwéj list zapieczętować i odesłać. — Oto masz cygaro tymczasem.

Marcin usiadł, obejrzał cygaro na wszystkie strony, z respektem i ostróżnie odciął koniec nożykiem zawsze będącym u niego w kieszeni i zaczął powoli je palić. — Oczywiście stary wiarus poznał się na dymku hawańskim i chciał przedłużać przyjemność i użyć smaku : nieczęsto bowiem zdarzało mu się takie cygaro dostać do gęby.

Mieszkanie Alexandra składało się z jednego obszernego pokoju i małego przedpokoiku, gdzie sługa żołnierz za parawanem miał swoje łóżko i sprzęty. — Pokój ten był pełny. Oprócz bowiem żelaznego łóżka bez firanek, za którem szabla i fuzye, na środku umieszczona była kanapa i duży stół prosty, zielonem przykryty suknem, a założony książkami, papierami, portretami, nawet pistoletami — wszystkiem co miało być pod ręką lub na oku. Parę innych stołów i obszerne szafy

po rogach pokoju i w różnych miejscach. — Po całem urządzeniu jednak widać było, że nie przez skąpstwo, brak lub nieporządek, mieszkanie Alexandra przybrało charakter niewykwintny, ale że raczéj surowy pana domu charakter odbił się w urządzeniu pokoju. — Każdy sprzęt postawiony na miejscu, gdzie najlepiéj mógł służyć, i tylko tyle ich i takie tylko które potrzebne. — Nic do zbytku ani dla zbytku; żadnych świecidełek, wszystko dostatnio, silnie, wygodnie. — Gdyby otworzono szafy i przejrzano ubranie, toż samo prawidło znalezionoby zastósowaném i do sukien. Zrobione poprostu, ale dobrze i nawet z gustem. Tak jak obraz narysowany ręką silną i pewną.

— No! cóż poruczniku? cygaro nie naprawiło jeszcze humoru?

— Jeszcze nie.

— Doprawdy zaczynam myśleć, że istotnie jaką złą nowinę mi przynosisz. Zazwyczaj takiś wesoły, a dziś uszyś opuścił. — Otóż już jestem na twoje usługi.

Alexander zadzwonił, oddał list służącemu, i siadając obok gościa:

— Kochany poruczniku, rzekł do niego, teraz słucham. Przepraszam, żem nie mógł pierwéj.

— Trzeba nam sprowadzić do Paryża pułkownika Modliborskiego.

— Właśnie tego sobie oddawna życzę. — Na to się piszę natychmiast. Co on tam wysiedzi na prowincyi? tu mógłby być użyteczny. Człowiek tak powszechnie szanowany niepowinien się chować, kiedy...

— Nie o to tu idzie, panie Alexandrze. Jużciby on zaraz się znalazł, gdyby trzeba było na koń siadać. Lecz dziś na co innego on tu potrzebny.

— Tem lepiéj! Jeżeli go sprowadzić potrafimy, będziemy obydwa kontenci. — Ale powiedz mi poruczniku, co go tam trzyma na prowincyi?

— Co go trzyma? Piękne pytanie! Bieda poprostu.

— Doprawdy! Niewiedziałem zupełnie o tem. Przecięż mówiono, że pułkownik nie był bez pieniędzy. Widziałem go tu w Paryżu w dobrem, jak się zdawało, na emigranta położeniu. — Nie był bez grosza.

— Co było, to się już i wyszypało.

— Poruczniku! bardzo ci dziękuję, żeś mnie o

tem uprzedził. Toć przecię znajdziemy sposób, żeby pułkownikowi dopomódz.

— To jest, że mu pan Alexander chcesz dać pieniędzy... Wiemy że pan ma i nie żałuje. Ale to nie tak łatwo dać je pułkownikowi. Żeby chciał przyjąć, możeby tam..... boć przecię człowiek pracuje, a niezbytkuje, toby..... toby tam może..... i u mnie kilka franków się znalazło.

— Poczciwy Pomykalski! rzekł Alexander szczerze i serdecznie ściskając go za rękę; a ten daléj mówił:

— Ale stary uparty — nic nie wezmie, co myśli że nie jego własne. Otóż teraz byłby sposób złapać pułkownika. Major Zorowski, ojciec pana Karola, przysłał synowi pieniędzy i przytem pisze, że mu się udało sprzedać za sześćdziesiąt rubli stary powóz pułkownika, który był u niego został na składzie. Bogiem a prawdą, major musi zmyślać, bo ktoby tam taki grat kupował. Jeszcze przed wojną klekotał na wszystkie strony. Chyba na żelazo żyd się jaki ułakomił. Ale kiedy tak pisze, niechże będzie i prawda. Przytem dodaje drugą bajkę. O! to — to już czysta bajka. Pisze że pan Paweł, krewny pułkownika, wielki frant szla-

chcic — co to niby patryota, a chłopa drze i sąsiadów o byle co pozywa — odsyła pułkownikowi nareszcie sto rubli *à conto* tysiąca które mu od dziesięciu lat winien. — Niechże i to prawdą zostanie, chociaż gardło daję że pan Paweł stu fenigów nie wypłacił. Zwyczajnie poczciwy major na koncept wpadł, żeby pułkownikowi sto sześćdziesiąt rubli nie napróżno posłać, bo wie że inaczejby się ich nie dotknął. A koncept wcale niezły, bo pułkownik zawsze utrzymywał, że kuzynek więcéj wart niż mówili. Zwyczajnie słabość do swoich. — Więc uwierzy. — Otóż jabym myślał, (ciągnął daléj Marcin kręcąc wąs i patrząc z ukosa na Alexandra:) otóż jabym myślał, żebyśmy mogli we dwóch złożyć się na sto rubli, i w liście ze 160, zrobić 260. Takim sposobem pułkownikowi przybyłoby czterysta franków. — Kiedy łgać, to Mości Dobrodzieju łgać już dobrze, a panu Pawłowi nie obciąży sumienia, jeśli się za niego nie sto ale dwieście rubli zapłaci.

— Zgadzam się w części na projekt, ale niezupełnie. Zróbmy tak: Każdy coś ze swojéj strony: porucznik poprawi cyfrę w liście, a ja całe sto rubli zapłacę.

— Nie! nie! na to nie pozwolę!

— To ja nic nie dam.

— Panie Alexandrze! bądź pan łaskaw! Wszakże ja na tę intencyą sto franków uzbierałem.

— Mnie nic do tego.

— Gdybym wiedział, nie śmiałbym był przyjść z projektem do pana.

— To teraz się odważ i dobij targu. — Kochany poruczniku, mówmy na seryo: mnie sto franków żadnéj różnicy nie robi, a tyś pracował jak murzyn na nie, odmawiając sobie szklanki wina, żeby siły pokrzepić. Otóż byłoby nieładnie z mojéj strony, żebym — mogąc, nie wziął na siebie téj całéj ofiary. Przystań więc kochany poruczniku, a ja obok szacunku, jaki mam oddawna dla ciebie, jeszcze wdzięcznym ci będę, żeś mi pozwolił dopomódz tajemnie pułkownikowi.

— No! niechże więc tak będzie. To ja już będę listy fałszował, a pan bądź dobrodziejem.

— Chwała Bogu, wykrzyknął Alexander śmiejąc się, ale serdecznie ściskając Pomykalskiego: więc myślisz, że jak pułkownik dostanie te trochę pieniędzy, to przyjedzie do Paryża?

— Jest inna przyczyna, która go może sprowadzić do Paryża, i właśnie dla tego szczególnie przyszedłem radzić się pana i o pomoc prosić.

— Jestem zupełnie na twoje usługi poruczniku, dziś więcéj nawet niż kiedykolwiek, tak mnie ująłeś za serce.

— Otóż kiedy pan taki łaskaw, to nie będę przed nim prawdy w bawełnę owijał. — Pułkownik jest wujem młodego Zorowskiego, jak panu wiadomo, a ja w rodzinie ich wychowałem się, wiele im wszystkim winien jestem, i tego dzieciucha kocham jakby to był mój własny, mam zawsze go na oku i widzę co się święci.

— To bardzo dobry chłopiec. Spodziewam się, że się dobrze prowadzi.

— Nie zupełnie dobrze, niezupełnie na nieszczęście! Zakochał się jak kot.

— Ach to jeszcze nie takie wielkie nieszczęście! Kochany poruczniku.

— Gdzie tam! Żeby to z panem Karolem było jak z tylu innymi, jak.... nie przymierzając.... jak to Mości Dobrodzieju..... za dawnych czasów..... ze mną bywało, co to — tu się człowiek kocha, a

tu znowu..... no już dosyć na tem: pan Alexander rozumie.

— Rozumiem, rzekł Alexander śmiejąc się, żeś poruczniku wiele nieszczęśliwych ofiar za młodu narobił. Wszak to chcesz powiedzieć?

— Ot tak sobie panie..... i minęło wszystko, i stary wiarus nigdy głowy nie stracił. — Ale pan Karol w pułkownika się wdał.

— Teraz koléj widzę na anegdotki o pułkowniku?

— Anegdotki! nie wiele anegdotek o pułkowniku. Jedna i krótka. Jak mu raz za młodu panna starościanka w oko wpadła, tak też już podobno na drugą nie spojrzał, a jeśli spojrzał — co nie wiem — to mospanie chyba mimochodem — i kwita. — Przytem, gorące wtenczas to czasy były! Szabla w ręku! Nie można było długo romansować. Przygniotło się smutek w sercu i daléj do obozu. — Dziś gorzéj z panem Karolem. Jak mu się nie uda....

— Kochany poruczniku, ja się domyślam o czem chcesz mówić. Już to parę osób uważało, że się nie potrzebnie rozkochał. Próżne bałamuctwo. Panna bogata — nie dadzą jéj za emigranta. Tem bardziéj

że to..... ja nie znam jéj rodziny, ale wyraźnie widać, że to z nowo zbogaconych, zatem na próżności musi im nie zbywać.

— Pan więc myśli, że pan Karolby jéj nie dostał?

— Myslę że nie. Istotnie trzebaby go przestrzedz, żeby się próżno nie bałamucił.

— Otóż musim sprowadzić pułkownika. Ja panu Karolowi napomykałem, ale w końcu, nie śmiem znowu bardzo wdawać się w takie delikatne sprawy. Potem boję się żeby jakiego głupstwa nie zrobił, gdyby mu się bardzo naprzykrzano.

— No cóż? przecie w łeb sobie nie strzeli.

— Gorzéj, panie! gorzéj!

— Ha! ha! ha! czegoż gorszego się boisz?

— Ot, panie! żeby księdzem nie został.

— Ha! ha! ha! tęgi wiarus z ciebie!

— Tak, panie! Jak mu się nie uda, gotów nam wleść pod kaptur, bo to w rodzie u nich, żeby zawsze ciągnąć za kapturem. Czy pan słyszał kiedy o jego dziadku?

— Nic, mój kochany, nie słyszałem. Ale dlaczego ty, poruczniku, tak stanu duchownego nie lubisz?

— Nie lubię? a to zkąd! Ja, panie, od młodu nawykłem do księży. Takém się z nimi nieraz ubawił! Ale przystać do nich? kaptur na głowę wściubić? O! panie, z tego nic.

— Cóż cię znowu tak upewnia, że Zorowski na księdza się wybiera. Dotąd, jak się pokazuje, nie tą drogą idzie, kiedy ładne oczy takie na nim wrażenie robią. Chociaż w każdym razie, mówił Alexander śmiejąc się, podług mnie, lepiéj księdzem zostać niż w łeb sobie strzelić.

— Panie Alexandrze, on już dzisiaj najwięcéj o teologii rozprawia.

— Eh! poruczniku — że chodzi do kościoła, to już taka u was nowość. I ja do kościoła, chwała Bogu, i do spowiedzi chodzę...

— Do ładnych Francuzek, przerwał Pomykalski spoglądając figlarnie z ukosa i wąs kręcąc.

— Nie, bracie! mówię na serio. W tém my trochę lepsi jesteśmy od was legionistów. Chodzę i do kościoła i do spowiedzi, jednak wątpię żebym kiedy księdzem został. I Karol nim może nigdy nie będzie. To nie tak łatwe i nie tak częste powołanie: — osobliwie dzisiaj między nami. Co do romansów Zorowskiego jednak, masz racyą, poru-

II

Pułkownik wracając około południa od Trapistów do domu, nie znalazł ani ognia na kominku, ani obiadu gotowego, ale natomiast zobaczył na stole dwa listy. Jeden gruby, niekształtnie złożony. Poznał na nim rękę Marcina Pomykalskiego, jego krzywe ogromne litery, i dwie ortograficzne omyłki na adresie po francuzku napisanym.— Porwał więc szybko za ten list, nie patrząc nawet na drugi przy nim leżący, i odpieczętował. Wexel wysunął się z pomiędzy papierów. Pułkownik odgarnął go na środek stolika nie zaglądając do niego. — Przebiegł najprzód oczyma list od dawnego przyjaciela młodości, od owego Jasia Zorowskiego; od owego późniéj kolegi w wojskach napoleońskich, męża Ewci Piwówny, starego majora na wsi Łęczyckiéj. Zawsze taż sama dusza, taż sama poczciwość, serdeczność, prostota. Skarżył się nieborak że bardzo ociężał, że mu już trudno wsiąść na konia, że mu tęskno do najstarszego syna i do Prokopa. — Nareszcie przystąpił do interesu. Pułko-

wnik czytając cyfrę w dwóch miejscach grubo zamalowaną, wziął do ręki wexeł, zapewne żeby ją porównać z bankierską liczbą oznaczoną we frankach. Potém list kończył. Druga jego połowa była od Ewci. Pełno uczucia: — jakby wypłakane całe okresy. Gdzie niegdzie uwaga albo nadzieja patryotyczna w bawełnę niby obwinięta, ale tak, żeby ciężko w czaszkę bity był za młodu moskiewski urzędnik, któryby jéj od razu nie odgadnął.—Pułkownik czytając je uśmiechnął się kilka razy smutnie.—List ten zakończony zapewnieniem przywiązania i obietnicą modlitwy do Ś. Prokopa. Przyjemny był, ale tęskność dziś podwoił do miejsc rodzinnych i do osób kochanych. Przeczytawszy go parę razy, spokojny na pozór, pułkownik wziął do ręki karteczkę od Karola, a potém długi list Pomykalskiego. Był tam rachunek bankierski, plotki emigracyjne, koncepta różne, a między mnóstwem rzeczy, niby niechący — jakby coś niepewnego — w żartobliwy sposób, napomknienie o romansach Karola.— Mądry Marcin, chciał tylko lekko dotknąć téj strony, żeby ciekawość obudzić, a zarazem dać potwierdzenie temu, co pan Alexander pisał; zostawując jednak całą ważność

czniku. Trzebaby mu wybić z głowy tę pannę Chuchowską.

— Albo go ożenić.

— Wątpię żeby się udało.

— Jabym probował. Tém bardziéj że się tam pan Wacław kręci. Ach panie! przepraszam. Zapomniałem że to pański krewny.

— Gadaj swoje, poruczniku — nic nie uważaj, rzekł śmiejąc się znowu Alexander.

— O! już nie o panu Wacławie: — kuzyn zawsze kuzynem. — Oto, czy tak czy owak Pan Bóg zdarzy, w każdym razie trzeba pułkownika sprowadzić.

— Napisz więc do niego, powiedz mu wszystko otwarcie.

— Lepiéjby było, żeby pan do niego napisał.— Wprawdzie pułkownik ma do mnie zaufanie; ale w takich rzeczach... będzie znowu myślał, iż to jak z panną starościanką... słowem, prędzéj panu wypada napisać.

— Ja tego nie widzę.

— Jak pan napisze, że po salonach o tém gadają, że panna kokietka, że...

— Hola! hola, poruczniku! ja wcale nie mówi-

łem żeby panna Chuchowska była kokietką: — ja o pannach takich rzeczy zazwyczaj nie gadam.— Lecz jeśli sobie koniecznie życzysz, to dziś jeszcze napiszę do pułkownika, radząc żeby przyjechał. Lepiéj wcześniéj niż późniéj. — Oszczędzimy może chłopcu połowę smutku; bo panny zapewne nie dostanie. W każdym razie radbym pułkownika widzieć między nami. — Mnie przykro myśleć, że tacy ludzie jak on kryją się po prowincyi, zamiast o sprawie myśleć.

Ułożyli więc we dwóch plan cały. Pomykalski poszedł do Karola, wziął listy z Polski, sfałszował cyfrę, i z najspokojniejszém sumieniem powrócił na ulicę Caumartin. — Tymczasem Alexander list swój wygotował, i dołączywszy czterysta franków, doręczył go porucznikowi, który listy i wexel kupiony za wszystkie razem pieniądze, tak te co z Polski przyszły, jak te *co się po drodze znalazły* — do pułkownika wyprawił.

— Pułkownik, chwała Bogu, zdrów i silny — i jeszcze Moskalom kurtę wykroi.

— Coś się na to nie zabiera. Tymczasem i ja klapnę. Biedny Zorowski! Niesłusznie oskarżam go o pieszczoty; boć to nie jego zwyczaj był w obozie. Tylko jadł zawsze dużo. Dlatego też roztył się zawczasu, jak się raz w domu zasiedział, i zaczął kiełbasy i bigos zajadać.

— Widać że nasza kuchnia zdrowsza od łęczyckiéj.

— Bo skąpsza! Zobaczymy czy nam co zdrowego dziś w garkuchni dadzą. Wody ciepłéj na zupę, i kawałek twardéj wołowiny. Przyznam ci się, że mi się nie bardzo chce z domu wychodzić.

— Ale przecież trzeba zjeść cokolwiek. Czy pułkownik nie słaby? Otóż pociecha! Ja myślałem, że ta mała wycieczka z domu ożywi trochę pułkownika — rozerwie: — a tu gorzéj niż pierwéj.

— Chodźmy więc do twojéj garkuchni. Nie trzeba przed czasem przyjaciela smucić.

— Pułkowniku! doprawdy zaczynam być niespokojny. Proszę mi powiedzieć, co się stało — rzekł czule Modliborskiego ściskając za rękę. Kto

pułkownika pocieszy, jeżeli i przede mną tajemnica.

— Oto, moj kochany Aloizy, musimy się rozstać i to wkrótce. Żal mi ciebie porzucać, żal mi i tego kąta do którego już się poczęści przyzwyczaiłem. — Przytém — ta trocha pieniędzy, gdyby się siedziało na miejscu — mogłaby biedę podłatać. Możnaby koszul kupić, bo stare już się dodzierają. Surdut nowy zrobić kazać. Przynajmniéj z téj strony byłby człowiek rok lub dłużéj spokojny. A tak — droga do Paryża i pobyt w dużém mieście, znowu kieszeń wypróżnią. Tysiąc franków, co mi Zorowski przysłał, pryśnie w okamgnieniu. I żeby to jeszcze ofiarę robić dla czego ważnego! ale... dla głupstwa Karola! A niby rozsądny chłopiec!

— Czy koniecznie potrzeba jechać? Przecież, pułkowniku, Karol da sobie radę. Boć kiedy głupstwo, jak pułkownik mówi, to nie choroba. Może pojedynek?... Toć ma tylu kolegów w Paryżu.

— Nie! mój Aloizy — nie pojedynek. Dla pojedynkubym nie jechał. Pomykalski w témby mnie zastąpił.— Takby dobrze sekundował jak ja, gdyby przyszło do strzału; a pogodzić prędzéjby ode

nowiny i rady temu ostatniemu do wyłuszczenia.

Po przeczytaniu wszystkich listów zawartych w pakiecie Pomykalskiego, i złożeniu ich wolno i z pewném zamyśleniem; pułkownik spójrzał nareszcie na drugi list w długiéj i porządniejszéj nierównie zamknięty kopercie.— Ręki na adresie nie poznal, ale po pieczątce na wpół się domyślił, że był od Alexandra którego lubił i szanował; przeto wziął się do odpieczętowania i przeczytania go cożywo. — Na drugiéj stronnicy zatrzymał się, wrócił na pierwszą, zastanowił się nad jakiémś wyrażeniem — znowu przewrócił kartkę i zaczął czytać z uwagą, a nad czołem chmurzyło się coraz ciemniéj. — Wkońcu rzucił list na inne papiery — stęknął, jakby coś zabolało go w sercu, i wstał ze stołka bez żadnéj innéj głośnéj skargi.

Pokój zdawał mu się dziś smutniejszy niż zazwyczaj. Zimno i wilgotno było. Pułkownik na chwilę stanął przy kominku — schylił się, jakby miał zamiar rozniecić trochę ognia; ale nie znalazłszy żadnego żarzącego węgla, żadnéj iskierki, zaniechał téj pracy. — Tylko nałożył fajkę, zapalił i zaczął chodzić po pokoju smutny i zamyślony.

Wtém dwunasta wybiła : na podwórze zaje-

chały wozy, i wkrótce przyszedł Aloizy. — Uściskali się serdecznie.

— Trzeba nam będzie iść dzisiaj do oberży na obiad. Musiałem w drukarni od rana pracować, żeby zawodu patronowi memu nie zrobić, i nie moglem pułkownika w domu zastąpić.— Ale pułkownik coś mi smutny? Czy nie udała się podróż? A! listy? Od Pomykalskiego, jak widzę, rzekł przybliżając się do stolika i patrząc na kopertę z wielkiemi, krzywemi literami.— Czy istotnie co złego donosi? I wexel!

— Widzisz więc że dobra nowina, odezwał się nareszcie pułkownik pół-gębkiem, chociaż niby z uśmiechem.

— Ale przytém coś złego być musi. Przy pieniądzach są zawsze i listy z Polski. Czy jakie nieszczęście? Kochany pułkowniku, proszę mi powiedzieć... czy są listy z Polski?

— Są! są! i dobre.— Nikt dotąd z bliższych nie umarł. Ojciec Karola trochę kwięka wprawdzie, ale może się też stary i pieści, bo żona i córki jak zaczną pielęgnować, to w niejednego wmówią że szklany. Przecież on niestarszy ode mnie, a ma lepsze wygody.

mnie potrafił, bo to frant przebiegły. — Inna to sprawa, o któréj — daruj, kochany Aloizy — nie mogę ci mówić.

— Oh! oh! pułkowniku, to może coś politycznego?

— No — już się nie naprzykrzaj, rzekł Prokop na w pół z uśmiechem, na w pół z nieukontentowaniem: nie mogę ci powiedzieć. — Nic politycznego w każdym razie. Nie dość jestem dobry dyplomata, żebym miał, dla oszukania ciebie, Karolowi głupstwo przypisywać. Muszę być istotnie zły na niego, kiedym nie mógł ci tego zupełnie zataić.

Zjedli razem obiad na mieście w lichéj garnkuchni. Po obiedzie Aloizy poszedł do pracy a pułkownik do domu; rozłożył ogień na kominku, poprzebierał w papierach i manatkach, przybił do mantelzaka parę gwoździków, wyexaminował małą kłódeczkę, i tak w części na krzątaniu się, w części na rozmyślaniu przy kominku i fajeczce przeszło kilka godzin. — Nad wieczorem wrócił znowu Aloizy, a zobaczywszy mantelzak tuż przy łóżku przygotowany, zrozumiał że dzień podróży już być naznaczony musi. — Niedługo też powie-

dział mu pułkownik, że chociaż jutrzejszy dzień razem jeszcze przepędzą, pojutrze jednak rozstać się już będą musieli. — Aloizemu łzy stanęły w oczach, ale nic nie rzekł na to oświadczenie. Stary żołnierz zobaczył rozrzewnienie młodego przyjaciela, wstał od komina i z wilgotną także źrenicą uściskał go serdecznie. Wieczór przepędzili razem, nie wiele rozmawiając, chyba o przygotowaniach do podróży. — Pułkownik mówił, że będzie się starał powrócić do Sablé, lub — jeśli inaczéj wypadnie, poszuka zatrudnienia w jakiéj paryzkiéj drukarni dla Aloizego, żeby w ten lub inny sposób znowu się z nim połączyć.

Na drugi dzień rano, pułkownik poszedł wymienić wexel, popłacić niektóre małe dłużki, i koło dziesiątéj wrócił do domu kuchmistrzować po raz ostatni. — Aloizy zaś napisał w drukarni list do swego przyjaciela a najwięcéj wpływu mającego w sekcyi Towarzystwa Demokratycznego w le Mans, gdzie pułkownik nazajutrz na noc miał stanąć. — Wyprawiony list pocztą uprzedził Polaków w tem mieście o przybyciu pułkownika, który trzeciego dnia po powrocie od Trapistów i odebraniu listów z Paryża, wsiadł do małego dy-

liżansiku i po serdecznem uściśnieniu ręki Aloizemu, biegącemu za wozem aby jeszcze raz mu ją podać, opuścił dobre i przyjemne miasteczko, gdzie był rok cały w zaciszu przepędził. — Wieść o jego wyjeździe rozeszła się była po Sablé, i chociaż nikt go prawie nie znał zbliska, kilkanaście jednak osób znalazło się przy dyliżansiku dwukonnym, kiedy officer polak, do niego siadał, a skoro ruszył, czapki i kapelusze uchyliły się na pożegnanie.

W małym wózku usadowiła się obok pułkownika siostra miłosierna, a naprzeciwko zegarmistrz jadący na targ ze staremi tombakowemi zegarkami do le Mans. — Przez całą drogę oboje nie szczędzili małych usług i zabiegów, żeby mu okazać uszanowanie i uprzejmość, a pułkownik ze znaną sobie prostotą i dobrocią rozmawiał z niemi, wypytywał się o rozmaite rzeczy, grzeczność za grzeczność oddawał i coraz więcéj za serce ich chwytał.

Szkoda to wielka, że ginie między nami ten rodzaj szczeroty i uprzejméj łatwości w pożyciu, a natomiast jakaś lodowata pycha nastaje, która zawsze prawie małości, a często głupstwa jest oznaką.

Czy nie stokroć przyjemniéj uśmiechnąć się przechodząc, zaczepić, pogadać i na twarzy ludzkiéj

braterski i uprzejmy uśmiech obudzić; niż chodzić jak napuszony indyk, oburzać zazdrosnych, wywoływać żart i obmowę u złośliwych i dowcipnych, a wzbudzać politowanie w rozsądnych? Pułkownik nawyknął był od młodu zawsze być z uszanowaniem dla starszych i wyższych — i czuł, że właśnie uczucie godności wymaga, żeby tego obowiązku uszanowania dla innych w sobie przestrzegać: żeby — jak Jan Kochanowski powiada, każdy był « uważan w swojéj dostojności.»

Ale z drugiéj strony trudno było znaleść więcéj uprzejmego człowieka dla równych i niższych. Jest bowiem prawie nieomylna reguła, że krnąbrny względem wyższych, jest twardym i despotą dla niższych; a pyszny względem podrzędnych, podchlebia wyższym. Prawdziwe tylko — wewnętrzne uczucie godności, umie pogodzić, uszanowanie dla jednych, z uprzejmością dla drugich.

Kiedy jest pewność, siła i prawość w sercu, wtenczas się ani puszy ani płaszczy; ani straszy, ani udaje. Gra się swoją własną rolę od początku do końca. Każda komedya w życiu, jest nędzą.

Pułkownik przyjechał do le Mans pod sam wieczór. Wysiadając z dyliżansu ujrzał się w gronie

rodaków czekających na jego przybycie. Otoczono go natychmiast i prowadzono do przeznaczonéj mu gospody z oznakami szczeréj, trochę głośnéj uciechy. — Jeden się zajął sprowadzeniem rzeczy jego do kwatery, drugi pobiegł naprzód, żeby czemprędzéj obiad dawano, kilku nie odstępowało gościa. Jak adjutanci, wszyscy wyglądali na jego rozkazy, a widać było, że każdy z ochotą oddawał usługę; każdy radby w czém dogodzić i dopomódz. — Pułkownik choćby chciał, nie mógłby się oprzeć gwałtowi téj gościnności. — Musiał i obiad i nocleg u kolegów przyjąć, z nimi cały wieczór przepędzić.

I przepędził go przyjemnie! Przypomniały mu się chwile niegdyś w zakładach wojskowych lub w obozach za młodu w gronie ówczesnych towarzyszów broni spędzane. — Gościnność rozgrzała dusze tułacze, usposobiła do harmonii i zgody, obudziła uprzejmość i wyrozumiałość. Dlatego wszyscy byli weseli, wzajem dla siebie przyjacielscy, dla pułkownika wylani.

A jednak większa połowa między nimi należała do towarzystw, które pułkownik ganił głośno i gotów był walczyć upornie. — Lecz dziś serca,

nie mózgi były w ruchu : zapomniano o polityce, kochano się, ściskano : i gdyby jakim cudem zatrąbiono w téj chwili do boju, wszyscy stanęliby zapewne w jednym szeregu przeciw Moskwie pod dowództwem pułkownika.

Późniéj swary rozdarły głębszą przepaść między różnemi emigrantami, a zacieknienie się w abstrakcyach politycznych ostudziło w sercach szczere, proste, czyste uczucie miłości ojczyzny polskiéj.

Idea wyssała ciepło z serca.

Wprawdzie były sprzeczki w le Mans, nim pułkownik przyjechał. Przyjaciel Aloizego po odebraniu listu z Sablé, oświadczył był w wigilią przybycia pułkownika w jednéj małéj kawiarence, gdzie się po największéj części wyznawcy towarzystwa demokratycznego co wieczór zbierali, że znakomity wojskowy w przejeździe swoim przez ich zakład, powinien być z gościnnością przyjęty, i że opinie polityczne muszą umilknąć przed dawnemi zasługami i godnością starego żołnierza.— Wniosek ten podobał się w ogóle : jednak nie obyło się bez oppozycyi.—Były mowy— i dość gorące : ale natura gościnna i poczciwość przemogły. Wniosek został przyjęty : nawet uważano, że ten

który mu był najprzeciwniejszy w wigilią — nie tylko po przybyciu pułkownika nie pokazał się ostatnim w nadskakiwaniu mu, ale tak go szczeréj i otwartéj gościnności napadła gorączka, że przyznawszy się, (dla uspokojenia sumienia swego,) pułkownikowi, iż zupełnie jego opinie potępia, z całą duszą oddał się tego wieczora na jego usługi. — Fajkę mu nakładał, kieliszki nalewał, i żegnając na dobranoc ściskał za rękę z całéj mocy. Ledwie poczciwiec nie płakał z rozczulenia.

Nazajutrz cały zakład Polaków był przy dyliżansie, kiedy pułkownik wyjeżdżał. O godzinie szóstéj czapki i kapelusze uniosły się po nad głowami, ramiona zaczęły telegrafować, odgłosy pożegnalne powstały, i dyliżans wyruszył w pośród oznaków przyjaźni, uszanowania i życzeń.

Sześć białych ogierów, to kłusem, to galopem pędziło. Ogromna stodoła napakowana u góry mnóstwem worków, tłomoków i kufrów przechylała się to na tę, to na owę stronę za każdem uderzeniem o kamień, za każdą nierównością drogi.— Z okien wyglądało kilkanaście twarzy. Na jednych smutek, na drugich radość; jedni, ciekawi okolicy, mierzą okiem rozległy krajobraz; drudzy żegnają

go z tęsknotą, przy pierwszem rozstaniu już chwytającą za serce. — Stodoła pędzi po błotnistéj drodze, kamienie zgrzytają pod ciężkiemi kołami, a długi bicz woźnicy śwista nad spienionemi końmi! — Do Paryża! do Paryża!

Na dalekiéj błoni, wśród mgły zimowéj sterczą dwie wieże, jak na morzu dwa maszty odarte z chorągwi. Ani lasu, ani pagórka na około, tylko czarna, równa, błotnista rola jakoby w polnych kujawach, a droga niby wąż lub wstęga wije się w małych przegięciach zdążając ku wieżom. —Pod wieżami zaczerniał grzbiet ogromnéj katedry : — daléj — drobne domki jak ciemne punkciki ukazały się pod jéj skrzydłami. — Daleki obraz zaczął rosnąć — coraz więcéj rosnąć przed okiem, aż nareszcie ukazało się miasto i wkrótce kopyta końskie zagrzmiały na bruku. — Dyliżans zatrzymał się na pół godziny w Chartres. Ledwie przekąsić pozwolono. Pułkownik nie mógł zwiedzić katedry, jednéj z najpiękniejszych we Francyi. Czemprędzéj trzeba było siadać do téj galopującéj stodoły, i daléj — do Paryża! do Paryża!

Słońce zapadło za chmury — uciekło pod ziemię. — Mgła coraz więcéj gęstniała i wilgoć przejmowała kości. Pozamykano prawie wszystkie okna pędzącego domu. Zapalono latarnie na koźle i rozmowy między podróżnemi ucichły. — Parę godzin tak przeszło. — W tem konie uderzyły po bruku. To Paryż? — Nie jeszcze! jeszcze mil kilkanaście, ale *chaussée* nie wytrzymałoby pod ciągłem uderzaniem kół coraz liczniéj zdążających wozów do bram stolicy. Tu już grubego kamienia potrzeba : lecz i kamień codzień pryska i codzień widać pracujących nad poprawą bruku.

Już zgiełk jak na ulicach miasta, a jeszcze dwa przeprzęgi nim dyliżans stanie u rogatek. Coraz to konie dzielniejsze, hardziejsze, rżą, kwiczą; coraz głos furmanów twardszy, gęstsze klątwy, jakiś pośpiech, rosterk, wojna — aż nareszcie dyliżans wpada w bramę nowego Babylonu!

Pułkownik nikogo nie uprzedził o swojem przybyciu i zajechał prosto do hotelu, gdzie od miesiąca już prawie mieszkał Karol. — Nie mógł on był wytrzymać na pensyi w bliskości ogrodu botanicznego, i pod pozorem że się chce zbliżyć do miasta, opuścił tę dziwną menażeryą francuzów i cudzoziemców ze wszystkich końców świata, rozmaitego wieku, płci, obyczajów i cnoty. Najął

sobie mały pokoik na ulicy de Baune, tuż koło królewskiego mostu, prawie naprzeciwko królewskiego zamku i ogrodu. Pułkownik nie zastał go w domu, chociaż już po jedynastéj w nocy przyjechał do hotelu. Karol był na wieczorze, ale nie u pani Chuchowskiéj, ani u pani B. — Był on na wieczorze u dwóch przyjaciół mięszkających na poddaszu w jednym z najbrzydszych domów szkaradnéj ulicy Świętego Jacka, gdzie go musimy iść poszukać.

III

Przebywszy schody ciemne, ciasne i kręte; przebywszy jakieś drewniane staroświeckie galeryjki, wiszące nakształt babylońskich ogrodów po nad brudnem podwórzem; wchodziło się jak po drabinie, po zewnętrznych drobnych schodkach na poddasze, w rogu którego były drzwi obszerne jak do stodoły. Przez szpary tych drzwi wymykały się promienie światła. — Otwórz je, a zapewne przyjmą cię tam gościnnie, choć nie proszonego, na *proszony* wieczór.

Izba obszerna, zimna bo ze wszech stron wiało, ale na kominie kilka kawałków drzewa się pali i rozwesela serca więcéj niż grzeje. W dużem blaszanem naczyniu gotuje się woda, koło ognia kilku emigrantów polskich siedzi, a na rozmowie — nawet na konceptach nie zbywa. — Jedna świeca łojowa na kominie stoi, druga oświeca na stole rozmaitego kształtu sześć czy siedm kubków, duży bochenek chleba, trochę masła i sera i w wielkim dzbanie na dnie, niby coś nakształt śmietanki. — To przygotowania do herbaty.

We dwóch rogach izby stoją dwa łóżka — płaskie, snać nie wiele na nich pościeli. — Lecz obok łóżek zawieszone półki z prostego drzewa, uginają się pod mnóstwem książek.

Zkąd te książki? Bóg wie! boć pewno nie za pieniądze tych którzy nie wiele za co jeść mają.— Są ludzie, których książki tak się trzymają uporczywie, jak innych pieniądze, lub — (co się częściéj podobno zdarza,) bieda. W jednego pchaj co chcesz — zawsze goły; u drugiego zawsze grosz znajdziesz choć zniskąd zdawałoby się, nie ma zasiłku; trzeciego znowu mantelzak próżny, le-

dwie parę koszul prócz tego co na grzbiecie, a książki, gdzie się obróci, ciągną za nim.

Gospodarze krzątają się. Jeden przez chustkę porwał za ucho blaszanego naczynia i nalał co prędzéj ukropu na herbatę. Jakoś to i bez samowaru nieźle naciągnęło. I Chwała Bogu, bo polonia choć w biedzie, zna się na herbacie. — Zatem nalano w kubki, podano śmietanki w dzbanku; lecz że u schlachty polskiéj zawsze koncepta się roją, przeto podano i *rumianku*, to jest rumu ochrzczonego tym niewinnym nazwiskiem.

Wieczór był wymyślony i urządzony przez dwóch młodych literatów : jeden wiersze pisał, drugi — nie wiemy już teraz nad jakiem dziełem wtenczas dumał i gryzł pióro : dosyć że obydwa byli..... jakoby literaci; ale co lepsza, zacni, bystrzy i wiele dobréj chęci mający młodzieńcy. Dalecy od przechwałek, szczerze chcieli pracować za młodego wieku i przygotować się do usług krajowi i ludzkości. Bóg im też dopomógł : ni jeden ni drugi wprawdzie nie wyszedł na literata, ale jeden i drugi pracując znalazł drogę na któréj chwalebnie i użytecznie żyje. — W takim gronie Karol powinien być lubionym i w takim rodzaju miał też naj-

lepszych przyjaciół. — Na dzisiejszym przeto wieczorze nie dziw że się znajdował. — Rozmowa była — to poważna — to wesoła, ale tak w pierwszym jak drugim razie, widać było, że towarzystwo składało się z osób wyższego serca i umysłu. Żart nawet taki jak o *rumianku*, jeśli się zdarzył, to był przyjęty ze szczerym wprawdzie uśmiechem, ale raczéj jak echo obozu rozweselające na poddaszu, życie tułacze, niżeli jako koncept ich własny. — Dziś najczęściéj rozśmieszał towarzystwo, jeden tylko między nimi nie mogący do młodzieży już się liczyć, a nazwiskiem Wojciech. Uwag oryginalnych, nagłych spostrzeżeń którychby nikt się nie spodziewał; wniosków więcéj wprawdzie hardych niż ścisłych, przepowiedni które zaiste! nie sprawdzały się zwykle : — wszystkiego tego było pełno u niego, a wszystko podane pod formą powieści, przybrane w zabawne porównania, dziwne koncepta, dowcipne zastosowania. — Zdawałoby się że umysł jego, tak był pod wpływem jakiegoś ciągłego mózgowego ruchu, jak oczy jego czarne i biegające pod wpływem nerwowéj niespokojności.

Najstarszym w gronie po Wojciechu był Bo-

gdan. — Miał on zapewne koło lat trzydziestu. Nieco przerzedzone ale podnoszące się w jasnych kędziorach włosy, powiększały jeszcze objętość dużéj czaszki; po szerokiém czole marszczącém się i wypogadzającém co chwila, równie jak po brwi ruchoméj, łatwo odgadnąć można było nieustanną pracę umysłu. Lecz regularność i drobność rysów twarzy, szerszéj nieco od skroni, a zakończonéj wązką bródką, gładko przyciętą; łagodność w oku i słodycz w ciągłym prawie uśmiechu, przyciągały wszystkich do niego. — Czuł każdy, że jakaś dobroczynna intelligencya, i przychylna ludziom dusza mieszka (mówiąc jakby może Dante się wyraził), w téj jego osobie.

Chciałbym wiedzieć, rzekł Nestor z wieku, głęboko usadowiony w dużém krześle z poręczami, które między słomianemi stołkami, tak jak on między towarzyszami wieczoru, na Nestora wyglądało: chciałbym wiedzieć, rzekł strzelając na wszystkie strony czarnemi oczami, jak wy te wszystkie książki do mantelzaków zmieścicie, kiedy zabębnią do Polski? I wymówiwszy bez żadnego uśmiechu te słowa, zgarbił się, jeszcze bardziéj pochylił, szerokie, wązkie wargi wyciągnął ku filiżance na

którą długi nos opadał, a uszy jego, przy tém pochyleniu, rozszerzyły się jakby elastyczne i wystawały nad tyłem głowy.

— Zapewne, że to nie po obozowemu tyle książek zbierać, odrzekł Bogdan z uśmiechem; ja jeszcze inną uwagę zrobię. — Gospodarze nie zapomnieli o rumianku — jednak dotąd nikt go nie sprobował. Gdyby ta flaszka stała między nami kilka lat pierwéj, jużby zapewne do połowy była próżna. Może pan dasz nam dobry przykład, panie Wojciechu, mówił daléj Bogdan, biorąc za butelkę.

— Nie! nie! Chryste panie! mam suchoty!

— Od czasów Księstwa Warszawskiego, co panu nie przeszkadza bić się, Pana Boga chwalić — nawet koncepta gadać.

— Koncepta! ja nie jestem za konceptami, rzekł cicho do Bogdana Karol siedzący tuż około niego.

— Spodziewam się, kochany Karolu, że słowa twoje nie stosują się do naszego zacnego przyjaciela, jednego z najdowcipniejszych ludzi niezawodnie między nami — bo wiesz dobrze jaki jest przedział między istotnie dowcipnym człowiekiem a koncepcistą niskiego rzędu; między Molierem naprzykład albo Krasickim, a bufonami literackiemi

którzy trawestują Iliadę lub piszą Przonkę. — Ale masz zupełnie racyą, jeśli mówisz o tych nieszczęliśwych naturach, co muszą wszystko sparodiować, wydrwić, zeszpecić ironią; co nie w sercu, ani nie w mózgu nawet, ale w pęcherzyku żółciowym szukają natchnienia. O! zapewne, żeby karykatury malować, potrzeba także dowcipu; żaden jednak wielki artysta nie będzie silił imaginacyi swojéj na karykatury. I Carowie parodiowali Rzym chrześciański — bo też sami są parodią Cezarów pogańskich!

Kiedy Bogdan to mówił, na chwilę oczy jego mocniéj zabłysły, czaszka i czoło jakiéjś ruchomości nabrały. Powstał, przeszedł parę razy po izbie, i wracając z uśmiechem i zwykłą na twarzy słodyczą do Karola, rzekł do niego:

— Coś smutni jesteśmy, panie Karolu? po co to! Czy my to gramy na Bursie żeby się kłopotać? Czy mamy jakie gospodarstwo w Brandeburgii albo na Szląsku, żeby się troszczyć o krowy i barany? — Po co płocho w duszy? Na nas krzyżowych rycerzy, to nie przystoi, panie bracie! W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, niech się wola boża dzieje! Czy w szpitalu, czy na placu

boju przyjdzie umrzeć, mniejsza oto, byle w sercu były krzyż i Polska!

Wtém coś zaczęło szamotać się pode drzwiami. Bogdan obrócił się żwawo:

— Czy to jaki duch się kołacze na poddaszu? Toć jeszcze nie północ, rzekł wesoło.

Jeden z gospodarzów uchwycił za świecę stojącą na kominie i pobiegł ku drzwiom otwierającym się właśnie po długiém macaniu i szukaniu klamki u tych wrót dziurawych. — Wielcy poeci, litewski i ruski, weszli do izby. Tylko wielkiego koronnego wieszcza brakowało w tym gronie. Zrządzeniem okoliczności, nie dzielił on z innymi tułactwa. — Wszyscy powstali aby ich z uszanowaniem przyjąć. Gospodarze dorzucili chróstu i drewek do ognia — woda znowu zaczęła syczeć i wrzeć na nową herbatę. Rozmowa szła — rosła coraz żwawiéj i szerzéj. — Było tam to poważnie, to wesoło, jak w chrześciańskim obozie. — Litwa uderzyła na Koronę — Korona odcięła się Litwie, aż ktoś z przytomnych zrobił uwagę: «nie na żarty dawniéj się swarzono, jednak Bóg pozwolił, że to małżeństwo bez rozwodu kilka wieków dotrzymało. Na szczęście, dzisiejsze starcie się między

nami jest już tylko jak echo dawniejszych czasów, wywołane dla anegdotki i zabawy. » — Bawiono się tak prawie do jedenastéj. W tém Nestor zawołał że świece gasną. W istocie już się łojówki kończyły. — Gospodarze pobiegli do szafki po nowe, lecz całe grono tymczasem powstało; niektórym daleko było wracać do domu. Pokręciwszy się po izbie za kapeluszami i płaszczami, które to na łóżkach, to na kiążkach spoczywały, hurmem wszyscy wyszli na poddasze, poprzedzani świeczką jednego z gospodarzów. Drugi w arriergardzie popostępował także z lichtarzem w ręku. — Przeszedłszy schody i schodki, galeryje i ciasny korytarz na samym dole, ujrzeli się wreszcie wszyscy na ulicy. Niebo było pogodne, ale wysokie, czarne, wąskie, jakby trzęsące się od starości domy téj długiéj, ciasnéj ulicy, wstęgę tylko niebieską, ponatykaną gwiazdami, pozwoliły po nad głowami obaczyć.— Księżyc w jednym rogu z za kominów wyglądał; promienie jego, ślizgając się po dachach, zaledwie niektóre okna górnych pięter oświecały, do głębi błotnistéj ulicy wcale nie dochodząc. Prócz kilku smutnych kawiarni, wszystkie sklepy pozamykane. Ta część miasta spałaby zupełnie, gdyby nie

krzyki bandy studentów wracających z Szomiery (1), i śpiewających na rozmaite tony rozpustne pieśni, między wybuchami śmiechu i głosów niesfornych obojéj płci. — Mijając tę bandę, rzekł Karol do Bogdana :

— Pięknie się usposabia nowe pokolenie wielkiego narodu, do cywilizowania, jak im się marzy, kuli ziemskiéj.

— To szumowiny, odpowiedział Bogdan. — Na nieszczęście niemało ich! Może niewiele w garnku zostanie, jak to wszystko wykipi. Ale, kochany Karolu, w tych ciasnych, wąskich, wysokich domach, co nam niebo kryją, od dołu aż do poddasza, nie śpią inni studenci i pracują na gwałt, z wiarą o któréj wspominasz, że nie tylko dla Francyi, ale i dla świata pracują. — Znam ja Francyą i Francuzów! — Prawdziwie wielki naród. — Bystro bieży, dla tego bryzga błotem czasami, ale polot jego wzniosły przez wieki.

Grono nasze idąc ulicą pod górę, spotkało naprzeciwko Panteonu gładkiego Henryka wracającego do domu. Bogdan z Karolem zatrzymali się,

(1) *La chaumière*. — Miejsce uciech krzykliwych, uczęszczane szczególnie przez rozpustnych akademików.

reszta zginęła w różnych uliczkach wraz z echem powtarzających się pożegnań.

— Czy z pensyi wracasz? rzekł Karol. — Cóż tam słychać? Wist nie ustaje?

— Oh! zmian niemało od czasu jakeś ją opuścił. Stary legitymista, szlachcic bretoński, umarł przed tygodniem. — Biedak! aż przykro było widzieć tego zacnego starca, który za młodu wszystko był w najszlachetniejszém uniesieniu poświęcił dla dawnéj monarchii francuzkiéj, konającego w tak lichym domu. Bo między nami mówiąc, to bardzo lichy dom, i ty, kochany Karolu, dobrześ zrobił, żeś go porzucił. — Tak sobie... czasem przyjść na obiad i na wista, to jeszcze ujdzie, ale mieszkać tam... mogłoby wyglądać na skandalik, osobliwie dla młodzieńca nabożnego i kochającego się platonicznie.

— Ja się nie pytam ciebie, odpowiedział Karol zarumieniony, co jest u mnie w sercu, ale co się dzieje na pensyi.

— Otóż dla przekonania cię, że ze szczeréj przyjaźni winszuję ci, żeś ten dom opuścił, powiem ci ładną nowinkę. Amerykanin wczoraj wypchnął żonę na ulicę. — Rezolutna Gaskonka narobiwszy

hałasu tak, że wszyscy garbarze z przyległych fabryk(1) zbiegli się, przyjęła wkońcu dobrym targiem, pięć set franków na szpilki przy tym nieco gwałtownym rozwodzie, wsiadła do pierwszego lepszego wózka i puściła się z manatkami w głąb Paryża, szukać zapewne nowego męża. — Nie wiem tylko kochany Karolu, jak ty wytłómaczysz te rozwody kanonicznie, nawet przy pomocy Bogdana, który zapewne całe Trydenckie Koncylium na palcach posiada.

— Kocylium Trydenckiego nie podejmuję się komentować, odrzekł Bogdan; ale jeżeli chcesz to cię katechizmu nauczę, bo mi się widzi, że go nie umiesz, choć rozumujesz przeciw religii.

— A ba! przecież mnie go i w domu i w szkole uczono.

— A jednak go nie umiesz; założę się o ostatnie dwa franki co mam w kieszeni. — Bądź zdrów, a jutro rano czekam na lekcyą katechizmu: — gratis, boś zapewne taki goły jak i ja.

— Bądź zdrów! Bądźcie zdrowi, powtórzyli wzajemnie sobie i rozeszli się. — Henryk jednak zatrzymał się o parę kroków i zawołał:

(*) Pełno garbarni w téj stronie Paryża.

— Karolu! jeszcze jedna nowina. Komendant wyniósł się wczoraj w nocy, tak cicho, że nikt się nie spostrzegł. Za trzy miesiące winien gospodyni.

— Szczęśliwa droga! Tylko że ta biedaczka zbankrutuje, jeśli jéj jeszcze takich kilka figlów spłatają.

— Cóż robić!

Skoro się byli po drugi raz rozstali, Karol rzekł do Bogdana:

— Przykro jest napotykać sceptycyzm w tak młodych ludziach jak Henryk.

— Sceptycyzm? Bajka święta! To maska, kochany Karolu, z którą mu dotąd dobrze między niedołęgami i żakami. — Lecz jeśli Opatrzność pozwoli, że się niezapóźno wydobędzie na szerszy świat niż ten w którym samochcąc dziś ugrzęznął, to z niego może być jeszcze niepospolity człowiek. Sceptyk! U niego tak puls mocno czasem bije i gra w sercu, żebym nie chciał być w jego skórze, bo to... bo to spać spokojnie nie daje.

— A to zkąd! Co za koncept Bogdanie?

— Ha! Ha! roześmiał się Bogdan. Widzisz jaki samolub ze mnie! jaki sybaryta! Zwyczajnie mój bracie formuję się na mnicha.

— Kochany Bogdanie! Tyś jest prawdziwie szczęśliwy człowiek. — Nie wiesz często, za co jeść obiad będziesz.....

— Czasem nie jem go wcale, mój bracie.

— Nikt więcéj nie czuje niedostatków moralnych w ziomkach naszych.....

— I niedostatków moralnych i materyalnych w sobie samym.

— Często widać na twarzy — (boć to szczere źwierciadło u ciebie,) że cierpisz; a jednak w ogóle spokojny i wesoły — często nawet w konceptach i żartach.

— Bo w Bogu nadzieja, że się nad Polską zlituje; że cierpienia któremi nas dzisiaj karze, z wiatrem nie pójdą; bo i owszem wierzę, że w dobroci swojéj zawczasu naszą poprawę rozpoczął, nie zostawił nas jak zatwardziałych grzeszników na zgniliznę industryjną lub bursową, ale raczéj jak marnotrawnego i burzliwego syna biczem nas chłoszcze, póki do rozumu nie przyjdziem. — Tak kochany Karolu, jak człowieka czasem bieda zbytecznie przyciśnie, to podobne myśli i nadzieje na pociechę przychodzą; wtenczas Mości Dobrodzieju..... powiem sobie — « sursum corda! » westchnę

do Boga, otrząsnę się i żwawszym krokiem a z weselszem okiem — daléj naprzód! — Przytem pozbyłem się jednego wielkiego ciężaru. Widzisz mój bracie..... nie chcę więcéj myśleć o sobie — nie troszczę się o jutro. « Każdy dzień ma dość na swojéj biedzie! » — A jeśli Pan Bóg pozwoli, że niektóre planiki, które człowiek w zarozumiałości swojéj wymarzył dla drugich, udadzą się — wtenczas miejsce do śmierci zapewnione. — Kochany Karolu! jak razem w klasztorze osiądziem, to ty będziesz przeorem albo kaznodzieją, a ja będę elementarza małych chłopców uczył. — Najwięcéj katechizmu; czego innego się nie podejmę — karyera będzie zapewniona do śmierci, jeśli ona pierwéj — niż do tego nie przyjdzie, człowieka ze wszystkiemi jego planami — do sieci nie złowi.

Tak rozmawiając doszli do hotelu, gdzie Karol mięszkał i zatrzymali się jeszcze na chwilę przed bramą. — Karol odniechcenia podniosł oczy ku górze i zobaczył światło w oknach swego pokoju. Zdziwił się nie pomału i pożegnawszy Bogdana, wbiegł co żywo do budki portiera.

— Rodak pański przyjechał dopiero co doróżką, i kazał sobie dać pokój obok pańskiego pokoju i

tam rzeczy swoje złożyć; ale chciał na pana czekać w jego pokoju. Dałem mu klucz, boć już taki zwyczaj u panów polaków, żeby się nie żenować.

— W jakim wieku? jak wygląda?

— Już siwy, z czerwoną wstążeczką. Wygląda jakby był ze staréj gwardyi Onego, dodał portier, sam żołnierz Napoleoński.

Karol pędem pobiegł na górę.

———

ROZDZIAŁ VI.

RÓŻNY LOS.

I

Już trzecia po północy wybiła, i wozy ciągnące na liczne targi paryzkie zaczęły w ciężkim i wolnym pochodzie turkotać po bruku, kiedy światło w oknach pułkownika po pierwszy raz zabłysło, tuż obok okien Karola, całą noc jaśniejących. Wkrótce potem wszystkie zciemniały. Długa była rozmowa między nimi jak widać. — Czy teraz spać będą? Po takiéj rozmowie nie łatwo!

Około 9 rano, pułkownik ubrany, w kapeluszu i z laską w ręku jak do wyjścia, uchylił trochę drzwi do pokoju swego siostrzeńca, a widząc że śpi smacznie, (od godziny dopiero był zasnął,) przymknął je ostrożnie, i sam wyszedł na miasto.

Kilka kroków zrobiwszy, zatrzymał się nad Sekwaną, wsiadł do pierwszego omnibusu, przebiegającego w szerz całe prawie miasto, i prowadzącego za Bulwary, aż do rogatek, w bliskości których znajdowała się rafinerya cukru, gdzie dowodził robotnikami nasz Marcin Pomykalski.

Pułkownik przeszedł pieszo rogatkę i zabłocił się należycie nim dostał się do obszernego, z roztwartą na rozszerz bramą — podwórza poprzedzającego fabrykę. — Tam między beczkami, wozami, taczkami, i kupami węgli, drzewa i cegieł przebierając się, ledwie w błocie nie ugrzęznął, nim nareszcie do budynku dobił i dopytał się u robotników zatrudnionych na progu i w korytarzu o ich kommendanta.

Właśnie na drugiem podworzu z tyłu fabryki, pakowano cukier na wozy. Robotnicy pokazali go pułkownikowi przy wozach, przez otwarte drzwi na przeciwnym końcu korytarza dzielącego na dwie połowy cały dom fabryczny; lecz Marcin tyłem stojąc do fabryki, nie mógł widzieć pułkownika, idącego ku niemu przez korytarz.

W bluzie niebieskiéj, z gołą głową, w drewnianych trzewikach, pozwalał sobie różnych niebar-

dzo grzecznych zaklęć, zagrzewając robotników do dźwigania ogromnych mass cukru na wozy. Zniecierpliwiony w końcu, że nie tak szło szybko, jak sobie życzył; wyrzuciwszy jakby palcami z pod wąsów które gwałtownie zakręcił, najstraszniejszą klątwę, porwał sam za ciężką beczkę — ale właśnie w téj chwili trącono go zwolna gałką laski po plecach. Obrócił się nagle — spojrzał — ręce rozkrzyżował — porwał w pół Prokopa i tak ścisnął przytulając gębę i wąsy do piersi pułkownika tuż obok czerwonéj wstążeczki, że pułkownikowi aż dech uwięził — a kiedy go puścił :

— « Puf! stęknął gość przybyły, zdrów jesteś jak widzę! » Marcin zaś stał znowu rozkrzyżowany, ze łzami, i iskrami radośnego uśmiechu w oczach wlepionych w twarz dawnego pana, dowódcy, towarzysza lat młodych i przyjaciela.

Tak serdeczne, ale niestety! krótkie było przywitanie. Obowiązek nie pozwalał porucznikowi opuścić pracy. — Przy wozach tylko rozmówili się naprędce popolsku, i umówili żeby z sobą razem wieczór przepędzić.— Pułkownik wsiadł znowu do omnibusu, zatrzymał się na bulwarach, i piechotą poszedł na ulicę *Caumartin*. — Już było dobrze po

dziesiątéj kiedy zadzwonił do hr. Alexandra. Ten go przyjął z największą uprzejmością i zatrzymał na śniadanie do którego właśnie wąsaty żołnierz służący nakrywał.

Przy śniadaniu i potem — paląc cygara mieli czas swobodnie z sobą pomówić. — Alexander chciał przekonać pułkownika, że mu nie wypada odłączać się i stać na uboczu w emigracyi, i że — jeśli w dzisiejszych okolicznościach nie szablą, to radą i przykładem mógłby służyć krajowi.

— Pułkownik wie dobrze, że do szabli prawie każdy się bierze u nas, kiedy pora po temu się zdarzy; ale że nam zawsze zbywa na tem, bez czego żadna Sprawa, żadne państwo ostać się nie może, bez czego Polska żyć dłużéj nie mogła i ożyć nie potrafi; bez instynktu rządowego, nawyknienia do posłuszeństwa. — A dawne złe, nie skończyło się jeszcze; inną tylko przybrało formę i inne imię. — Lecz w gruncie jest toż samo, wypływa z tego samego usposobienia narodowego. — Nie wiem czy pan znałeś wuja mego — ojca naszego towarzysza na tułactwie — pana Wacława.

— Widziałem go parę razy za młodu; późniéj nigdym go nie spotkał.

— Ale pułkownik wie zapewne, że był jednym z gorliwych promotorów Targowicy? Czy pan myśli, że on kiedykolwiek miał zamiar kraj zdradzać?

— Jestem pewny, że nigdy o bezpośredniéj, wyraźnéj zdradzie nie pomyślał.

— Lecz za jego czasu, żeby być popularnym, trzeba było prawić o złotéj wolności szlacheckiéj, o Brutusach, o Katonach, o republice. Z tegoż samego wewnętrznego powodu, z tejże saméj nieszczęśliwéj chęci podobania się synom przeszłowiecznéj szlachty, równie jak ich ojcowie anarchicznym, trzeba prawić dzisiaj o demokracyi; o Robespierach i Dantonach, a zawsze o Republice. Dlatego też Wacław tak ugrzęznął w demokracyi, jak ojciec jego w *liberum veto*, i przy zdarzonéj okazyi tak nam zawichrzyć może, jak tamten wichrzył na czteroletnim sejmie, i późniéj. — Gwelfy i Gibelliny — dwie partye — dwie chorągwie, które póty stać przeciw sobie będą — póki — albo nie zginą w otchłani wraz z wszelką nadzieją dla Polski, albo póki siła nie ukształci się u nas, siła oparta na przekonaniu i rozumie narodowym, mogąca wziąść na cugle resztę tego ducha anarchicznego szlachty, dziś występującego pod firmą rewolu-

cyjnéj Europy. Ale na to trzeba pracować pułkowniku. — Na konstytucyą 3 Maja dwa pokolenia pracowały! — Szlachta była wtenczas na dobry trop wpadła. — Przekonanie zaczęło wchodzić do duszy, że trzeba żyć rządnie i porządnie; że wolność na prawie i posłuszeństwie prawom i władzy się opiera. — Zaczęło wtenczas rozjaśniać się na horyzoncie rozumu politycznego w Polsce; ale łotrostwo despotów, którzy śmieli brać tytuł królów chrześciańskich, jakby byli władzą wyrosłą z łona narodów niepodległych, nie zaś siłą powstałą z grabieży, kłamstw i krzywoprzysięstwa, utrzymującą się gwałtem rewolucyjnym bo nie znającym żadnego prawa; łotrostwo tych despotów zwróciło znowu umysł szlachty polskiéj na drogę nienawiści przeciw rządom i dla tego tak łatwo chwyta się ona idei anarchicznych płynących od Zachodu ku Polsce. — Nie wiem, czy przy najszczerszéj pracy przyszłe pokolenie do nas należeć będzie; ale obowiązkiem naszym jest pracować, żeby Polska sama jedna anarchiczną pod jakąkolwiek bądź formą — starą czy nową, nie została w chwili, kiedy cała Europa z rewolucyjnego paroxyzmu wydobywać się będzie. Pułkowniku! to może niewdzięczna praca, ale niezawodnie arcypatryotyczna. Przyjemnie zapewne jest, uwielbianym być za życia; ale lepiéj podobno zasługiwać na uwielbienie potomności.

Na podobnych rozmowach zszedł ranek. Przy końcu wizyty, nie zaniedbał pułkownik pomówić o interesie, który go do Paryża ściągnął a o którym Alexander zdawał się zapominać teraz. — Zapytany jednak, powtórzył pułkownikowi dokładniéj i obszerniéj wszystko o czem był w liście pisanym do Sablé nadmienił. — Podług zdania Alexandra nie można było wcale się spodziewać, żeby pani Chuchowska dała córkę Karolowi, — gdyby nawet i córka tego sobie życzyła.

— A ja nie wiem, czy mam temu wierzyć, dodał w końcu Alexander, ale Wacław, który jéj nadskakuje, utrzymuje także że mu ona sprzyja.

Na imię Wacława, pułkownik ścisnął usta. Syn wojewodzica rywalem Karola!

— Jednak trzeba sprobować przynajmniéj, przerwał Prokop sucho.

— Bardzo dobrze, odrzekł wolno Alexander spojrzawszy z zadziwieniem na pułkownika; lecz trzeba, żeby między nami w téj okoliczności, jak

w każdéj innéj było zupełnie na czysto. Otóż jeśli pułkownik myśli, że jabym dla mego kuzyna, chciał zachować pannę Chuchowską i dla tego odradzam ją Karolowi, to się pułkownik myli.

— Anim na chwilę tego nie myślał, zawołał Modliborski porywając się z krzeszła i chwytając żywo za rękę Alexandra: anim na chwilę tego nie myślał; toby nie było godnem ciebie—twego charakteru panie Alexandrze. — Nie!..... to co innego..... wcale co innego..... inna myśl przeszła przez głowę — o któréj..... daruj — nie mogę ci mówić.

— Oh! pułkowniku, nie żądam nic wiedzieć, jeśli mnie zapewniasz, że nie masz podejrzenia o mojéj bezstronności w téj sprawie. I owszem — szczerze ci powiem, że gdyby odemnie zależało, dopomógłbym jak najchętniéj Karolowi, nie myśląc żebym przez to bardzo nieszczęśliwym Wacława miał uczynić. — Między nami mówiąc, mnie się wszystko zdaje, że Wacławowi nie długo odechce się panny Chuchowskiéj. On demokratyzuje, ale..... żenić się z panną Chuchowską? na to..... nie tak łatwo się zdecyduje.

— Z jakich stron jest pani Chuchowska?

— Z ruskich prowincyj. Wacław zna ją oddawna. Imię..... nie bardzo znajome, lecz dziś w Polsce jest wiele rodzin, nie wiele dawniéj znanych, które przez majątek i polor należą do pierwszych klass towarzystwa, i zapewne..... nie ja będę przeciw nim powstawał, jeżeli — mając możność, będą zarazem mieli dość patryotyzmu i serca aby zaważyć w państwie i utrzymać położenie, które im los lub praca dały.

— Panie Alexandrze, będziesz łaskaw prezentować mnie u pani Chuchowskiéj. Trzeba żebym się sam rozpatrzył kiedy się i pan Wacław i Karol chwali.

— To dziwna jednak, bo mi ona nie wygląda na kokietkę, chociaż przyznam się, żem na nią i nie uważał.

— Tem bardziéj trzeba, żebym ją poznał.

— Jutro więc pułkowniku, jeśli chcesz, jestem na twoje usługi o dwunastéj godzinie. — Raniéj trudno iść do nich, a późniéj moglibyśmy ich nie zastać.

— Jutro więc około dwunastéj będę u ciebie kochany panie Alexandrze. To mówiąc podał rękę przyjacielowi i pożegnał.

Nazajutrz koło 9 godziny rano pułkownik wy-

szedł razem z Karolem z domu. — Ranek był mglisty, ale widać było, że słońce przedrze wkrótce promieniami zasłonę, która rzedniała i ustępowała coraz spieszniéj.

Przeszli przez most królewski, przez plac karuzelu, przez ulicę Rohan, i zwrócili się na prawo zagłębić w labiryncie kolumn sławnego pałacu, różnych imion, podług epok i panów do których należał: dziś to jest w roku 1836 zwanego królewskim. Podwórza, ogród, passaże były jeszcze prawie zupełnie puste. — Sklepy pootwierane wprawdzie, ale jeszcze kupczyki kręciły się przed progiem ustawiając i układając towary. Tuzin tylko kawiarni rozrzuconych po wzsystkich rogach i zakrętach tego gmachu, był nieco zaludniony. — Nasi znajomi zatrzymali się przed stosem piętrzących się surdutów, kamizelek, płaszczy, szlafroków z numerami zawieszonemi, oznaczającemi ceny tych różnego rodzaju strojów.

— Muszę się uekwipować, rzekł pułkownik uśmiechając się. Wejdźmy tutaj, wszak to podobno wszystko jedno ten lub inny sklep. Taż sama moda i taż sama cena. Trzeba się tylko umieć targować, a tegom się nie mógł nigdy nauczyć.

— Kiedy to Bóg wie po jakiemu wszystko zrobione?

— O mój Karolu! byle czysto i wygodnie, to już dla mnie dobrze będzie. W tym oto surducie, rzekł pułkownik spoglądając na bielące się nitki staréj sukni swojéj, nie mogę zaprezentować się u pani Chuchowskiéj. Coby na to panna Cecylia powiedziała? dodał uśmiechając się żartobliwie. Nie trzeba przecię żebyś wstydził się za wuja.

— Surdut z dwóma wstążeczkami, niebieską i czerwoną zawsze dobrze wygląda w oczach dobréj polki.

Masz racyą Karolu, odrzekł pułkownik poważnie: i spodziewam się, że panna Cecylia ma gust taki jak myślisz. — Jeśli jéj nie dostaniesz, to przynajmniéj miłe wspomnienie zostanie, że serce najpierwszy raz do szlachetnéj dziewczyny zadrżało— Lecz jednak, mówił daléj, przybrawszy znowu ton żartobliwy, lepiéj że surdut nie będzie na wszystkie strony wytarty. — Przytem, chcę się odziać, nim się pieniądze nie roztoczą, bo w takim razie wypadłoby mi z dziurami chodzić, a do tego chwała Bogu, jeszcze nigdy nie przyszło. — A kto wie?..... może jeszcze i przyjdzie. Wola Bo-

ska!!... — Na plamy tylko nie zgodzę się nigdy. Tych nigdy nie było i nie będzie, mam nadzieję.

— Gdyby Wuj chciał trochę poczekać? mój krawiec za parę dni wszystkoby wykończył.

— Nie! Kochany Karolu, toby na mnie za drogo było, a wizyty do pani Chuchowskiéj nie chcę odkładać na późniéj. Z resztą — mój bracie, jam się nigdy nie stroił, zkądby mi to przyszło na starość? Kiedym był w szkołach, żyd krawiec z Kowala, lub Łęczycy kontusiki przykrawał. W wojsku będąc, więcéj dbałem o konia dobrego niż o świecidła..... Wiesz jakem na wsi w ostatnich czasach chodził? prawiem nigdy nie wylazł z szaréj kapoty — chyba na jaką szczególną uroczystość, a jednak, wierzaj mi kochany Karolu, zawszem uchodził za porządnie ubierającego się człowieka. Wiele zależy od tego, jak kto nosi ubiór na sobie. Często się zdarza, że właśnie ten który bardzo dba o stroje, źle się ubiera, jeśli nie trafnie, co do czasu, miejsca, wieku lub okoliczności. — Patrz Karolu! ten surdut wcale nie źle wygląda, rzekł pułkownik pokazując z daleka jeden ze stu wiszących w oknach sklepu, przed którym się zatrzymali. Wejdźmy tutaj. — Zobaczysz, że jak się w niego wystroję, to

ci jeszcze pannę Cecylią odmówię. — I w tandetowych sukniach można się pannom podobać!

Karol nie uważał, że te ostatnie słowa, niby wesoło wymówione, rzuciły jakiś cień przelotny na czoło pułkownika; gdyby nawet zmianę w twarzy swego wuja spostrzegł, nie odgadłby był niezawodnie, że to był cień dalekiéj chmury, która nad horyzontem młodości pułkownika wisiała.

Jak szmer najlżejszy budzi echo w miejscu umiejącem na głos odpowiadać; tak najmniejsza — najdrobniejsza okoliczność potrafi często w czułéj duszy obudzić dawne pamiątki. Pułkownik przypomniał sobie w téj chwili przyjemną okoliczność, jak gwiazdka jasna błyszczącą w jego pamięci, między chaosem wydarzeń, dość już długiego życia; przypomniał sobie okoliczność kiedy—wypuszczony z pałacu Wojewodzica, dokąd go był Florek zawiózł, spotkał był za wolskiemi rogatkami szeroką jak arka Noego karetę Starościny, toczącą się zwolna a ciągnioną przez dwie białe, stare, duże, chude klacze! — Piaskowy kontusik i czapka nowa, która z daleka świeciła wsadzona na bakier, kupione były u żydów warszawskich; a jednak Prokop był pewny, mijając konno z towa-

rzyszami niespodzianie napotkaną karetę, że się ładnym wydał w oczach Starościanki. — «I w tandetowych sukniach, można się pannom podobać, rzekł pułkownik do Karola, a Karol nie wiedział że ta sentencya trywialna była w téj chwili wyrazem dawnych, gorących uczuć. — Tak czasem przechodzień nie zatrzyma oka na jakim portreciku wystawionym przez kupca na widok publiczny, którego kolory pod gorącemi łzami spłowiały! — Karol wziął te kilka wyrazów za małoważną sentencyą starego żołnierza, pod kształtem żartu podaną, równie jak chwilę wprzódy myślał, że wuj tylko Cecylią i jego miał na celu, gdy mówił iż słodko jest wspomnieć w późniejszym wieku, że pierwsze zadrżenie serca szlachetnéj dziewczynie poświęconem było. Cecylii pułkownik nie znał jeszcze: szlachetna dziewczyna pod Tekluni postacią stanęła Prokopowi w oczach. — Dzisiejsze położenie siostrzeńca, a szczególniéj wiadomość o zalotach Wacława do panny Chuchowskiéj, zupełnie pamięć pułkownika do dawnych czasów zwróciły. — Za obrazem Karola, Wacława i nieznajoméj mu Cecylii, widział on siebie Wojewodzica i Teklunię — a myśl jego wśród jakichś nieokreślo-

nych, niewyraźnych, melancholijnych wspomnień, przeczuć i nadziei, dziwnym mieszających się sposobem, pływała.

Nareszcie weszli do sklepu. Młody kupczyk, żwawy i wygadany, zaprowadził ich do tylnego pokoju, i jeden po drugim pokazywał surduty. — Pierwszy był bronzowy, ceglasto-czerwonawy. Pułkownik natychmiast go odrzucił, mówiąc że to aptekarski kolor. — Nad czarnym nieco się zastanowił, lecz mimo zachęty Karola odłożył go na bok. Zdawał mu się za drogi. « Ośmdziesiąt franków! rzekł : to nie na moją kieszeń. — Przytem czarne sukno nietrwałe, jak koń kary : nie mogę. » — Nareszcie zdecydował się na ciemno granatowy. Wkrótce dobrał sobie także szare spodnie, dobrze wyciągnięte, na strzemiączkach ale od góry szerokie i wygodne. — Kamizelki nie kupił. Napróżno Karol pokazywał mu nitki wytarte na fałdach staréj którą nosił. — « Nic to nie szkodzi, odpowiadał mu pułkownik. Wytrzyma ona jeszcze przez tę zimę. Kto ją zobaczy? Zawsze zapięty chodzę, jak w mundurze. — Nie trzeba zbytkować! i tak przy swojem zdaniu pozostał.

Zrobiwszy sprawunek, poprawił czarną chustkę

na szyi, podciągnął dobrze szelek, zapiął surdut aż pod brodę, przyczepił dwie wstążeczki do guzika na piersiach, i przejrzawszy się w zwierciadle, rzekł obracając się z uśmiechem do Karola :

« A co panie siostrzeńcze ! jak na przegląd przed księcia Józefa, nie prawda ? Już się był dawno człowiek tak nie wysadził ! Aż pusto w kieszeni się zrobi. I to wszystko dla twojéj panny Chuchowskiéj ! — Sto franków panie ! To summa na dzisiejsze czasy. Sześćdziesiąt pięć za surdut a trzydzieści pięć za szarawary ! Nie żarty panie ! » — Po wyliczeniu więc tych stu franków i zaleceniu żeby stare suknie odesłano do hotelu na ulicę de Baune, wyszli obydwa ze sklepu; a że w Palais-Royal wszystkiego dostać, bo wszystko się tam znajduje, od dwóch teatrów na dwóch rogach tego *pałacu-miasta*, i najpyszniejszych restauracyj, sklepów, kawiarni, sal gry, lub czytania; aż do budek gdzie bóty czyszczą lub sprzedają za parę groszy, resztki spadające z talerzów ; przeto nasi panowie, nie długo szukali, gdzieby zjeść razem śniadanie.

Weszli do jednéj z licznych kawiarni pałacu. — Wielkie zwierciadła zdobiące ją na około, posłużyły dziś pułkownikowi. — Niby niechcący stary

żołnierz obejrzał się raz jeszcze od stóp do głowy i znowu był kontent z lustracyi.

Dziś on ugoszczał siostrzeńca. Zjedli po befsztyku dość smacznym, i napili się kawy, rozmawiając tym czasem o potocznych rzeczach; żaden bowiem nie miał ochoty mówić o tem, co najwięcéj w téj chwili obydwóch zajmowało : — to jest o wizycie u pani Chuchowskiéj. — Obydwa z niespokojnością czekali dwunastéj godziny : Karól, bo czuł że chwila stanowcza się zbliża ; pułkownik, bo mimo postanowienia, żeby dotrzeć o ile można interesu, nie wiele jednak tuszył sobie na przyszłość.

Nareszcie przejrzawszy już wszystkie prawie dzienniki, i widząc na zegarze wiszącym nade drzwiami kawiarni, że nie zadługo w pół do dwunastéj uderzy, pułkownik wziął za kapelusz i rzekł do siostrzeńca : « Na mnie już czas, kochany Karolu. Idźmy razem aż na bulwary. Tam się rozstaniemy. Ja pójdę do pana Alexandra, a ty do Pomykalskiego. Po wizycie wpadnę do was.

Karol zastał szanownego porucznika w swojéj izdebce. Robotnicy niezadługo mieli już usłyszyć dzwon zapowiadający godzinę obiadową, a ich komendant pobiegł tymczasem do siebie, żeby zoba-

czyć co się z garnkiem dzieje, w którym stara baba jeść mu warzyła.

Wiedział on, że to ważna godzina dla jego przyjaciół, bo w wigiliją tego dnia cały wieczór z pułkownikiem spędził i otwarcie o Karolu rozmawiał. Jego zdaniem pułkownik za młodu nie umiał się był wziąść do Starościanki; na jego miejscu — on — Pomykalski, byłby niezawodnie ją wykradł; gdy tym czasem pułkownik poświęcił ją dla jakichś wymarzonych delikatności Wojewodzicowi, i sam na starego wykierował się kawalera. — Myślał więc, że pułkownik nauczony własnem doświadczeniem, robić będzie wszystko co tylko w jego może być mocy, ażeby Cecylią Wacławowi zdmuchnąć. I chociaż o dawnych czasach Marcin nie śmiał był pułkownikowi ani wspomnieć, bo to od wielu lat zakazanem surowo mu było; jednak na wczorajszym wieczorze, przez dalekie alluzyje podburzał w nim uczucie, do którego stary żołnierz nie przyznawał się — nawet sam sobie, ale które (bo taka jest słabość ludzka,) leżało na dnie serca; uczucie szukania jakiegoś odwetu na synie Wojewodzica. — Marcin to pomiarkował i zadowolniony rozstał się był z pułkownikiem.

Kiedy więc Karól wszedł nazajutrz z zachmurzonem czołem do izdebki, do którój między ulicami rozmaitéj formy naczyń napełnionych cukrem, przedzierać się musiał; porucznik zawsze wierzący w swoją i swoich przyjaciół dobrą gwiazdę, chociaż ona już tyle razy blado im i jemu świeciła, przywitał go z najlępszą miną, i zaczął dodawać mu serca, paląc jeden z drugiego rodzące się jak na rozkaz argumenta. Karol przyzwyczajony do nich, słuchał ich z roztargnieniem; aż nareszcie przerywając nagle ten łańcuch pociech i dowodzeń, zapytał ex abrupto starego żołnierza:

— Kochany poruczniku! Parę razy już w tych ostatnich czasach, chciałem się ciebie zapytać, co to była za historya, o którój dzieckiem będąc przypadkiem słyszałem, ale o którój nie bardzo w domu gadać chciano. Musisz ją dobrze znać, jak wszystko co dotycze dziada mego, ojca mojéj matki.

— Wszystkiegoć nie znam, bo panie Karolu! na wołowéj skórze nie spisać wszelkich dobrych i..... panie świeć mu na duszy, wszystkich..... niebardzo osobliwych historyj dziada pańskiego. Szczególnie z tych, co za czasów ojca mego, a nie

za moich się wydarzyły. Aleć wiele wiem.... wiele wiem! Może będę mógł pana Karola objaśnić.

— Dziad mój zabił był w pojedynku...

— Nie jednego! nie jednego, Panie świeć mu na duszy!

— Lecz to był sąsiad jego.

— Berniński zapewne..... Berniński! Oho! panie — znałem go dobrze! *Faktotum* pana Wojewodzica, ojca hrabiego Wacława. Jakto? to pan Karól nic o nim nie wie?

— I owszem: wiem że zginął w pojedynku. Ale ani ojciec mój, ani matka nie umiała mi dobrze téj całéj historyi opowiedziéć a ja tyle innych o dziadku moim słyszałem, żem się o tę bardzo i nie dopytywał. W szkołach tylko, jeden z kolegów moich, chcąc mi dokuczyć, rozpowiadał, że słyszał od rodziców swoich, iż dziad mój Piwo, raz już był wisiał, tylko że go naczas oderżnięto od gałęzi. — Otośmy się poczubili — i na tem skończyło się w szkole; ale ciekawość moja była obudzona i za powrotem do domu wypytywałem się na nowo o pojedynku z tym sąsiadem Bernińskim, bo jego imię grało rolę w téj historyi powieszenia; lecz rodzice zbyli mnie — już nie wiem teraz, jaką od-

powiedzią. Czybyś mnie nie mógł poruczniku dziś co do tego objaśnić?

— Hem..... panie Karolu!..... Wiemci dobrze całą rzecz, bo..... Bogiem a prawdą..... byłem przytomny prawie wszystkiemu; ale że rodzice pańscy i pułkownik nie chcieli żeby o tem gadono — tom też i milczał. Przytem, jakto paniczowi bez potrzeby opowiadać było o takim..... o takim nieszczęściu.

Tą razą jednak Pomykalski, obwijając nieco w bawełnę, opowiedział wnukowi przykry wypadek dziada. — Karol wyraźnie mieszał się słuchając, aż nareszcie przerwał nagle opowiadanie i zapytał:

— A co się z dziećmi Bernińskiego stało? nigdym o nich w okolicy nie słyszał.

— O panie! Syn się wyniósł z Wojewodzicem, i podobno dobrze mu się wiodło, jakto często nicponiom się zdarza; ale że daleko osiadł, to też i nie słychać o nim było w Łęczyckiem. — O siostrach jego nigdym nie myślał, bo szpetne. Zapewne pociągnęły na Ruś za bratem.

— To syn Bernińskiego na Rusi osiadł?

— Na Rusi jakem słyszał. Wielki łotr! Ale zkąd

panu przyszło dziś pytać się o to? Ehe! ba i ba! co panu jest?..... panie Karolu!

— Nic..... nic.....

— Aleś pan zbladł?

— Doprawdy?..... to przejdzie..... daj mi trochę wody poruczniku..... Myślę..... że w téj chwili wuj mój już musi być u pani Chuchowskiéj.

— Ach!.... to to dręczy! Tak właśnie..... jak to było z panem Prokopem, kiedyśmy z pod Utraty wracali, gdzieśmy we dwóch odprowadzali pannę Starościankę. Myślałem że już nam pryśnie z regimentu, tak się chciało za nią pociągnąć na Kujawy; ale pan Kasztelan wyperswadował. Bo i cóż było robić?... już była klamka zapadła... z Wojewodzicem. Ale w Bogu nadzieja panie Karolu! nam lepiéj pójdzie — zdmuchniem pannę jego synkowi! O panie! wet za wet! Na nas teraz koléj.

Tymczasem kiedy Marcin pocieszał Karola, to słowem, to fajką, którą mu tureckim tytuniem nałożył, to szklanką wina zamiast wody daremnie postawioną na stole; w chwili kiedy pułkownik szedł z Alexandrem na ulicę d'Anjou St. Honoré, zobaczymy co się dzieje w domu pani Chuchowskiéj, którą już oddawna nie mieliśmy przyjemności się zajmować.

II

Trzy okna ku południowi obrócone świeciły wesoło, bo słońce już rozpędziło zupełnie mgły tego rana nad Paryżem wiszące. — Na kominku tlił się ogień, żółtą, błyszczącą ogrodzony kratą.— Obok — w poprzek do komina, stało parę miękkich kanapek i kilka nizkich, szerokich z poręczami krzeseł. Przed kanapkami leżały małe futrzane dywaniki, rozciągnięte na ciężkim, pięknym dywanie, już i tak cały salon pokrywającym. — Po stolikach bogato oprawne książki angielskie, włoskie — nawet i hiszpańskie; mało francuzkich — żadnéj niemieckiéj ni polskiéj. – Przytem — jakieś rysunki, widoki, karykatury, pamiątki. — Na innych znowu meblach, między oknami i po rogach salonu, pełno portrecików, gracików i innych niby gust dowodzących figielków.

O dwunastéj godzinie salon był jeszcze pusty. Drzwi naprzeciwko okien prowadzące do przedpo-

kojów i drugie na prawo zamknięte; na lewo zaś na w pół otwarte i słychać było kiedy niekiedy parę słów wyrzeczonych, to przyjemnym głosem Cecylii, to grubym basem starego, w okularach tuż przy niéj siedzącego metra i uważającego na ładnéj panienki dość mizerny rysunek.

Daléj — za pokojem gdzie odbywała się lekcya, był jeszcze inny pokój. Drzwi do niego także na w pół otwarte: pani Chuchowska bowiem miała bardzo chwalebny zwyczaj, być przytomną przy wszystkich lekcyach córki; tego rana jednak, zostawiwszy drzwi uchylone przeszła do następnego pokoju. Tam — w rannem ubraniu usiadła obok kominka, a naprzeciwko niéj, tyłem do okien żeby od jaskrawych promieni słońca słabe oczy odwrócić, siedział także po drugiéj stronie ognia niemłody już mężczyzna w bogatym szlafroku, szeroko roztworzonym na piersi, na któréj piętrzyły się białe, lecz nieco tabaką popruszone żaboty. — W ręku trzymał złotą tabakierę: noga jedna założona na drugą, a z prawéj kiwającéj się zwolna na wierzchu czerwony pantofel na w pół spadał. Jegomość ten położył się wygodnie w krześle jak długi, i z przymrużonemi oczami, często zażywa-

jąc tabaki, prowadził z rozważnéj flegmy powagą, cichym głosem rozmowę.

Był to ojciec pani Chuchowskiéj wczoraj wieczór, prawie niespodzianie z po nad Dniepru do Paryża przybyły, aby odwiedzić dwie jedynaczki, jak był zwykł mówić — córkę swoją i wnuczkę.— Istotnie każda z nich *jedynaczką* była.

— Nie wiem czy dobrze robisz, kochana Paulinko, że przyjmujesz emigrantów: to może skompromitować.

— Trudno inaczéj. Jak tu nie przyjąć pana Wacława, albo pana Alexandra? A gdzie jedni przychodzą, tam drugich prowadzą.

— Takim sposobem zrobił się z twego salonu, salon emigrancki. A przytem — jak mi to w Wiedniu powracający z Paryża powiadali, muszą cię dręczyć o składki. Mniejsza już o pieniądze, boć pan Bóg człowiekowi szczęścił całe życie i dotąd szczęści; z resztą..... może to nawet i nie źle — pokazać się liberalnym: tylko żeby to za powrotem do kraju nie szkodziło.

— A już tego uniknąć nie podobna, kochany papo. Wszyscy mniéj więcéj dają — chociaż to podatek nielada. Przyjedzie się do Paryża, żeby się

zabawić — pokazać, a tu emigracya ciągnie grosz z kieszeni. Jeszcze mniéj biedy z tymi co do drzwi żebrać przychodzą i nawet grożą czasem, boć lokaje ich nie puszczą do salonu, a w najgorszym razie byle czém zbyć ich można. Choćby się skarżyli, to cały świat wie że to hałastra — najczęściéj pijaki. — Ale składki po salonach wybierane — to bieda! bo to i strach dać, i wstyd mało dać.

— Dlatego też nie miałem ochoty przyjeżdżać do Paryża. Tylko żeś się aseńdźka tu zasiedziała, a ja nie mogłem się już dłużéj obejść bez was.

— Kochany Papa! rzekła pani Chuchowska, całując ojca w rękę. Trudno mieć więcéj serca. My nigdy nie zasłużyłyśmy na to, ani ja, ani Cesia, chociaż Bóg widzi, Cesia doskonałe dziecko. Wszystkim się podoba.

— Moja Paulinko! ty zawsze byłaś dla mnie prawdziwą pociechą — a Cesia do ciebie podobna.

— Papa da się namówić, żeby resztę zimy z nami przepędzić w Paryżu — nie prawdaż kochany papo? — W drugiéj połowie postu, — pojedziemy do Rzymu razem.

— A cóż mam robić kiedy się aseńdźce tak zachciało. — Z resztą idzie tu o parę tygodni: nie-

długo przejdą! — Tylko ci emigranci mnie niepokoją.

— Ach! przyzwyczai się papa do nich. Przytem — nie ma potrzeby do nich chodzić. Chyba raz albo dwa do księcia Adama.

— Broń Chryste panie! Właśnie tego nigdy nie zrobię. To kompromituje i przed rządem i przed patryotami. Ja całe życie moje..... wprawdzie byłem ostrożny, alem należał do patryotów..... do liberalnych!

— Papo!

— Tak moja kochana Paulinko! od dziecka zawsze z patryotami się łączyłem, a książe wcale niepopularny.

— No — to jeśli papa u księcia nie będzie, to już nie ma do kogo chodzić. Z téj więc strony głowa spokojna. — A ręczę papę, że ci, co u mnie bywają, muszą się podobać papie. Kilku dystingwowanych ludzi, jak naprzykład, pan Wacław i pan Alexander, jenerał Kniaziewicz, kilku innych zasłużonych wojskowych, kilku posłów — dwóch lub trzech młodych chłopców co się *odznaczają*.

— Żeby tylko do Cesi słodkich oczów nie robili.

— A w tem to trochę biedy. Lecz ona taka niewinna! Dotąd nie ma żadnego niebezpieczeństwa, a za kilka tygodni wyjeżdżamy z Paryża.

— Jednak, ja widzę że bardzo emigrantami zajęta. Ciągle o nich i wczoraj na samym wstępie, i dziś już rano mi gadała.

— Patryotyzm i nic więcéj! bo trzeba papie wiedzieć, że bardzo spatryociała; ale papa zapewne uważał, mówiła śmiejąc się pani Chuchowska, że przede wszystkiemi kocha się w Niemcewiczu i Kniaziewiczu.

— Tem lepiéj! — to jéj wolno! odpowiedział śmiejąc się także ojciec pani Chuchowskiéj; dla niéj nie ma niebezpieczeństwa, a ludzie widzą że nasz dom prawdziwie patryotyczny, kiedy Cesia taka entuziastka. To wcale nie źle.

Tu pani Chuchowska znowu jakimś dziwnym sposobem spojrzała na tatusia.

— A z młodych kto jéj się podoba? Nie ma jakiéj preferencyi?

— Wyraźnéj nie ma: ten który na placu i który z największym rozprawia zapałem. — Naprzyklad hr. Wacław czasami.

— Ale on — spodziewam się — o niéj nie myśli.

— Hem..... kto wie?

— Doprawdy?..... tegobym sobie wcale nie życzył!

— Prawda że emigrant. — Jednak..... gdyby dostał amnestyą?

— Amnestyi nie dostanie. A przytem — gdyby ją nawet otrzymał?! Ojciec na w pół był zrujnowany, kiedy umierał.

— Lecz taka ogromna fortuna!

— Ogromna! ogromna! była ale nie jest. — Nierząd ojca, sekwestr, dożywocie matki, posag siostry..... w końcu przyjdzie konfiskata... nie... mówię ci Paulinko, tego sobie nie życzę, wcale nie życzę! Cesia po mojéj śmierci będzie miała daleko więcéj niż pan Wacław, i dostanie w kraju męża z równym jak on imieniem, bogatszego, a przede wszytkiem — nie emigranta. To ambaras — tego..... nie chcę.

— Ja też o tem wcale nie myślę. Papa zapytał się, czy który z młodszych emigrantów nie jest trochę Cesią zajęty, i dla tego wspomniałam pana Wacława. Zresztą, już mówiłam papie, że dla niéj

to wszystko jedno — wcale jéj dotąd mąż nie w głowie, a za kilka tygodni będziemy w Rzymie. Inny świat — inne zajęcia. Wszystko znowu wejdzie w dawne karby, i ona o emigrantach zapomni.

Jak widzimy, ani słowa nie powiedziano, może nawet nie pomyślano w czasie rozmowy o Karolu.

Tymczasem dzwonek odezwał się u drzwi przedpokoju — dwóch lokajów francuzów wyskoczyło.

— Czy można widzieć panią Chuchowską? zapytał Alexander.

— Nie wiem, panie, bo wczoraj wieczorem ojciec pani hrabiny przyjechał, i dziś cały ranek pani hrabina jest w jego gabinecie.

— To trzeba będzie na inny dzień odłożyć wizytę, rzekł po polsku pułkownik.

— Co znowu? Może się pani Chuchowska raczy pofatygować; ja przyznam się, nie mam czasu, żebym zbyt często do niéj chodził. Spytaj się, rzekł znowu do lokaja Alexander, czy pani może mnie przyjąć wraz z jednym z moich przyjaciół.

Lokaj wiedząc, że Alexader należał do tych znajomych, których pani Chuchowska chętnie zawsze przyjmowała, wpuścił go do salonu; sam zaś, stąpając na palcach zastukał do drzwi na lewo i wszedł do pokoju, gdzie Cecylia znajdowała się z metrem rysunków. — Młoda panienka usłyszawszy nazwisko hrabiego Alexandra, zerwała się jak kuropatewka, i pobiegła co prędzéj do matki:

— Nie ubrana jestem — nie mogę go dzisiaj przyjąć.

— Ach mamo! Kiedy już jest w Salonie.

— Po cóż go wpuszczono niezapytawszy się: mówiłam że Franciszek nie zna służby. Otóż nowy dowód.

— Któż jest ten pan drugi, co z nim przyszedł, zapytał dziadunio.

— Nie wiem: zapewne pan Alexander chce go prezentować.

— Tak cię nachodzą Paulinko!

— Ależ pan Alexander prezentuje tylko ludzi porządnych.

— Emigrantów zawsze!

— Przepraszam: — i z kraju przybyli proszą go żeby ich po salonach prezentował, bo on w całym Paryżu dobrze jest przyjęty i poszukiwany.

— Cóż teraz robić?

— Może dziadunio go przyjmie, zawołała Cecylia.

— A to zkąd? Nie znam go, i nieubrany jestem.

— Co to szkodzi! Pan Alexander taki dobry! Z resztą — dziaduniowi ujdzie.

— Nie, nie! już kiedy koniecznie chcesz, to czemprędzéj włożę surdut.

Zadzwonił na lokaja — ten mu podał surdut i bóty i w parę minut dziadunio był gotów.

— Trzeba jednak, żeby przynajmniéj Cesia poszła ze mną do salonu, kiedy nie znam żadnego z tych panów.

— Dobrze dziaduniu! Ja tak lubię pana Alexandra! Zobaczy dziadunio jaki to mądry człowiek!

Przechodząc przez pokój gdzie dopiero co odbywała się lekcya, Cecylia spostrzegła że już metra rysunków nie było. Kłaniał się on na wszystkie strony w Salonie, i wymykał czemprędzéj na palcach.

Dziadunio postępował za wnuczką, która prowadząc go za rękę z uciechą jak dziecko, o pół kroku go wyprzedzała.

Skoro weszli do Salonu, Alexander przybliżył

się do Cecylii i obracając się nieco ku jéj dziaduniowi, rzekł:

— Pani będziesz łaskawa mnie zaprezentować: wiem bowiem że mam honor widzieć ojca pani Chuchowskiéj.

W chwili, kiedy Cecylia z wdzięcznym uśmiechem, powtarzała nazwisko hrabiego Alexandra, a jéj dziadunio głowę, z przodu łysą, na skroniach i z tyłu kędzierzawą, pochylił trochę kłaniając się z przybraną godnością; pułkownik wpatrzył się w niego, brwi zmarszczył, i nim Alexander wymówił jego imię, żeby go ze swojéj strony ojcu i córce gospodyni domu zaprezentować, on sam — na w pół z zadziwieniem, na w pół z jakimś mimowolnem oburzeniem zawołał topiąc wzrok w twarzy ojca pani Chuchowskiéj:

— Florek Berniński!!!

Na ten głos drgnął ojciec pani Chuchowskiéj, głowę nagle w tył odrzucił i spojrzał z przerażeniem na pułkownika.

Naprzód poczerwieniał — potem pobladnął; rzadkie siwe i lniane kędziory zaczęły ruszać się na skroniach, bo czaszka już prawie zupełnie ogołocona z włosów była; usta drżące, chciały coś

mówić — lecz nie mogły. — Zdziwionéj, przestraszonéj Cecylii oczy biegały od dziadunia do pułkownika — od pułkownika do Alexandra, niewiedzącego mimo wielkiéj przytomności umysłu i doświadczenia w świecie, co począć w tak niespodzianem i dziwnem zdarzeniu. Nareszcie Cesia straciwszy zupełnie głowę, zwróciła się nagle i z rozciągniętemi ramionami, jak ptak przestraszony w klatce — uderzyła we drzwi i poleciała do matki, a ten łoskot wytrącił z ust Bernińskiemu — bez jego wiedzy — słowo:

— Prokop!!!

Poznali się!

Iskry zgasły jednak w oczach pułkownika, skoro je odwrócił od nieprzyjaciela pierwszych lat jego młodości i głowę spuścił na piersi. — Myśl o losie Karola roztrzygnionym w téj chwili, mocniejsza była od wzgardy dla spanoszonego Florka, którego już od pół wieku prawie nie widział. — Jednak — usłyszawszy imię swoje w jego ustach, podniósł oczy na chwilę — spojrzał jeszcze raz na twarz jego zmienioną, i obróciwszy się zwolna do Alexandra, z zimną krwią, lekko skłaniając głowę, rzekł do niego:

— Przepraszam cię panie Alexandrze, ale musimy wyjść z tego domu: ja nie mogę gadać do tego człowieka.

To mówiąc postąpił parę kroków, ku drzwiom nie uważając już więcéj na Florka, kiedy z jednéj strony wpadła przestraszona pani Chuchowska, a z drugiéj odezwał się głos donośny lokaja: « hrabia Wacław! » i za nim wbiegł nasz panicz z laseczką w ręku, w zielonawych rękawiczkach i utrefiony.

— Eh pan Berniński, co za szczęście niespodziane dla nas wszystkich! Dopiero com się dowiedział, żeś pan przyjechał. Czy pan nie widziałeś mojéj matki? Dzień dobry pani! Czy już wychodzisz Alexandrze? Ale... cóż to jest?..... Czy pani nie słaba? Czy panna Cecylia nie chora?... Nie rozumiem... proszę cię Alexandrze...

— Ja muszę iść z pułkownikiem.

— Ach pułkownik Modliborski! niepoznałem go; dlaczegóż on tak uciekał?

Wacław żadnéj odpowiedzi od Alexandra nie otrzymał na ostatnie zapytanie, i sam też nie długo bawił tego rana u pani hrabiny Chuchowskiéj. Dom był zupełnie w rozterku. Cecylia się nie po-

kazała, tylko przestraszona słuchała za drzwiami, co się dzieje w salonie. — Pani Chuchowska natychmiast wyszła skarżąc się na ból głowy. — Berniński powiedziawszy Wacławowi co wiedział o jego matce i siostrze, pożegnał go także jak mógł najrychléj.

Teraz dopiero narada między panem hrabią Bernińskim, a jego córką! Wnuczkę bowiem, zbyt niewinną, żeby do podobnéj narady należeć miała, śpiesznie mama wyprawiła do swego pokoju.

— Puf! odetchnął nareszcie Florek, nabiegawszy się w swoim gabinecie i zażywszy tabaki.

To było pierwsze brzmienie, które z gardła mu wypadło, mimo zaklęć pani Chuchowskiéj kręcącéj się za nim po pokoju z założonemi rękami i błagającéj o jakiekolwiek bądź objaśnienie.

— Właśnie dla tego człowieka nie chciałem żebyście się z emigrantami wdawały, zaczął nareszcie ojciec : dla niego właśnie ociągałem się z przyjazdem do Paryża. Ale mnie zapewniono że go nie ma w Paryżu, że siedzi gdzieś w kącie — na prowincyi i biedę klepie; a tu..... pierwszy emigrant co mi się na oczy nawinął!..... Co za los!... co za przeklęty los!...

— Ale na Boga! kochany papo, co to za człowiek?

— Co ci z tego przyjdzie, jak ci powiem? Dawna historya! Już wszyscy od tego czasu pomarli : i Wojewodzica nawet *spleen* zabił mimo wygód i uciech; a tego ani kula nie wzięła, ani bieda nie zgniotła! Od Kościuszkowskich czasów po dziś dzień, wszystkie wojny przetrwał! A dowiadywałem się o niego... oh! dowiadywałem się... i bardzo troskliwie!

— Kochany papo! zawołała pani Chuchowska zatrzymując na środku pokoju Florka, który na nowo zaczął biegać : ja muszę wiedzieć co to za człowiek. Jeżeli od niego zależy dobra lub zła sława mojéj rodziny...

— Dobra sława twojéj rodziny!..... Także.... Imość! Czy nie wiesz żem targowiczanin?

— Ach to jeszcze niekoniec świata, kochany papo! Zapewne że szkoda...

— Szkoda? Bez Targowicy chodziłbym może bez bótów jak Modliborski, odpowiedział ze złością Berniński.

— To pułkownik Modliborski? Wuj Karola!

— Co za Karola?

— Mniejsza o to! mniejsza o to!... i owszem!— Ale kochany papo, przecięż są całe rodziny Targowiczanów, a cóż im to szkodzi teraz? Wszakże wiadomo dzisiaj, że nie wszyscy byli zdrajcami i że jedni dla opinii politycznéj przystali do konfederacyi, drudzy byli poprostu oszukani.

— Czy wiesz kto mego ojca, twego dziada zabił?

— Jakiś Piwo — szlachcic Łęczycki.

— Otóż Piwo był wujem — jakby ojcem Modliborskiego.

— Więc my możemy na niego narzekać.

— Ale ja kazałem jego Wuja powiesić.

— Bo zasłużył: — zresztą — oderżnięto go od gałęzi.

— Chciałem i Modliborskiego wieszać...

— Ach! żeby był...

— Ach!

— Spodziewam się, że nie ma z czem się chwalić.

— Ale on patryota — szanowany — pułkownik — z krzyżami, ranami — bliznami... Bóg wie czem...

— I cóż z tego! Nie mamy potrzeby z nim żyć.

A że gadać będzie żeśmy Targowiczanie? to cały świat wie jak o Wacławie.

— Nie wiedzą wszystkiego.

— Jest coś czego dotąd zrozumieć nie mogę.

— Wiesz asendźka teraz, żem ich wieszał.

— Z tem się chwalić nie będzie ręczę papie.

— Będzie rozpowiadał, że Ojciec hrabiego Berińskiego był faktotum u ojca Wojewodzica — że za kolana go chwytał — że z niego... powstał.

— I to zapewne wiedzą — dodają może że go papa zrujnował.

— A widzisz asendźka?

— To nieprzeszkadza panu Wacławowi myśleć o Cesi, a papie unikać tego honoru. Kochany papo, ja sądzę, że najlepiéj na nic nie uważać i nie martwić się niepotrzebnie. — Jak będziemy mieli dom elegancki, jak będziemy dawali dobre obiady i bale, a nie pożałujemy na składki, to nam przebaczą wszystko. Zobaczy papa. Za oczy będą gadać, a w oczy podchlebiać. Taki świat jest i papa zna go dobrze. Nie wiem dlaczego tak dał się dziś nastraszyć.

— Zobaczysz że pan Alexander już więcéj do nas nie przyjdzie.

— Ale Wacław będzie co wieczór.

Podobnemi uwagami córki, a więcéj jeszcze sam zastanowiwszy się dobrze, zaspokoił się nieco Berniński i przyjął filozoficznie nowe, a raczéj stare położenie, chociaż odwyknął był już od dawna od napotykania wzgardy i połykania obelg. — Pani Chuchowska nie mogła uczuć, i nieuczuła istotnie jakie wrażenie zrobiła na jéj ojcu, przytomność Prokopa, świadka całéj podłości jego, okazywanéj za młodu — tak w szkołach między kolegami, jak późniéj; ani nie domyślała się nawet przez co on na dworze Wojewodzica przechodził, lub co późniéj — przybysz do Ukrainy, nieraz na kontraktach kijowskich lub innych zgromadzeniach szlacheckich nasłyszał się i nacierpiał. Z czasem dopiero, kiedy z wioski obszernéj, staremu Bernińskiemu obiecanéj, a danéj w stu tysiącach synowi, przez Wojewodzica, i ze starostwa wyproszonego mu przez tegoż pana u Moskwy, urosły miliony; kiedy jeszcze zdublował majątek przez ożenienie i rząd twardy; wtenczas dopiero — z rosnącą ciągle fortuną, ludzie zaczęli zapominać o dawnem jego położeniu, a do córeczki znalazło się konkurentów nie mało. — Lecz dziś — po tylu latach, przyzwyczajonemu do honorów obywatelskich w kraju, do tytułów wprawdzie nienależnych za granicą, ale przyjmowanych z pewną łatwością i umyślną nieuwagą; dziś niby szanowanemu — wrócić do dawnych obelg i pogardy!

Ta myśl wywołana spotkaniem Prokopa, sprawdzona już w części obejściem się jego w przytomności Alexandra, twardą nader była dla Florka.

Jednak pomyślał sobie: « Paulinka ma racyą. Zbytniem się strwożył. Parę tygodni minie prędko. Z resztą, można przyspieszyć wyjazd, a Prokop nie będzie gonił za mną do Rzymu ani na Ukrainę. W końcu co mi pan Modliborski może zrobić? Ma racyą Paulinka. — Tylko trzeba w tem wszystkiem — trochę rezonu i kwita.! »

Tak zdecydował namyśliwszy się i uspokoiwszy nieco Florek Berniński. Pani Chuchowska zaś, nie czując istotnego położenia ojca, przez nieznajomość wielu rzeczy w życiu jego, myślała jedynie o tém, żeby kilka tygodni ostatnich w Paryżu przepędzić swobodnie, i opuścić świat elegancki nie zostawiając po sobie nieprzyjemnych anegdotek i drwinek. — Nie mając przytém żadnéj idei o charakterze pułkownika, i nie znając całéj wa-

żności zdarzenia; nie wiedząc nawet o słowie pogardy rzuconém w twarz ojcu w przytomności Alexandra dzisiejszego rana; wpadła na myśl prawdziwie nieszczęśliwą załagodzenia téj sprawy. — W tym celu napisała do Alexandra list, w lekkim stylu światowéj damy, nieco tkliwy, nieco dowcipny, mówiąc, że rachuje na jego przyjaźń i zręczność, i prosi, żeby od siebie doradził pułkownikowi, aby — dla jakichciś zastarzałych waśni, nie mieszał spokojności jéj rodziny. Napomykając zarazem o przykrém dzisiejszém położeniu pułkownika w emigracyi, dała uczuć że hojność jéj tém większąby się pokazała, gdyby można usługę oddać nieprzyjacielowi w nieszczęściu.

Niedługo pani Chuchowska czekała na odpowiedź, w godzinę bowiem wąsaty służący Alexandra przyniósł list następny:

Wielmożna Mościa Dobrodziejko!

Znając charakter pułkownika, i dowiedziawszy się od niego dokładnie *o rodzaju stosunków*, jakie były przed dawnemi laty, między nim a ojcem pani, ręczę śmiało, że swoboda pobytu państwa w Paryżu bynajmniéj przez niego mąconą nie

będzie. Na dowód czego przytoczę, że tak dobrze obydwa zrozumieliśmy nasz względem ojca pani towarzyski obowiązek, iż nawet ja nie ośmielę się więcéj domu państwa, równie niezgrabnie jak dzisiejszego rana, nachodzić, ani o nim, w jakikolwiek bądź sposób, odważę się mówić.

Hojność pani zawsze ma pole otwarte do pokazania się; jabym tylko uniżenie prosił, aby pani raczyła zostawić mi przyjemność dopomagania moim osobistym przyjaciołom. Niestety! pułkownik, dając mi wiele dowodów przyjaźni, zapewne odmówiłby mi uporczywie pociechy w przyjęciu odemnie materyalnéj pomocy, gdyby nawet przyciśnięty był mocną potrzebą. Podobny charakter powinien być dla pani rękojmią wszelkiego rodzaju diskrecyi z jego strony.

Uniżony sługa. — Alexander.

Pani Chuchowska zastała list powyższy w domu, wracając około piątéj godziny z córką ze spaceru i wycieczki do sklepów, gdzie sprawuneczków narobiły bez liku, więcéj dla zabawy niż z potrzeby. Rzuciła zarękawek na stół w salonie, i pobiegła przeczytać go do okna, bo już nieco ciemniało w pokojach.

Ciężko zrobiło się biedaczce na sercu. Tyle grzeczności w pogardzie! Wtém wszedł Berniński. Pani Chuchowska miała ochotę list schować, ale stary frant miał jeszcze nie złe oko, choć go często przymrużał.

— List jakiś Paulinko?

— Od pana Alexandra, dziaduniu, zawołała Cecylia, bo dowiedziała się przechodząc przez przedpokój, że to jego służący przyniosł go.

— Oh! oh! od pana Alexandra, wykrzyknął Florek, przybliżając się szybko do córki. Cóż pisze? A widząc że pani Chuchowska miała ochotę list schować; « w takiéj sprawie nie można robić sekretów, rzekł surowo: bez korowodów więc proszę — pokaż mi go zaraz Asendźka! » I nie pytając wyjął go córce z ręki, przeczytał uważnie parę razy, położył na stole i zaczął chodzić po salonie. Pani Chuchowska w kapeluszu utonęła w jedném z głębokich krzeseł, Cecylia poszła do swego pokoju.

Tymczasem zciemniało zupełnie. Lokaj wszedł z zapaloną lampą, pozamykał okiennice, poustawiał niektóre sprzęty. Florek chodził ciągle niemy, zażywając tabakę. — Córka dumała.

Nareszcie służący dał znać do obiadu. Pani Chuchowska wstała, wzięła list ze stołu, i idąc ku drzwiom na prawo prowadzącym do jéj pokoju, żeby zdjąć kapelusz — otarła oczy ukradkiem. Biedaczka, cały czas płakała cicho.

Florek spojrzał na nią, kiwnął głową przymrużając oczy, i rzekł do siebie na wpół głośno: « *sentimenta!* » Potém obrócił się żwawo ku drzwiom na lewo, zatarł kędzierzawe włosy z tyłu głowy, i znowu mruknął do siebie:

« Byle cicho siedział — oto cała rzecz! A bez pana Alexandra obejdzie się. — Minęły czasy kiedym łaski takich panów potrzebował. — Pod Moskalami więcéj równości między szlachtą niż było za Rzeczypospolitéj. — Jeśli nie pan Wojewodzic, to ja miałem racyą przystać do Targowicy. — Dawniéj, *de jure*, szlachcic na zagrodzie, równy był Wojewodzie; a teraz, *de facto*, kto ma pieniądze ten drwi ze świata.

III

W kilka dni potém niespodzianém spotkaniu Prokopa z Florkiem — w niedzielę — druga go-

dzina po południu biła na zegarach paryzkich, kiedy porucznik Pomykalski w brązowym surducie, takiego prawie jak jego wypomadowane długie wąsy koloru, w kapeluszu nieco przetartym ale wygłaskanym starannie, w halsztuchu aksamitnym czarnym *dzielnie* ściskającym szyję, z pod którego wysterkały dwa *tęgo* wykrochmalone końce kołnierzyka ; z potężną lagą w ręku, nieco pochylony, nie wiekiem ani chorobą, ale chwilowym pośpiechem, krzesał podkówkami ogień po bruku nad brzegiem Sekwany, dążąc ku katedrze.

Słońce świeciło pięknie — nawet przygrzewało. Marcin wpadł na plac przed kościołem od strony Nowego-mostu. — W téj chwili otworzyły się drzwi ogromne i kilka tysięcy młodych po największéj części ludzi wysypało się z odwiecznéj Bazyliki, w któréj Ludwik Święty w koronie i włosiennicy pod płaszczem królewskim, zwykł się był przed pół tysiącem lat modlić, nim skończył wielkie panowanie jako wielki święty; dając zarazem światu przykład, iż można być mądrym królem, nieugiętym rycerzem, niecofnąć kroku kiedy obowiązek każe, nawet przed wymagalnością Rzymu, i być policzonym w poczet świętych. — Ludwik IX będzie na wieki kaźnią dla bezbożnego głupstwa, mniemającego że trzeba wyjść z zakonu, żeby przyjść do rozumu; to jest: że aby przejrzeć, trzeba naprzód żeby w oczach światło zgasło. — Siły umysłu i serca tego monarchy, rozwinięte w tylu okolicznościach obok najgorliwszéj pobożności przez ciąg długiego panowania, powinny zawsze zamknąć gębę tym przynajmniéj, u których wyższa intelligencya zostaje po utracie wiary.— Wolter nigdy nie śmiał się dotknąć sławy świętego króla, chociaż nie wiele świętych rzeczy w świecie i w historyi szanował.

Marcin wpadając na plac przed katedrą zatrzymał się na ten widok dość nowy dla niego. — Dwie ogromne wieże kąpiąc w czystém powietrzu czarne, olbrzymie swoje mury, sterczały przed nim jak symbol mocy, a przez otwarte troiste drzwi, z ktόych — jak mrowisko ludzkie płynęły fale młodzieży paryzkiéj, widać było różnofarbne okna świecące mistycznie w głębi i miotające tęczowe promienie od wielkiego ołtarza między las kolumn ciągnących się przez chór i długą, wąską nawę katedry.

Uderzony tym widokiem stanął nagle — oczy rozstworzył — zdziwił się — i uchyliwszy nieco kapelusza, ocierał czoło czerwoną w duże kraty bawełnianą chustką.

« Dajgo Bogu! rzekł nareszcie : tu więcéj luda jak na Święty Prokop u nas. I do tego sama prawie młodzież, a tam więcéj bab niż chłopa. — Francuzom widzę znowu modlić się zachciewa. Czy im się już brewerye sprzykrzyły? U nich zawsze coś nowego! »

Tak mówił Marcin do siebie uderzony solennym widokiem, wyludniającéj się katedry, a zły na Karola który — jak mu się zdawało, wciągnął był pułkownika mimo jego woli na kazanie księdza Lacordaira. — Tymczasem ujrzał zdaleka w tłoku obydwóch, idących razem z Bogdanem ku miejscu na którym — podług umowy rannéj, mieli go spotkać. Przyłączył się do pułkownika i obrócił się wraz z nim w stronę nowego mostu, zostawując o parę kroków z tyłu Karola i jego przyjaciela Bogdana.

Nie wiedział jak zacząć rozmowę, gdyż różne myśli kołatały mu się po głowie, ale bez porządku i ładu. — Nieraz puszczał się on na drwinki prze-

ciw księżom, od czasu jak wyszedł był z pod opieki srogiego swego ojca chrzestnego; w rozmowie jednak na seryo nigdy nie zdarzało mu się dotąd występować przeciw wierze. — Dziś czuł się znacznie niższym w rozumie od swoich towarzyszów, przytem — żenowała go także poważna mina pułkownika. Nie śmiał więc zacząć wręcz z nim o téj materyi rozprawiać, tembardziéj, że od czasu jego przyjazdu do Paryża, z niemałem zadziwieniem zauważał, że dawny jego dowódca do kościoła chodził jak to bywało za młodu.

Z drugiéj strony ten zwrot « *na lewo w tył* » nie bardzo mu był do smaku, bo zdawało mu się, że jeżeli pułkownik zacznie być nabożnym, to i jemu wypadnie prędzéj czy późniéj, jak niegdyś z panem Marcinem Piwo, godzinki i litanie odmawiać, odczego nasz wiarus zupełnie już był odwyknął.

Lecz co go najwięcéj korciło, to przyszłość Karola. « Jeśli pan wuj znabożnieje, mówił sobie w duchu, to już nikt go od księży nie zbawi. — Bogdan czyha na niego jak djabeł na dusze, i pod kaptur go wsadzi. — Wszystko się spiknęło przeciw niemu. — Dulcymea najlepszem bywa lekarstwem przeciw chętce do księżostwa, a tu

kaduk nadał, że panna Chuchowska właśnie z Florkowiczównéj się rodzi. — Jak tu brać żonę z takiego psiego gniazda? — A potem — jużci niech jak chce będzie, stary Berniński zginął z ręki dziada pana Karola, a pan Piwo wisiał z namowy Florka, choć chwała Bogu nie długo. — O pannie Cecylii zatem ani myśleć! Żeby mu jaką inną wynaleść. ?

Kłopocąc głowę podobnemi myślami nasz Marcin, i chcąc rozmowę zacząć, a nie wiedząc jak — na oślep tak zaczął.

— Czy ten ksiądz tam... dobrze prawił?

— Bardzo dobrze, odrzekł pułkownik i uśmiechnął się spojrzawszy z boku na Marcina.

— Teraz to wierzę, kiedy pułkownik tak mówi; bo u pana Karola, to wszystko święte, co tylko ksiądz powie, i dla tego — nie wszystkiemu wierzę co pan Karól chwali.

Pułkownik nic nie odpowiedział. — Po chwili Pomykalski znowu zaczął.

— Biedny pan Karól?

— Zapewne, że biedak cierpi nie mało.

— Czy on też ją prędko zapomni?

— Zapomni?..... nie wiem. To się nie zapomina łatwo.

— Hem!!! mruknął Marcin.

— Ale Karól ma w duszy wielkie źródło pociechy.

— A jakieby to pułkowniku?

— O którem podobno zapomnieliśmy dawno Marcinie, rzekł Prokop spojrzawszy przenikliwie w twarz porucznikowi. — Pomykalski oczy spuścił. — Milcząc szli kilkanaście kroków.

— Dawniéj starzy pędzili młodych do pacierza, a... urwało się Marcinowi.

— A teraz?

— Bo już to pan Karól pułkownika wciąga do księży.

— Karól był także jedném z narzędzi użytych przez łaskę Boską. Marcinie, u mnie tak jak i u ciebie, wierzaj mi, Chrystus zawsze był w sercu; głupstwo tylko zaćmiło było...

— A ba! przerwał zaczerwieniony porucznik, bo mimo całéj miłości i uszanowania dla Prokopa, na chwilę bunt podniósł dzisiaj przeciw niemu.

— Niby to reformaci łęczyccy mędrsi od pułkownika.

— Mędrsi! odpowiedział mu cierpliwie i powolnym głosem Prokop.

Jak konia rozhukanego, kiedy targniesz silnie, a potem wolno puścisz mu cugle, zatrzymasz czasem na miejscu; tak Marcin zwolniał natychmiast po téj łagodnéj odpowiedzi.

— Ale kochany pułkowniku, kiedy to tyle dziwnych rzeczy księża gadają.

— I takich dziwnych — niepojętych — ogromnych, że kiedy ci się oczy trochę otworzą... trochę mówię, ale dość żebyś czasem jeden promyk téj światłości zachwycił, to się przelękniesz przed głębokością do któréj za nim wzrok twój poleci i cofnie olśkniony. — Pamiętasz? jak w dzieciństwie naszem powiadano, że to się niebo otwiera i zamyka nagle, kiedy w nocy błyśnie? — Otóż taka błyskawica ukaże się czasem wierzącym, żeby im pokazać, że jest morze światła, ale zgruntowanie jego — nie nam grzesznym nieukom dane. — Kochany Marcinie! zostaw to zgłębianie wielkim ludziom, z których duch święty wielkich świętych poczynił. Proś tylko Boga, żeby ci wrócił wiarę prostą i szczerą dziecinnego wieku. — Westchnij do Świętego Prokopa, to ci dopomoże.

Marcin milczał, tem bardziéj, że na Nowym-moście o téj godzinie, trudno przejść czasem; cóż dopiero rozprawiać i dotego w takiéj materyi. — Lecz skoro zeszli nad brzeg Sekwany ku przedmieściu właśnie w tem miejscu zazwyczaj dość pustem, Marcin odezwał się, jakby do siebie.

— Jakim sposobem mogło to wszystko przyjść pułkownikowi do głowy?

— Jedna noc, jedna okoliczność, sprowadzona łaską Boską dostateczne są czasem, aby rzucić człowieka pod nogi Chrystusa. — Taką chwilę Bóg mi zdarzył. Powiem ci też, że i Karól zbudował mnie bardzo. Uczuł ból serdeczny na wiadomość o rodzie Cecylii; patrz na niego, jak wygląda dziś jeszcze! Czułem, że serce jego naraz stężało, kiedym mu nieszczęśliwą nowinę powiedział. Zdawało się że skamieniał. — A jednak podniósł się— i rychło! jedynie siłą rezygnacyi chrześciańskiéj.— Ta chwila była dla mnie chwilą — ostatniéj decyzyi.

« Dość na tem dziś Marcinie! » rzekł prędko, jakby na raz chciał uciąć rozmowę pułkownik i zatrzymał się nagle. Było to na rogu ulicy de Saints-Pères.

Dwa powozy biegły kłusem krzyżując się i przecinając drogę przechodzącym. — Lecz ten który z ulicy nad Sekwanę wybiegał, musiał się zatrzymać chwilę, żeby drugiemu dosyć czasu i miejsca do przejechania zostawić.

Pułkownik, jakeśmy widzieli zatrzymał się nagle i porucznik tuż przy nim stanął. — Karól sam dopędzał ich z tyłu, bo Bogdan już go był na rogu Augustyańskiéj ulicy pożegnał. Wszystkich trzech oczy: — naprzód pułkownika, potem i dwóch jego towarzyszów zwróciły się naturalnym sposobem ku siedzącym osobom w powozie zatrzymanym. Pułkownik natychmiast spójrzał obojętnie w inną stronę, Karól zbladł, a Marcin zaklął pod nosem i wąsa zakręcił.

Tymczasem furman zaciął biczem, konie skoczyły z kopyta unosząc pojazd z Panem Bernińskim, jego córką i wnuczką.

Dziadunio rozparty wygodnie, z przymrużonemi oczami nie widział zapewne nikogo; pani Chuchowska zwróciła szybko głowę ku Sekwanie, jakby co szczególnego działo się na rzece lub mostach. — Jedna tylko Cecylia lekkim ukłonem odpowiedziała na ukłon Karola, uśmiechając się melancholijnie. — Było w wyrazie jéj twarzy, coś szczerego i prawdziwego.

— Muszę dziś być u pani B... rzekł Karol kiedy powóz odjechał.

— Chcesz, żebym cię odprowadził aż do jéj domu?

— O nie! — dziękuję, odpowiedział wujowi ściskając mu rękę i uśmiechając się smutnie. Do widzenia o piątéj. Dziś ja panów proszę na obiad. To mówiąc odwrócił się i pobiegł ku ulicy Taranne.

— Sto katów! rzekł Marcin: przyjemnie to być musi tak huczyć po bruku paryzkim. Florek mędrszy od nas!

— Co innego myślisz, a pleciesz byle co Marcinie. Pewnobyś się z nim nie mieniał na żywot, żeby ci dano do wyboru?

— Nie! jakem Marcin Pomykalski! — i zakręcił gwałtownie wąsa.

— To widzisz!

ROZDZIAŁ VII.

PIĘKNA STAROŚĆ.

I

Pani B. wiedziała o nieszczęściu Karola, bo dzisiejsza wizyta jego trzecią już była od czasu spotkania się pułkownika z Bernińskim.

W chwili wielkiego zmartwienia, tak nam zazwyczaj potrzeba pociechy kobiecéj, że na drugi dzień zaraz po wypadku, biedny nasz chłopiec pobiegł do zacnéj swojéj przyjaciołki, i tam dopiero, jak na łonie matki, pierwszą łzę znalazł. Pani B. nie chciała go ani mylną nadzieją, ani filozoficzno-niezgrabnemi sentencyami pocieszać; użaliła się nad nim, zapłakała sama serdecznie, bez rozpraw westchnęła z nim do Opatrzności, i potrafiła takim sposobem naturalnym i prostym, bo z dobrego i przywiązanego serca idącym, uła-

godzić pierwsze uczucie boleści, i zmiękczyć w żal i łzę—suche, twarde, gwałtowne zrazu cierpienie.

Nazajutrz po téj pierwszéj wizycie, Karol blady i chwiejący się, jakby po jakiéj długiéj chorobie, przyszedł znowu podług obietnicy do pani B. — Tego ranka, drzwi były u niéj dla wszystkich, prócz Karola, zamknięte. — Po kilku godzinach spędzonych w jéj domu, i rozmowie do któréj już i sam pan B. wmieszał się nieraz, wyszedł trochę spokojniejszy. Przyjaźń przeprowadziła łagodném staraniem i wpływem swoim przez pierwszy paroxyzm bolu, i dała czas sercu potrzebny do zebrania większych sił na dalszą walkę. — Tegoż dnia cały wieczór przepędził z Bogdanem, a nazajutrz rano już mógł rozmawiać z pułkownikiem o całém wydarzeniu i losie swoim z większą nierównie rezygnacyą, i jakby o rzeczy minionéj, osądzonéj wyrokiem Opatrzności;—często wprawdzie ze łzą w oku jeszcze, ale z postanowieniem przerwania myśli trzymających dotąd w zawieszeniu czynność jego umysłu, i neutralizujących siły jego duszy. — Postanowienie, spodziewamy się, przywiedzie do skutku, ale czy nie będzie jeszcze kilku chwil słabości i pokusy?

Kiedy potrzeci raz Karol zadzwonił do pani B., w kilka minut po spotkaniu powozu Bernińskich, na szczęście nikogo znowu z obcych, nawet z domowych, prócz saméj gospodyni, nie zastał w salonie.

— Spodziewałam się twojéj wizyty, kochany Karolu, bo już parę dni jakeś nie był u nas. — Jakże zdrowie twoje? Trochę spokojniejszy jesteś przecię?

— O już przecie kilka dni temu, to czas zapomnieć! Tylko że..... że będąc w jedném mieście, choć wielkiém..... można się spotkać; a spotkanie.....» Zęby się zacinały, powieka ściskała łzy zatrzymując — nie mógł skończyć, co mówić zaczął.

— Więc ją widziałeś?

— Dopiero co! Jechała z matką, i zapewne z dziadkiem swoim, bo był z niemi jakiś mężczyzna w podeszłym wieku. — Nie miałem czasu zapytać się pułkownika stojącego przy mnie, czy to on?

— Odemnie właśnie wyjechały. Miały wstąpić do ogrodu Luxemburskiego po ojca pani Chuchowskiéj. — Wizyta z pożegnaniem niby.

— To więc wyjeżdża? — zapytał Karol szybko. Pani B. uśmiechnęła się smutnie.

— Jeszcze nie zaraz — za parę tygodni podobno.

— I już z pożegnaniem? to dziwna?

— Pani Chuchowska wié, że cię tu bardzo kochamy. Chciała cię pożegnać przezemnie.

— Chciała mnie spotkać?..... i z Cecylią?

— Biedny Karól! właśnie myślała że cię niespotka, i dlatego wybrała tę godzinę. Wié że chodzisz regularnie na konferencye xiędza Lacordaira.

— Więc cóż?..... jakże?..... nie rozumiem!

— Karolu! tylko spokojnie.... odważnie. Lepiéj odrazu zebrać wszystkie siły, żeby napowrót odzyskać, zdobyć siebie samego, dla siebie i dla drugich. — Ja myślę, że po rozmowach, które już mieliśmy z sobą, mogę rachować na ciebie? — W pierwszych dniach nie odzywałam się do twego rozsądku. Tyleś cierpiał!! Trzeba było więc cierpieć z tobą, nie rozprawiać. Mówić wtenczas do rozsądku, byłoby właśnie nierozsądnie—okrutnie nawet. Ale dziś, daruj kochany Karolu, że w inny sposób pomówię z tobą. Młody jesteś, masz dużo serca i intelligencyi, szkodaby było, żeby ten

nieszczęśliwy wypadek miał ci skrzydła na długo zwichnąć, czas zabijać, ująć energii koniecznie potrzebnéj, aby coś zrobić na świecie.

— Do czego to wszystko prowadzi, łaskawa pani? Cóż wizyta pani Chuchowskiéj nowego odkryła?

— Dla mnie nic nowego, kochany Karolu! mówiłam ci od początku, że Cecylia.

— Że Cecylia?

— Dobra dziewczyna; ale passyi..... namiętności.....

— Więc kokietka? Przed chwilą jeszcze..... tam..... przejeżdżając— takiém okiem dobrém na mnie spojrzała....

— I szczerze zapewne, bo cię lubi.—Myślę żeby cię prawdziwie pokochać mogła, i być jak najlepszą żoną, gdyby to wszystko szło sobie — spokojnym trybem — naturalnie — bez przeszkod — za pomocą i zezwoleniem matki.— To jest dobra— wcale dobra dziewczyna; ja teraz ją znam lepiéj, od czasu jakem zaczęła więcéj na nią, z przyczyny twojéj, uważać. Ale właśnie dla tego, daleka od wszelkich wybuchów namiętności — a tu — w wa-

szém położeniu? — do prawdy — istotnie dramatyczne okoliczności! To zawiele na nią.

— Cóż takiego powiedziała, żeby potwierdzić dawne pani wnioski?

— Kto Cecylia? — Cecylia nic nie mówiła. Cecylia słuchała tylko spokojnie i naiwnie rozmowy o planach i zamiarach matki, odbierających nadzieję połączenia się z Tobą, nawet widywania Ciebie. — Matka zaś naumyślnie przyjechała, żeby mi powtórzyć raz jeszcze, co mi na wieczorze u siebie przed parą miesiącami już mówiła; powtórzyła mi, że nie mogłaby nigdy dać córki Wacławowi dla tego że emigrant; i że dowiedziawszy się przez ojca o rychłem przybyciu do Paryża matki i siostry hrabiego, chce przyspieszyć wyjazd do Rzymu, aby uniknąć nie potrzebnych nieprzyjemności. — « Zawsze jest przykro, są jéj własne słowa: odmawiać i przechodzić przez sceny z zakochanemi, tem bardziéj, jeśli pretendent należy do zacnéj rodziny połączonéj przyjaźnią....

— Jaka przyjaźń!!!

— A mój ojciec, mówiła daléj Pani Chuchowska, był w wielkiéj zażyłości z ojcem Wacława; i chociaż matka hrabiego nie jest z najprzyjemniejszych osób, i dlatego jéj stosunki z moją matką były trochę na zimnéj stopie; jednak.... widywały się czasami. — Ja jeszcze dzieckiem będąc znałam ją. — W każdym razie.... nader przykroby było odmawiać córki jéj synowi, a do tego przyjśćby musiało, jeśli — czego prawie pewna jestem, spieszy do Paryża, żeby o rękę Cecylii dla syna prosić. — » Dała mi więc wyraźnie znowu uczuć, że córki emigrantowi nie da. — A dla czego to zwierzanie się przedemną? ta zbyteczna szczerość! Czy my się tak dawno, tak dobrze znamy? Gdzie dowody mojéj przyjaźni? — Pani Chuchowska takich rzeczy, przeciwnych zwyczajom światowym nie robi bez celu: a cel — żeby mnie i ciebie ostrzedz kochany Karolu.

— Cecylia spodziewam się, téj rozmowy nie słyszała.

— O nie! téj rozmowy nie słyszała. Pani Chuchowska wyszeptała mi to wszystko na ucho, właśnie wtenczas kiedy Cecylia z moją córką oglądały coś zdaleka przy oknie. Ale Cecylia słyszała kiedy matka mówiła że wkrótce wyjeżdża do Włoch, a późniéj zabawiwszy u wód w Austryi — wróci na przyszłą zimę do Rossyi.

— I Cecylia...

— I Cecylia cieszyła się, że Włochy obaczy.

Karol spuścił głowę na piersi. Bani B... wzięła go za rękę. — Po chwili wstał z krzesła ściskając dłoń przyjaciółki, i łzy zatrzymując zawołał:

— Niech się wola Boska dzieje! Widać że mi Opatrzność inne powołanie zgotowała.

— O! stój Karolu! Zbyt prędko! Tak się nie robi! — To nie głos wewnętrzny — bezstronny — pewny. — To głos zmartwienia, który cię może oszukuje.

— Przed kilku dniami, można było tak myśleć; ale dziś już...

— Jeszcze nie, kochany Karolu. Jedno spojrzenie Cecylii tak cię wstrząsnęło! Nie! Kochany Karolu. Jeszcze o powołaniu nie mówmy. Uspokój się pierwéj — a wtenczas z zimną krwią zgłębisz sam siebie i osądzisz.

— Czy ci, których od dziecka chowają do stanu duchownego, mają myśl i sposobność zgłębiać i probować dusze? A jednak, kościół utrzymuje że właśnie z nich ma najlepsze sługi.

— To są żołnierze wyćwiczeni od dziecka, i dla tego walczą dobrze. — Dano im stan, dopełniają więc obowiązków stanu, jak oficer wychodzący ze szkoły wojskowéj. — Ojciec postanowił, że ma być żołnierzem i on bije się, bo to jego rzecz walczyć. Ciekawam, coby mu powiedziano gdyby chciał utrzymywać, że mu wolno z pola bitwy uciekać dla tego, że nie on sam wybrał sobie stan wojskowy, ale że bez jego woli dzieckiem w mundur go ubrano. — Lecz ci którzy sami wybierają stan rycerski w późniejszym wieku, muszą czuć w sobie prawdziwie rycerskie powołanie; inaczéj i życie sobie zepsują i sławę na szwank narażą. Kochany Karolu, na miłość Boską i naszę przyjaźń dla ciebie zaklinam cię, zastanów się dobrze wprzódy, zgłąb swoją duszę, nim się na ten ważny krok odważysz. — Mundur zdjąć można, duchowny zaś charakter na wieki się przyjmuje. — Nie ma wznioślejszego powołania nad duchowne, ale kiedy jest prawdziwem powołaniem. Twoja szlachetna dusza, zawsze ku Bogu się wznosiła, i niedziwiłabym się wcale, żeby służbę w kościele przeniosła nad illuzye tego nędznego świata, w którym dzisiaj żyjemy; lecz jednak — jakkolwiek świat ten nędzny — nie pod wpływem jednak smutku i zwątpienia o jego rozkoszach porzucać go trzeba; bo smutek

się uspokoi, rozkosze, w zwodniczych ale jasnych mogą się znowu ukazać kolorach — i dusza znowu do świata zatęsknić. — Jeszcze taki młody jesteś! Ileż to czasu zostaje, nim wyobraźnia się ukołysze! — Jak choroba ciała, tak smutek samą siłą młodości się zwycięża, w takim jak twój wieku. — Kochany Karolu trzeba naprzód żałobę po zawodzie światowym odbyć, a dopiero ofiarować się Bogu.

W taki sposób zacna przyjaciółka Karola, starała się i pocieszać go, i niszczyć resztę illuzyj, które od razu za szkodliwe osądziła; a zarazem zabezpieczyć go od innego rodzaju illuzyj mogących na jeszcze błędniejszą zaprowadzić go drogę w chwili zmartwienia i smutku. Czuła ona, że taki charakter jak Karola, jeżeli niespotka kobiety zdolnéj odpowiedzieć poetycznym jego uniesieniom, lub jeżeli okoliczności po zawodzie serca, nie otworzą mu pola na którymby gonił za jaką wyższą myślą — skończy nie zawodnie jako żołnierz kościoła; myślała nawet, znając od początku jego nieszczęśliwą miłość, a nie przewidując żadnych ważniejszych na świecie wypadków, że zapewne tą ostatnią puści się drogą. — Lecz ró-

wnie przez przyjaźń jak rozum, chciała, żeby Karól z zimną krwią i wolny od gorączki oszukującéj serce i pojęcie, stan swój obrał. — W tym względzie pokazywała daleko więcéj doświadczenia niż Bogdan, przyjaciel Karola, który, sam będąc pod wpływem gorliwości nowo przyjętych myśli — ciągnął go za sobą zbyt gwałtownie.

II

W takiéj pracy umysłu i serca, oddalony od świata, widując tylko panią B.., pułkownika, Bogdana i Pomykalskiego, Karól przepędził parę tygodni. — Tymczasem dwie ważne zaszły okoliczności dla naszych znajomych. — Berniński, pani Chuchowska i Cecylia opuścili Paryż, a w parę dni potem, pani Stanisławowa z córką swoją Zofią przyjechała.

Czy się zmartwiła, niezastawszy rodziny Bernińskich w Paryżu, o tem przekonamy się zaraz: ale pierwéj parę rysów dodamy jeszcze do opisu osoby jéj syna Wacława, żeby zupełnie portretu dokończyć.

Panicz ten we wszystkiem prawie podobny do Ojca, był wszakże, jakby jego miniaturą tylko. — Próżności pełno — ale na mniejszą skalę. Wygadany i dowcipny, lecz w jakimś lżejszym, drobniejszym rodzaju. Jeżeli tamten chciał rządzić krajem — ten szamotał się około jednego odłamku emigracyi. Ojciec był *panem* lubiącym wytworność i świetność, ten był eleganckim całe życie *paniczem*. Nawet fizycznie ustępował we wszystkiem ojcu, choć podobny. — Stanisław miał piękną, wspaniałą postać, Wacław był ładny i delikatny. — Zdawało się że z majątkiem i znaczeniem wszystko w drugiem pokoleniu zdrobniało.— Jedna tylko w krwi dawnych bohaterów dochowała się bez różnicy odwaga.

Jeżeli posuniemy daléj jeszcze porównanie między ojcem a synem — możnaby sądzić, że Stanisław zdolniejszym był nawet do uczucia prawdziwéj miłości, niż Wacław. Stanisław byłby może pokochał namiętnie Teklunię, gdyby okoliczności niepostawiły dumy, jak na straży przy jego sercu, i nieskaziły już w dniu zaręczyn jego miłości. Wacław zapalił się także do Cecylii, ale jak pan Alexander zgadł dobrze — nie na długo. — Z razu,

miał zamiar jechania za nią do Włoch natychmiast, i napisał do Matki prosząc żeby z Wiednia do Rzymu raczéj niż do Paryża się udała. Lecz że pani Stanisławowa zupełnie inne zamiary miała, niż się zdawało pani Chuchowskiéj; że spieszyła do Paryża, żeby przeszkodzić synowi do ożenienia się z Cecylią, nie zaś żeby prosić o jéj rękę dla niego; przeto, dowiedziawszy się o wyjeździe pani Chuchowskiéj do Rzymu, czemprędzéj sama ruszyła do Paryża, aby Wacława przy sobie zatrzymać, jeśli być może. — Wacław nie mógł, bez obrażenia wszelkiéj przyzwoitości puścić się za Cecylią, nie zobaczywszy się z matką, po kilku latach rozłączenia. Pobiegł więc na przeciwko niéj na granicę Francyi, i tam dręczył ją aby zwróciła się ku Włochom. Lecz kiedy nie udały się namowy, przyjechał z nią do Paryża i na ulicy Rivoli w jednym z najlepszych hotelów umieścił. — Tegoż samego wieczora przybiegł Alexander i przywitał jak najserdeczniéj matkę i córkę, która jak wiemy, była w drugim czy trzecim stopniu jego krewna przez Wojewodzica.

Jakże nam wygląda pani Stanisławowa, owa niegdyś prześliczna Teklunia — ów kwiatek ku-

jawski, dziś — matka dorodnych dzieci — smutna wdowa, po tylu latach zmartwień i zawodów, po zepsutém, zatrutém szczęściu całego żywota?

Ach! czy to piękna dusza nie może się odmalować na twarzy wiekiem i cierpieniem zmienionéj? pokazać się w oku łzami przyćmionem? Z uszanowaniem i uwielbieniem zwykliśmy patrzeć na siwe włosy rycerza, i widzim powagę w zmarszczkach jego czoła, wdzięk w postawie prostującéj się z trudnością pod ciężarem długich lat i znojów. — Dlaczegóżbyśmy nie mieli dostrzedz piękności w rysach naznaczonych macierzyńskim kłopotem, w oku przyzwyczajoném do wyrazu czułości? lub też wdzięku w postawie poważnéj matrony niezgiętéj pod żadném wspomnieniem wstydu?

Pani Stanisławowéj twarz nie świeciła jak dawniéj: ale słodycz rozlana na poważnych, bladych, nieco przezroczystych delikatnéj płci licach, dawała jéj wyraz takiéj dostojnéj uprzejmości, że każde dobre serce z zaufaniem i uszanowaniem przystępowało do niéj. — Włos z całą dawną swoją obfitością trochę posrebrzał, ale brew ciemna, wąska, długim, lekko zakrzywionym łukiem odbijała na bladem czole, nad okiem zawsze pię-

knem, zawsze czystem, choć nieco przyćmionėm. Czasami tylko, kiedy szlachetne serce polki mocniéj uderzyło w doświadczonem tylu zmartwieniami łonie, wtenczas i promień jaśniejszy oko oświecił. — Kibić téj saméj co niegdyś objętości, głowa tylko i szyja nieco pochylone, jakby zwyczajem smutku. — Lata zmieniły piękność — ale jéj nie odjęły.

Biedna Matka! po stracie — musimy powiedzieć — lepszego z synów, czy ma pociechę z córki? O! przynajmniéj tego szczęścia nie odmówiła jéj Opatrzność na tym istotnym dla niéj padole płaczu! — Zofia jest prawdziwą pociechą dla osieroconéj wdowy. — Nie tak wysmukłéj, lekkiéj i liliowéj piękności jak matka, kiedy się po pierwszy raz nam wśród pól kujawskich ukazała; ani tak świetna jak w dojrzalszym wieku pani Stanisławowa, w pałacu warszawskim, lub na zamku ruskim; ale twarz Zofii biała — może trochę za blada, po lepszem wpatrzeniu się — powoli — jakby jeden po drugim odkrywała tyle wdzięków! że każdy dziwił się po dłuższéj znajomości, iż tak obojętnie z początku na nią patrzał. Nietylko co do wyrazu twarzy — nawet co do formy zmieniał się

z czasem sąd o Zofii, bo choć nie było nic uderzającego w jéj rysach, każda jednak część twarzy była tak delikatnéj regularności, że zdawało się iż natura nie pozwoliła sobie żadnéj fantazyi w ukształceniu tego oblicza.

W postaci i ruchach toż samo zachowane prawo. — Niknęła niejako w pełnych i obszernych komnatach; ale wśród nielicznego grona — w domowem zaciszu — w chwili spokojnéj rozmowy — było w każdym jéj geście, uśmiechu, spojrzeniu coś tak naiwnie przyjemnego, skromnego i przyzwoitego zarazem, że bez żadnego starania musiała każde dobre serce przyciągnąć i zobowiązać sobie. — Bo też w duszy jéj było coś tak szczególnie i wyjątkowo błogosławionego, że wolno myśleć było iż Opatrzność naumyślnie zesłała ją nieszczęśliwéj matce, aby serce jéj i umysł mogły przy końcu życia wypocząć w towarzystwie i przywiąniu téj łagodnéj istoty.

Ale osoby takie przeznaczone są, żeby przechodzić wśród ludzi niepoznane, i tylko stworzone są na pociechę rodzin i serc nieszczęściem doświadczonych; nie każdy bowiem pozna się na takiéj duszy — bo nie każdy zdolny uczuć, że przez

prostotę i szczerość serca, można się czasem wznieść do pojęć niedostępnych i niezrozumiałych świetnym nawet intelligencyom.

« Natchnie ci czucie i piękne i tkliwe,
» W nim grunt rozumu, i t. d. »

napisał niezrównanego serca Brodziński, w jednéj Polki pamiętniku, odzywając się niby do jéj pierworodnego dziecka.

Takie dwie Polki przybyły do Paryża w parę dni po wyjeździe Pani Chuchowskiéj, jéj córki i pana Bernińskiego.

Drugiego lub trzeciego dnia ich pobytu, Alexander wspomniał był przypadkiem nazwisko Pułkownika, niewiedząc wcale, że był znajomym jego ciotce. Pani Stanisławowa (są kobiety, które mają przywiléj dziewiczéj niewinności duszy aż do śmierci) zarumieniła się lekko na tę wiadomość — i z radością zawołała :

— Pan Modliborski jest w Paryżu? Ach jakbym chciała go widzieć! To znasz go kochany Alexandrze? Musisz go jak najprędzéj do mnie przyprowadzić.

— Dziś jeszcze kochana Ciociu, niewiedziałem wcale, żeby go Ciocia znała.

— Od czterdziestu lat i więcéj! Młodym chłopcem na Kujawach jeszcze go znałam. Późniéj służył za Kościuszki. Pan Kasztelan Kujawski bardzo go kochał. Ostatni raz widziałam go właśnie w jego domu, kiedy przechodził tamtędy z pułkiem swoim w roku 1806. To jest jeden z ludzi, których najwięcéj szanowałam w życiu mojem.— Z wielką uciechą go zobaczę.

Tegoż dnia wieczorem Pani Stanisławowa siedziała sama przed kominem, głowę nieco nachyliła ku piersiom i zapatrzyła się na ogień, goniąc myślą po dawnych czasach, a zatrzymując ją w polocie na niektórych pamiątkach, wywołanych spodziewaną wizytą Pułkownika. — Zofia tymczasem milcząc przypatrywała się, mierzyła i obracała na wszystkie strony jakąś robótkę rozłożoną na stole stojącym na środku salonu. — Lampa przykryta, wszystkie promienie skupiła na powierzchni stołu, zostawując resztę obszernego pokoju jakby w pomroku. — Wacław który był parę wieczorów z matką i siostrą przepędził, chodził już od kilku minut, wybierając i depcąc pewne a też same zawsze kwiaty, powtarzające się w każdym kwadracie kobierca; zatrudnienie tymczasowe między

końcem rozmowy a pożegnaniem. Miał bowiem ochotę wylecić na Paryż. — Nareszcie obrócił się żwawo w rogu salonu i idąc ku matce :

— Kochana mamo, zawołał, muszę dziś być w kilku miejscach jeszcze, a ósma godzina już dochodzi. — Trzeba żebym się przecię pokazał znajomym, po moim powrocie ze Strasburga.

— Czyby twoje znajomości nie mogły poczekać jeszcze? odrzekła Pani Stanisławowa łagodnie. Alexander zapewnie niedługo nadejdzie. Spodziewam się i pułkownika Modliborskiego. Może byś się nie znudził.

— Zostań z nami jeszcze dzisiaj, dodała uprzejmie Zofia.

— Ach kochana mamo! właśnie mi się niechce zostać z przyczyny tych panów. Z Alexandrem zawsze sprzeczki, a pułkownik nudzi mnie nie pomału. Przytem — partya nie byłaby równa. Pułkownik toż samo prawi co Alexander. To polityczna przyjaźń, mówił daléj Wacław z drwiącą miną. Mama także z Alexandrem trzyma, a Zosia przechyla się już na mocniejszą stronę. Wolę ustąpić z placu zawczasu.

To mówiąc, pocałował Panią Stanisławową

w rękę, siostrę w czoło i wyszedł. Za chwilę otworzył raz jeszcze drzwi do salonu i w płaszczu z kapeluszem w ręku, zawołał stojąc na progu:

— Dobranoc mamo! Dziś się już nie zobaczymy. Byłoby zapóźno.

— Och! ja do dwunastéj nie śpię zazwyczaj.

— Ale ja wątpię, żebym koło dwunastéj był w téj części miasta. Jutro na śniadanie przyjdę. Dobranoc Zosiu — i zniknął.

Wacław nie przeniósł się do matki po jéj przybyciu. Został w dawném swojem mieszkaniu na ulicy de la Paix pod pozorem, że to blizko, jakby pod jednym dachem: w istocie aby niestracić wolności tak mu przyjemnéj wszędzie a szczególniéj w Paryżu. — Na śniadanie i obiad przychodził dotąd do matki; lecz i ten zwyczaj miał ustać wkrótce. Wacław do pierwszéj po południu chciał być zupełnie wolnym i już tylko na obiad, i to nie zawsze, przychodził na ulicę Rivoli.

Tego wieczora wyszedłszy od matki, pobiegł piechotą pod arkadami do swego mieszkania, ubrał się szybko i popędził kabrioletem na drugą stronę Sekwany, pocieszać się między ładnemi legitymistkami w smutku po wyjeździe Cecylii i kló-

cić się z niemi wdzięcznie i z kokieteryą o wielkie principia polityczne i towarzyskie.

Tymczasem zadzwoniono na ulicy Rivoli, i wszedł pułkownik z Alexandrem do salonu.

Pani Stanisławowa porwała się szybko z krzesła, i z rozjaśnioną twarzą i wyciągniętą ręką przybiegła do pułkownika. — Pułkownik serdecznie ucałował jéj rękę, a obojgu łzy stanęły w oczach:

— Najprzyjemniejsze spotkanie dla mnie w Paryżu! A niezupełnie rachowałam na nie: słyszałam w Wiedniu, że pułkownik osiadł na prowincyi i nie często bywa w Paryżu. Oto moja córka Zofia — imię kochanéj Zosi, siostry mego męża. Czy ją pułkownik pamięta? Dałam jéj to imię, żeby mi ciągle przypominała towarzyszkę lat młodych na naszych kochanych Kujawach. O dawne to czasy! Panie Modliborski! Już tak dawno jak moja matka nie żyje — jakem nie była na naszych Kujawach— jakeśmy się nie widzieli pułkowniku.

— Dawno łaskawa pani! wszystkich prawie z któremiśmy żyli wówczas, których kochaliśmy, trzeba już w grobach i w pamięci szukać. Pani Starościna, pan Kasztelan, wuj mój i tylu innych!

— Ale Zosia żyje kochana, zawsze poczciwa — zawsze taka sama — przywiązana do swoich, miłosierna, przyjacielska, nabożna.

— Wiem, wiem łaskawa pani : dopytywałem się o nią nieraz, jak o wszystkich, którzy dobrzy dla mnie byli za młodu, dla których wdzięczność została na zawsze w sercu.

— O! niewątpię pułkowniku, zawołała pani Stanisławowa : przyjaźń oparta na szucunku nie zmienia się — nie ustaje. Na starość prawdziwa to jest pociecha, kiedy się takiego spotka przyjaciela, na którego szacunek zupełnie rachować można. A my już starzy pułkowniku! Dzieckiem prawie byłam, kiedym pierwszy raz pułkownika widziała.

— A ja jeszcze studentem w szkołach.

— I tak ledwie kilka razy w życiu spotkaliśmy się.

— A jednak znamy się dobrze.

— Szacunek zobopólny, pułkowniku! nie pozwolił zapomnieć o sobie. — Zosia także często wspominała z przyjaźnią o pułkowniku. Nie prawdaż Zosiu moja? Wszakże już powiedziałam pułkownikowi, że córce dałam toż samo drogie imię dla mnie?

— Tak łaskawa pani : mnie się nawet zdaje, że panna Zofia przypomina z twarzy ciotkę swoję?

— Trochę — istotnie trochę. Jest coś familijnego, ale z duszy zupełnie do ciotki podobna. Toż samo poczciwe, dobre serce. Mogę się bez wahania pochwalić. Pan Bóg dał mi ją na pociechę — rzekła z uczuciem pani Stanisławowa, a łzy już na dobre pociekły po szanownéj twarzy. — Tak mało pociech miałam w życiu mojem! Lecz..... nie trzeba utyskiwać. Wszak dopiero powiedziałam, że pan Bóg łaskaw. — Nie z jednéj to z drugiéj strony pociesza.

Zofia przybiegła uściskać matkę. Pułkownik patrzał rozrzewniony, rozumiał każde słowo pan Stanisławowéj, a w sercu czuł, że Bóg zdarzył mu tę słodką chwilę w nagrodę za jego szlachetne uczucia w młodości. W istocie — czy to nie jest większe szczęście zachować świeżość serca aż do podeszłego wieku i czuć głęboką przyjaźń i uwielbienie dla osoby ktorą się ukochało za młodu — o któréj się marzyło poetycznie; a po zniknieniu illuzyj i ukołysaniu namiętności, jeśli Bóg nie dał jéj za towarzyszkę życia, znaleść przynajmniéj w niéj wzór cnoty i zacności; niżeli liczyć wiele Bóg wie

jakich wspomnień, którychby się na starość pozbyć chciało z pamięci!

Jeżeli było kiedy małe grono dobrane, to tego dnia u pani Stanisławowéj: wieczór też przeszedł nadzwyczaj przyjemnie. — Może nigdy przyjemniejszego Prokop aui pani Stanisławowa nie znali; a Alexandra męzka i tkliwa dusza, nie mogła być obojętną w ich towarzystwie. — Dla ciotki zawsze miał on najgłębsze uszanowanie, pułkownika poważał, i Zofia, któréj już był od kilku lat nie widział, zdawała mu się dzisiaj, po tęsknotach samotności i wzdychaniach do rodzin i dziewic polskich, daleko powabniejszą niż kiedy ją po raz ostatni pożegnał na Rusi. — I wtenczas już ona była dorodną panną: lecz skromność i te naiwne, jéj właściwe ruchy dziecinne, które tak jak ciotka jéj tego samego imienia, długo bardzo zachowywała — robiły, że wtenczas Alexander na nią nie wiele uważał. Zofia była z tych panien, wzbudzających zazdrość w podstarzałych kokietkach — zawsze na pozor o kilka lat młodsza niż w istocie.

Po pierwszych wynurzeniach i rozrzewnieniu, zaczęła rozmowa płynąć swobodniéj: — Z uczuciem zadowolnienia w sercu, pułkownika umysł ożywił

się, a wpośród potocznego opowiadania, znalazło się nie raz w jego ustach słowo szczęśliwe, malujące dobitnie znakomity charakter starego żołnierza. — Dla pani Stanisławowéj żaden taki wyraz straconym nie był; a Alexander dziwił się, że nie dość dotąd jeszcze znał pułkownika. — Zofia była zupełnie w swoim żywiole. Obok matki, naprzeciwko starego wojskowego, w towarzystwie krewnego, znajomego od dzieciństwa, rozmawiających otwarcie, z uczuciem, bez przesady, bez żadnego popisywania się i gry w słowa; bez tego *niegodziwego podchwytywania* i odpowiedzi *grzeczno-nieuprzejmych*, neutralizujących dowcip najlepszy, bo dowcip skromnych ludzi w towarzystwie, Zofia rozgadała się także, nabrała odwagi i pokazała się prawdziwie ujmującą i pełną wdzięku osobą. — Pułkownikowi bardzo się podobała, a Alexander mimowolnie spoglądał na nią innem okiem jak zazwyczaj — on — na kobiety patrzał.

Już było dobrze po jedenastéj, kiedy obydwa razem opuścili salon. — Pani Stanisławowa prosiła pułkownika, żeby u niéj bywał jak najczęściéj — choćby codziennie.

— Ja tylko parę miesięcy zabawię w Paryżu. Może już nam się nigdy potem nie zdarzy spotkać! — Trzeba więc korzystać z okoliczności. — Wieczorami zawsze będę w domu. — Nie mam w Paryżu znajomości i robić ich nie myślę. — Zosia także nie lubi świata. Jéj najprzyjemniéj w domu czas przechodzi. — Wątpię żeby Wacław potrafił nas często namówić na operę, a gdzieindziéj nie pojedziemy. Zatem pułkowniku, rachujemy na pułkownika, żeby się w rozkosznym nieznudzić Paryżu.

Wychodząc od pani Stanisławowéj, Alexander hciał przynajmniéj do *Louwru* towarzyszyć pułkownikowi. Pułkownik ze zwykłą sobie grzecznością uparł się żeby Alexandra napowrót do ulicy *de la Paix* odprowadzić. Lecz kiedy doszli do placu *Vendôme*, trudno im było się pożegnać, i Alexander cofnął się znowu aż do *Louwru*. — Takim sposobem przepędzili małe pół godzinki chodząc pod arkadami ulic *de Rivoli* i *Castiglione*. — Oczywiście, rozmowa toczyła się o wieczorze spędzonym. Alexander rozszerzał się nad życiem i cnotami ciotki, nad jéj uczuciami polskiemi, nad jéj prawdziwie wyższym umysłem. — Opowiadał

wiele przykrości które znosić musiała z mężem, i wiele zmartwień które miała i ma jeszcze dzisiaj z przyczyny Wacława. — Żałował straty starszego jéj syna a towarzysza swojéj młodości na Rusi i w podróżach. W końcu parę słów dodał pochlebnych dla Zofii, daleko powabniejszéj — przyznał — niż mu się to dawniéj zdawało.

Pułkownik więcéj rozgadany, niż zazwyczaj, mówił ze swojéj strony z uwielbieniem o znakomitéj pani polskiéj i chwalił się żartując, że tylko Kujawy mogły coś tak doskonałego wydać. — Wspominając Kujawy, rzucił tu i ówdzie kilka słów o dawnych czasach, a między innemi opowiedział spotkanie swoje przypadkowe z panią Stanisławową u Kasztelana, kiedy po wielu latach pierwszego oddalenia się z kraju, na czele pułku jazdy w rodzinne strony zawitał. « Oby to po drugiéj emigracyi, dodał pułkownik, można w podobny sposób do Ojczyzny powrócić! Ale dotąd na to się nie zanosi, a człowiek starzeje. » Użalił się także pułkownik nad losem ciotki Alexandra z przyczyny jéj męża, wspomniał o Wacławie i zakończył pochwałą Zofii.

— Mnie się ona bardzo podoba. Ja myślę, panie

Alexandrze, że nie powinieneś kuzynki wypuścić z Paryża.

— O pułkowniku! panny nie bardzo, a rodzice wcale nie życzą sobie emigrantów za mężów. Nawet Berniński i pani Chuchowska drożą się z Cecylią dla Wacława, co do prawdy zdaje się śmieszną i niepojętą rzeczą.

— To co innego, kochany panie Alexandrze. Nie wchodząc we wszystkie inne względy, pan Berniński i pani Chuchowska żadnego poświęcenia pojąć nie mogą, a tembardziéj nie zdolni są szukać szczęścia w poświęceniu. — Z takiego domu polka nie pójdzie za emigranta. Ale pani Stanisławowa wolałaby, ręczę, tobie powierzyć córkę, niż uganiać się za milionami! Zofii także nie potrzeba zapewne ani karet, ani zamków do szczęścia. — Dosyć spojrzeć na osobę, żeby to odgadnąć. — Mnie ona bardzo się podoba. Trzeba pomyśleć o niéj panie Alexandrze.

— Ale pułkowniku — tylko coś za obcesowo o tem decydujemy.

— Bo trzeba wcześnie wzjąść się do rzeczy, i uwinąć. Zobaczysz, że jak z téj okoliczności nie będziesz korzystał, to możesz zostać starym kawa-

lerem jak ja; a z doświadczenia ci mówię, że to smutne życie. Osobliwie dla takich jak ty jesteś.— Takim trzeba żony za młodu, bo świat i swawola ich nie bawią; a na starość dzieci i wnuków, żeby serce zawsze miało co kochać.—Dobranoc ci panie Alexandrze.

— Dobranoc pułkowniku. A Karol co porabia? Zapomniałem spytać się o niego. Czy uspokoił się trochę?

— Znacznie się uspokoił. Od kilku dni szczególnie, widzę wielką w nim zmianę.

— Chwała Bogu. — Trzebaby tylko wcześnie czem go zająć. Co on myśli robić? On jeszcze nie wpadł na trop stosowny do jego usposobienia.

— Kto wie? Ja myślę, że właśnie ta nieszczęśliwa okoliczność na dobre mu wyjdzie.

— To już ma jaki zamiar?

— Nie wiem dobrze, ale — między nami mówiąc — mnie się zdaje, że on księdzem będzie.

— Doprawdy? Więc Pomykalski się nie mylił. Cóż on na to powie! rzekł Alexander śmiejąc się wesoło.

— To już mniejsza o to! Podług mego zdania, stan duchowny właśnie jest dla Karola. Nawet

powinien poświęcić się na missyje. — Jest to poetyczna, wzniosła dusza. — Jemu życie spokojne — zwyczajne — nie wystarczy; zamęczyłby się na bruku paryzkim, gdyby mu przyszło długo na nim pozostać. — On zawsze będzie szukał poświęceń, zawsze delikatność sumienia tworzyć mu będzie obowiązki, o których innyby ani pomyślał. — Na żołnierza nie dość twardéj — chcę powiedzieć zbyt...... zbyt dziewiczéj jest natury. — Obozowe, koszarowe życie, raziłoby zbytecznie jego uczucia moralne. — Przytem — zatrudnienia wojskowe niedosyćby dawały pokarmu dla jego umysłu. Najlepiéj zrobi jeśli księdzem zostanie, i zapewne na tém skończy. Lecz trzeba nam się rozłączyć panie Alexandrze. Już dwunasta zaraz wybije. Teraz więc na dobre pożegnamy się.

— Dobranoc pułkowniku.

— Dobranoc.

Pułkownik puścił się na drugą stronę Sekwany, a Alexander ku Bulwarom.

III

W kilka dni potem pułkownik proszony był na obiad do pani Stanisławowéj, i obiecał przyprowadzić z sobą porucznika Pomykalskiego. Pani Stanisławowa rada była go zobaczyć, i przytem wiedziała, że zaprosiny uszczęśliwią bardzo dawnego pachołka, dziś officera mogącego zasiąść przy stole panny Starościanki.

Istotnie Marcin w głowę zachodził z radości. Przez dwadzieścia cztery godzin myślał o toalecie. Chciał koniecznie fraka dostać; byłby palnął kilkadziesiąt franków i kupił go na tandecie, gdyby pułkownik nie zatrzymał go na czas w zapale, oświadczając że to wcale niepotrzebne — i że on sam także w surducie będzie. Pod tym warunkiem przyjąłem zaproszenie, rzekł do Marcina, i pani Stanisławowa wie dobrze, że nam na co innego, nie na fraki potrzebne pieniądze.

W dzień więc obiadu, (a była to niedziela naumyślnie wybrana z przyczyny zatrudnień poru-

cznika w ciągu tygodnia,) Marcin stawił się o godzinie czwartéj u pułkownika. Surdut bronzowy, trochę za obszerny, ale nowy. Kamizelka niebieska pluszowa. Chustka na szyję i rękawiczki białe. Bóty wyglancowane ale nieco rozklapane. Wąs wypomadowany. Pułkownik rzucił z boku okiem na Marcina i uśmiechnął się nieznacznie.

— Wystroiłeś się Marcinie.

— Na obiad do panny Starościanki. Żeby mnie to miało kosztować miesiąc potu w fabryce — nie żałowałbym.

— Tylko chustka biała na szyi podobno niepotrzebna : — szczególnie przy surducie.

— Nie wielki koszt! Sam ją wypiorę. A potem, broda nie tak prędko drze białe chustki jak materyalne.

— Jeśli to przez oszczędność, to co innego Marcinie.

— Czy pan Karol już gotów, bo to czas — nim zajdziem.

— Pan Karol nie pójdzie z nami.

— Jakto? Nieproszony?

— Pana Karola nie zna pani Stanisławowa. Nie prezentowałem go.

— A to dlaczego?

— Jego trzeba samego z sobą zostawić — to najlepiéj będzie.

— Żeby to samego z sobą! Ale on zawsze z Bogdanem.

— Nie wdawaj się w nie swoje rzeczy Marcinie.

— Tak — ale on go na księdza namówi. Jużci ja nie mam nic przeciw temu, żeby do kościoła chodził, kiedy pułkownik tak sobie życzy. Sam dziś rano byłem na mszy.

— Toś dobrze zrobił, rzekł pułkownik patrząc się na niego uprzejmie.

— Ale czego zaraz księdzem ma zostawać.

— Myśl lepiéj o obiedzie, i niepsuj sobie humoru niepotrzebnie.

To mówiąc pułkownik zamknął biórko w którém coś jeszcze był przerzucał, wziął kapelusz i laskę do ręki i :

— Daléj marsz panie poruczniku, zawołał wesoło.

Niedługo byli za Sekwaną i w ogrodzie Tuleryjskim. W ogrodzie wiatr północny mocniéj powstał, i szeroko roztworzył odpięty surdut Marcina, tak że pluszowa niebieska kamizelka w całéj okazałości

świeciła. « Czemu się nie zapniesz, rzekł pułkownik : to nie po wojskowemu poruczniku, tak sobie dać surdut rozdmuchać. »

Pomykalski zapiął surdut, ale na jeden tylko guzik na brzuchu i pokręciwszy wąsa przybliżył się do Prokopa, uśmiechając się figlarnie. Tak idąc tuż obok niego, znowu wziął się do wąsa, i znowu oczy mu zabłysnęły. — Oczywiście roi mu się coś po głowie i zapewne wkrótce z gęby wyleci. — Odkrząknął wstępując na schody prowadzące z ogrodu naprzeciwko ulicy *Castiglione* i na skręcie, jakby mu ta ewolucya odwagi dodała :

— Dlaczegoby pułkownik nie miał się ożenić, zawołał ni ztąd ni z owąd, z panną Starościanką?

Pułkownik zwrócił się tak nagle na ten wyskok rozumu Marcinowego, że ledwie nogi sobie w kostce nie wykręcił.

— Przecież już dawno temu jak pan Wojewodzic zaczął gryść sałatę od korzonków i panna Starościanka wolna jak dziki gołąbek.

— Halt panie Marcinie! zawołał pułkownik spoglądając surowo. Żebyś mi sobie żadnych żartów w tym względzie nie pozwalał. Jużeśmy za starzy na to. I przypominam zarazem, że pani Stanisławowa nie jest panną Starościanką już od lat czterdziestu — a dla umarłych respekt!

Marcin spuścił nos na kwintę i trochę kwaśny wszedł do salonu pani Stanisławowéj. Lecz przywitanie uprzejme gospodyni domu, wspomnienie o Kujawach — o Kasztelanie — nawet o panu Piwie, dodało ducha porucznikowi, tak że z dobrą i wesołą miną zasiadł przy stole. — Pani Stanisławowa posadziła przy sobie po prawéj stronie pułkownika, po lewéj Alexandra. — Przy Alexandrze usiadła Zofia a przy niéj porucznik. Pułkownika od porucznika przegradzał Wacław. Więcéj nikogo nie było. Że gospodyni zajęta była gościem z prawéj strony, a Zofia kuzynem, przeto Wacław z nudów zaczął podrwiwać z porucznika. Lecz to nie trwało, bo spostrzegłszy się Marcin, niedługo kontentował się odporną walką, ale takich parę wycieczek zrobił do obozu Wacława, że ten zrozumiał iż lepiéj być w zgodzie z sąsiadem.

Przy końcu obiadu rozmowa zaczęła być więcéj ogólną, w któréj — po kilku kieliszkach szampańskiego wina, Marcin coraz więcéj brał udziału. To zaczęło nieco niepokoić pułkownika, i pod pozorem, że go chwali zbytecznie opowiadając jego

czyny wojskowe, chciał Marcinowi milczenie nakazać. — Lecz się to nie udało. Marcin palił swoje pod protekcyą gospodyni domu, wszystkich rozweselił, i wstał od stołu z przekonaniem, że mu dziś jak zawsze na dowcipie nie brakło, i że doskonale potrafi się w świecie znaleść.

Pułkownik śmiał się z innemi: po obiedzie przybliżył się jednak do porucznika, i w uprzejmy sposób prosił go, żeby nie puszczał się jeszcze daléj tą niebezpieczną zbytniéj wesołości drogą, zapewniając go, że już na ostatniéj granicy przyzwoitości stanął.

— Bądź pułkownik spokojny, odpowiedział, pokręciwszy o parę cali pod brodą spuszczony wąs rudy; ja dla panny starościanki całe życie z respektem — nigdy jéj nie uchybię. Pułkownik odszedł zostawując już Marcina jego własnym natchnieniom.

Ale Marcin istotnie nie przebrał miary.— Nawet zrozumiał, że niekoniecznie wypada mu, cały wieczór u pani Stanisławowéj przepędzić. — W pół godziny opuścił salon z dobrą miną i równie kontent z siebie i z całego towarzystwa, jak wszyscy z niego kontenci byli. — Na schodach dogonił go

Wacław, poczęstował cygarem i w najlepszéj rozstali się przyjaźni.

Pułkownik przepędził cały wieczór z Alexandrem u pani Stanisławowéj. Przyjaźń między tymi dwoma zacnymi ludźmi rosła codziennie, a z przyjaźnią zoufanie zobopólne.

— Panie Alexandrze, odezwał się stary wojskowy, kiedy wyszli razem, i znowu zaczęli się odprowadzać pomiędzy arkadami: nieprawdaż, że kuzynka coraz przyjemniejsza? Cieszy mnie to bardzo.

— Podobno tą razą ugrzęznąłem na dobre, pułkowniku, — Długom się bronił, ale Zofii trzeba będzie się poddać. Zofia jest rzadkich zalet osoba.

— Rzadkich zalet, a między innemi — jak powiedziałem, bardzo przyjemna. Winszuję ci panie Alexandrze.

— To za prędko, pułkowniku. Trzeba jeszcze zobaczyć, co Zofia na to wszytko powie?

— Nie odmówi, jestem pewny.

— Decyzya w każdym razie do ciotki mojéj należy.

— Za nią ręczę. Pani Stanisławowa będzie szczęśliwa, jeśli wasze połączenie przyjdzie do skutku.—

Ona wie dobrze, że nie wielu podobnych tobie młodzieńców w Polsce się dzisiaj znajduje. — Nie raz mi to mówiła — może nawet naumyślnie. Gdyby poświęcenia jakiego potrzeba było z jéj strony, niezawodnieby bez wahania i to uczyniła dla szczęścia córki. — Lecz tu poświęceń nie potrzeba. Jedyną rzeczą trochę jéj zrazu przeciwną byłoby może, kraj na długo lub na zawsze opuszczać; lecz mając już Wacława za granicą, łatwiejby się zapewne i z tą pogodziła myślą. — Mogę ci więc powtórzyć kochany panie Alexandrze, wszystko dobrze idzie i z serca ci winszuję. Tylko czasu nie-trać. Lepiéj żeby się to wszystko ułożyło przed wyjazdem pani Stanisławowéj, a wiesz że tą razą nie może długo bawić za granicą z przyczyny interesów majątkowych. Nie tracąc więc czasu oświadz się, wezwawszy Boga na pomoc. To przyjacielska rada! a tymczasem bądź zdrów. Zobaczymy się jutro rano.

— Do widzenia kochany pułkowniku.

— Dobrych snów o Zosi!

— Dobranoc.

IV

Kilka tygodni przeszło szybko. Karól najwięcéj żył przez ten czas z Bogdanem i myślami swemi. — Chodził wprawdzie do państwa B... lecz coraz rzadsze i coraz krótsze były wizyty. — Pułkownika rankami tylko widywał.

Marcin we dnie zatrudniony, wieczorem wpadł często na ulicę *de Baune*, ale zazwyczaj nie mógł z przyjaciołmi się zabawić, bo tak Karol, jak pułkownik wieczorów w domu nie przepędzali.—Najczęściéj zdarzyło się, że nie zastawszy Karola, a widząc pułkownika na wychodném, odprowadził go do mieszkania pani Stanisławowéj, gawędząc po drodze, i wrócił na przedmieście wypocząć po pracy w domu. — Od niejakiego jednak czasu, nie tylko chodził na mszę świętą jak się do tego już był przyznał pułkownikowi, ale zaczął przypominać sobie powoli godzinki i litanie, dawniéj na wsi z panem Piwo odmawiane, i wzdychać wstając i kładąc się do łóżka. — Bywało nawet, że zakląwszy potężnie na robotników, wstrzymał się w pół furyi i za-

mruczał pod nosem, wyraźnie nie kontent z siebie. — Razu jednego, zagabnął pułkownika, pytając się nie śmiało, czy do spowiedzi chodzi.

— Byłem wczoraj właśnie.

— A gdzie tak?

— U Świętego Stefana.

— Aha! ładny kościołek. — Na tem urwał rozmowę. Pułkownik zaś o nic nie pytał w tym względzie Marcina, zostawując go, równie jak Karola myślom własnym. Wiedział bowiem z doświadczenia, że jeśli te raz na dobréj są drodze, to prędzéj i pewniéj do celu doprowadzą, niżeli targane i mięszane w wewnętrznéj pracy przez dyskussye i argumentowania nawracających apostołów bez missyi.

Tymczasem Alexander lgnął coraz bardziéj do Zosi. — Już sobie czasem pozwolił słówko czułe przy czulszem jeszcze spojrzeniu. Zofia oczy spuszczała — rumieniła się — ale nie gniewała się wcale na kuzyna, a matka zdawała się jeszcze być lepszą dla Alexandra niż kiedykolwiek. Nareszcie jednego wieczoru pułkownik przyszedłszy nieco późniéj jak zazwyczaj, zastał panią Stanisławową z okiem zroszonem, ale nie smutną — raczéj za-

dowolnioną a spoglądającą czule na córkę, która siedząc przy stoliku z robótką w ręku, zdawała się więcéj zamyśloną, niż od jakiegoś czasu; w małem bowiem gronie zbierającém się u matki, była zazwyczaj wesołą, rozmowną i zajmującą się uprzejmie gośćmi i domowymi. — Alexander inny się wydawał także, niż poprzednich wieczorów. Wczoraj jeszcze posępny trochę, roztargniony, dziś czoło wypogodził, w ruchach był swobodniejszy, a w mowie przytomniejszy i dowcipniejszy nawet. — Wyraźnie wesołość i zadowolnienie ożywiły umysł jego.

To wszystko spostrzegł pułkownik, wchodząc do salonu pani Stanisławowéj, i ucieszony wewnątrz rzekł do siebie: « Chwała Bogu, Alexander zdecydował się na oświadczenie, a tylko tego trzeba było. »

Nie omylił się pułkownik. Istotnie Alexander zakochany na dobre, widząc, że czas odjazdu ciotki nadchodzi, odważył się nareszcie odezwać w takie słowa do kuzynki, że ta zarumieniwszy się (rzecz niezbędna w podobnéj okoliczności), niemogąc sama znaleźć odpowiedzi, któréjby niedaleko szukać trzeba było, odwołała się do matki. —

Ale wymówka była z taką powiedziana minką i w taki sposób, że Alexander porwał z radością za rękę i z tém większem, że jemu niezwyczajném uniesieniem, serdecznie całował. Gdy się to działo, drzwi się otworzyły i weszła z pobocznego pokoju pani Stanisławowa. A więc nastała natychmiast explikacya, skończona łzami i matki i córki i samego Alexandra. On matce i córce z równym prawie zapałem wdzięczność wynurzał, pani Stanisławowa błogosławiła, a Zofia co chwila kryła przyjemną swoją twarzyczkę w objęciach matki, ściskając z uczuciem rękę Alexandra. — Zgoła była to jedna z tych nader przyjemnych a rzadkich okoliczności w towarzystwie teraźniejszem, gdzie młoda para, pod okiem i baczeniem rodziców serca sobie poświęciwszy, przyznaje się do zobopólnéj miłości, nie skalanéj żadnym samolubnym rachunkiem, i pod tarczą rodzicielskiego błogosławieństwa gotuje się do przyjęcia sakramentu. Okoliczność prostotą, uczuciem i prawdziwą uroczystością tak wyższa od wszelkich oświadczeń, sentimentalności i przysiąg pokątnych, jak obraz naprzykład Maryi Malczewskiego, wyższy od wszystkich heroin dzisiejszych romansów francuzkich.

Najprzyjemniejsze chwile jakie zdarzyć się mogą dla serc poczciwych i zakochanych; chwile oczekiwania, pędzone swobodnie po wyznaniu wzajemnego przywiązania pod okiem szczęśliwéj matki, były dla naszych narzeczonych i zbyt krótkie i zachmurzone częstém wspomnieniem rychłego i długiego rozstania. — W tydzień po tym ważnym dla Alexandra i Zofii na całe życie wieczorze, pani Stanisławowa miała opuścić Paryż, i poświęcić lato na urządzenie interessów majątkowych niezmiernie zaplątanych, tak przez nierząd męża, jak przez grożącą grabież rządu. — Dożywocie tylko które przed samą śmiercią wojewodzic — znając rozsądek żony a przewidując wmieszanie się synów do powstania ówczesnego, testamentem był jéj zapewnił, otworzyło drogę pani Stanisławowéj, przy znanéj przedajności urzędników rossyjskich, do wyrwania części majątku z paszczy moskiewskiéj, i wysłania jéj w kapitałach za granicę. — Lecz jednak ogromne dobra wojewodzica niepodobna było tak obciążyć, żeby po śmierci lub wyniesieniu się pani Stanisławowéj z kraju, dostał się rządowi w puściznie tylko tytuł, jak skóra z węża kiedy ten wysunie się z niéj na wiosnę. —

Trzeba było przeto jechać jeszcze na Ruś, rozpatrzyć się w interessach, wysypać pieniędzy, uratować co można, i dopiero na przyszłą zimę powrócić do Paryża.

Tydzień ten przeszedł smutnie i czuło dla naszych przyjaciół. — Alexander nie tylko już wieczory, ale dnie całe przepędzał z Zofią. Zdarzyło się nieraz że matka zostawiła ich we dwoje w salonie, a sama w pobocznym gabineciku układała papiery lub pisała listy. — Wtenczas rozmowa, przerywana często ściśnieniem ręki, lub miłem spojrzeniem, szła żywo — Alexander dziwił się i cieszył odkrywając w przyszłéj żonie nowe uczucia, podnoszące ją coraz wyżéj w jego oczach. — Pod tą trwożliwą postacią ukryte były skarby nie tylko słodyczy i prostoty, ale poświęcenia, patryotyzmu, siły i wysokich pojęć moralnych. Dobra Zosia stanęła czasem przed nim w poetycznych ogniach, błysnęła okiem dziewicy Orleańskiéj. — Alexander nie tylko cieszył się tem odkryciem, ale nadto czuł rodzaj zadowolnienia, że te skarby nie świeciły ciągle jakby na wystawie publicznéj, ale leżały raczéj w głębi duszy, jako przyszła pociecha i pomoc w trudnych chwilach mężowi, lub jako

dziedzictwo mające przelać się na synów i córy, i być rękojmią zacności przyszłych pokoleń w jego domu. — Tymczasem matka przechodząc czasem przez salon, spojrzała na nich tkliwém okiem, lub zatrzymała się na chwilę i do ich rozmowy, jakby do tkanki drogiéj wmieszała kilka złotych nici.

I Alexander coraz głębiéj wdzierał się w serce Zofii, bo on ze swojéj strony, przy męzkich zaletach dla każdego widocznych, odkrywał coraz więcéj tkliwych uczuć, niezbędnych dla szczęścia kochającéj duszy jego narzeczonéj.

Przez ten tydzień, ich szczere przywiązanie doszło do rzetelnych proporcyj głębokiéj miłości.

Wacław nie był im w niczém na przeszkodzie.— Kiedy nazajutrz po oświadczeniu Alexandra, dowiedział się co się stało, rzekł marszcząc czoło i biegając po salonie: « Wiedziałem że się na tem skończy. Mama z pułkownikiem ogłosili Alexandra za wielkiego człowieka: przez niego tylko patrzą i przez niego widzą. Zosia wyglądała wprawdzie na truśkę, ale główka u niéj dobrze exaltowana: to jeszcze mi ojciec powiadał. — No — ale cóż robić kiedy jéj się tak podobało — i mamie także. Wszakże Zosia powinna już sama wiedzieć,

co czyni. Już nie piętnastoletnie dziecko. Z resztą ja nie mam prawa decydować — a potem..... Alexander jest zacny człowiek, kuzyn nasz, i choć mnie to wszystko jedno — ale podług przesądów... imię takie dobre jak nasze. — Więc dobra partya pod każdym względem. Że emigrant, i że nie ma dziś wielkiego majątku — to któż go ma między nami? Nie odmawiam przeto mego błogosławieństwa, skończył niby wesoło, wewnątrz jednak zły bo nie lubił Alexandra i zazdrościł, że powszechnie więcéj od niego był poważany.

Ostatniego tygodnia wymykał się jeszcze spiesznięj po śniadaniu od matki pod pozorem, że nie chce kochankom przeszkadzać w romansach; istotnie przytomność Alexandra coraz mu była przykrzejszą.

Wszystko więc szło dobrze — spokojnie, między naszymi przyjaciołmi. Jedynie myśl rychłego rozstania zasmucała nie tylko zakochanych, i panią Stanisławową, ale i pułkownika, i nawet poczciwego Marcina. Ten ostatni przychodził zazwyczaj w niedzielę z wizytą; czasem na obiad został, i ile mu czas pozwolił, z gorliwością za kommissami biegał. — Czuli wszyscy, prócz Wacława może,

jaka to próżnia dla nich będzie w Paryżu, po wyjeździe pani Stanisławowéj która dopiero na zimę — i to jeśli się uda — powrócić miała, i powierzyć już wtenczas na całe życie córkę swoją Alexandrowi.

Pułkownik miał znowu wrócić do Sablé, żeby resztka pieniędzy odebranych z Polski przed parą miesiącami, w małem miasteczku dłużéj nieco potrwała. Marcin z westchnieniem myślał o zupełném osieroceniu w swojéj fabryce, bo Karola postanowienie nie było już nikomu tajne. Opuścił wszystkie znajomości, i pułkownikowi się zwierzył, że lada chwila wstąpi do seminaryum.

Nim jednak rozjechano się na wszystkie końce świata, pani Stanisławowa i Zofia miały naradę z Alexandrem o losie pułkownika. — Zdawało im się niepodobną rzeczą, żeby tak znakomitego, a w podeszłym już wieku żołnierza, zostawić wystawionego na wyraźną biedę. Z drugiéj strony wiedziano naprzód, że nieprzyjmie żadnéj prywatnéj pomocy. — Pani Stanisławowa miała na chwilę myśl, sama do niego w tym względzie przemówić, ująć go za serce, i spodziewała się, że może ona otrzyma od niego, co innym się nie udawało. —

Lecz zastanowiwszy się lepiéj, przekonała się że krok uczyniony z jéj strony, mógłby właśnie być bardzo przykrym pułkownikowi; żeby niepsuć mu drogiego uczucia dalekich wspomnień, zaniechała zamiaru.

Narada więc skończyła się na niczém. Postanowiono tylko, że Alexander zniesie się z Karolem i pogada z nim o położeniu jego wuja, i co on, lub rodzina jego myśli przedsięwziąść w tym względzie.

Ta druga narada była szczęśliwszą. Wprawdzie Karól także utrzymywał, że pułkownik od prywatnych nic nie przyjmie, kiedy od własnéj rodziny przysłanych zasiłków odmawia; dodał że wuj łudzi się mylną nadzieją, myśląc że potrafi sobie, zapewnić pracą, choćby trudną w jego wieku, przyzwoity dochód. — Jedyny sposób podług zdania Karola, byłby wyrobić u rządu dla pułkownika, wyjątkową wyższą jak zazwyczaj emigrantom dają płacę. — « Tęby przyjął, sądzę, mówił Karól, a przez wpływy znakomitych Francuzów możeby to powiększenie pensyi udało się otrzymać od rządu. Wszakże pułkownik służył tak długo w wojsku francuzkiem, ozdobiony jest krzyżem legii hono-

rowéj i nie jędnę ranę za czasów Napoleońskich odniósł. — »

Alexander i Karol udali się w tym celu do pana B... i tak ich missya jak krok uczyniony do ministra potrzebującego właśnie wtenczas jakiegoś łaskawego *votum* na izbie od naszego deputowanego, udały się szczęśliwie. — Minister powiększył pensyą pułkownika do stu franków miesięcznie. W tym samym czasie Aloizy napisał do niego, ze przenosi się do *le Mans*, mając w większem mieście zapewniony zarobek w drukarni, gdy tymczasem w Sablé nie zawsze było co drukować. Troszkę nie na rękę ta nowina przypadła pułkownikowi; nie miał bowiem ochoty rozstać się z poczciwym Aloizym, ani też sam jeden żyć w Sablé. Przymusowe zaś pożycie, które go czekało w *le Mans*, z wielu kolegami rozmaitego rodzaju, obyczajów i opinii, odstręczało go od pobytu w tem mieście. — Lecz właśnie list Aloizego podał myśl Karolowi wstąpienia do seminaryum dyecezyi *Lemańskiéj*. To postanowienie siostrzeńca położyło koniec wszelkiemu wahaniu się pułkownika. — Rzecz więc była ułożona. — Tegoż samego dnia, co pani Stanisławowa — i on z Karolem miał

także opuścić Paryż, i do gotowéj gospody, najętéj w *le Mans* przez Aloizego zajechać. — Myśl mieszkania znowu z Aloizym, i częstego widywania Karola, była dla pułkownika potrzebną pociechą w chwili rozstania się z panią Stanisławową i przyszłym jéj zięciem. — Jeżeli dawnych illuzyj pamiątka coraz mniéj wpływu mieć musiała na umyśle Prokopa; za to gościnność i czuła przyjaźń doznana po kilku latach prawie zupełnéj samotności, od osoby, która właśnie była przedmiotem uniesień młodzieńczych — stała się nader potrzebną jego sercu. — Czuł więc mocno zbliżające się na nowo sieroctwo : a jak choroba za powrotem dolegliwszą jest zazwyczaj, tak i dawna tęsknota wracając, ciężyła mocniéj na duszy, i grubiéj zachmurzała coraz ciaśniejszy horyzont starego żołnierza. — Nadzieja powrotu pani Stanisławowéj małą była pociechą, bo ludzie podeszłego wieku nie lubią na czas rachować, a do tego pułkownik postanowił był sobie nie mieszkać więcéj w Paryżu. Myślał tylko czasami wpaść do ogromnéj stolicy, jeśliby do niéj powróciła pani Stanisławowa, żeby wśród téj otchłani grzmiącéj, spotkać ukrytą, samotną, jak on doświadczoną duszę, i

odetchnąć swobodniéj i serdeczniéj z nią razem, nim się razem niepuszczą w nieskończoną podróż.

V

Tymczasem te kilka pozostałych dni w Paryżu, przeszło chyżo — Ostatni wieczór był nader smutny dla pułkownika. — Niechybny rozgowor i roztargnienie panowało w domu pani Stanisławowéj wybierającéj się w drogę. — Wacław niedługo bawił: pod pozorem pakowania się wybiegł rychło od matki. — Alexander korzystając z dwojakiego przywileju kuzyna i narzeczonego Zofii, chodził po wszystkich pokojach, pomagał, doradzał, przypominał rozmaite szczegóły. — Niesmutny, bo dla niego chwila pożegnania do kilku dni odłożona jeszcze. Miał ciotkę i Zofiią odprowadzić do Strasburga, może nawet i zagranicę Francyi, jeżeli Niemcy przepuszczą polskiego emigranta.

Pani Stanisławowa usiadła z pułkownikiem przy kominku w salonie, ale rozmowa nie szła. Ona była roztargniona, przerywana w mowie i myślach

częstemi zapytaniami Zofii, Alexandra, służących. — Pułkownik smutny — mało mówiący — powstał kilka razy, żeby powiedzieć ostatni raz dobranoc, i wyjść ze środka tego rosterku, gdzie zdawało mu się, że był zawadą. Ale za każdym razem pani Stanisławowa zatrzymała go, prosząc z takim szczerym i przyjacielskim wyrazem w oczach i na twarzy, żeby jéj nie opuszczał, że musiał aż do późnéj godziny z nią pozostać. Już było dobrze po jedenastéj kiedy nareszcie podała mu rękę.

— Jeszcze się jutro zobaczymy pułkowniku? rzekła.

— Przyjdę z Pomykalskim wsadzić panią do karety.

— Porucznik już się ze mną dziś rano pożegnał.

— To więc sam przyjdę, ale już nie do salonu. — Będę pod arkadami pilnował godziny odjazdu. — Nietrzeba zatem czekać tu na mnie. Niezawodnie będę na dole.

Pani Stanisławowa zrozumiała, że pułkownik chciał uniknąć długich pożegnań; że nie dowierzał sobie, żeby serce za bardzo przy świadkach nie rostajało. Przystała więc na żądanie pułkownika,

skinąwszy lekko głową ze smutnym uśmiechem i ścisnąwszy mocno rękę starego żołnierza. — Potem — nie odprowadziła go jak zazwyczaj ku drzwiom, ale odwróciła się kiedy on wychodził, i milcząc przeszła parę razy po salonie. Pułkownik zgadł że łza wypadła z oka pani Stanisławowéj — zatrzymał się na progu — spojrzał z wdzięcznością na nią, i cicho drzwi przymknął.

Pani Stanisławowa stanęła przy stole na środku pokoju. Lampa twarz jéj szanowną oświeciła — łzy już w oku nie było. — Spokojna — zaczęła zbierać i układać jakieś drobiazgi porozrzucane jeszcze na stole. Tymczasem Alexander wziął za kapelusz i pocałowawszy rękę ciotki wyszedł z salonu. — Niedługo potem zegar uderzył dwunastą.

Na zajutrz, o óśméj godzinie, cztery konie pocztowe stały przed hotelem, zaprzężone do podróżnéj karety. Służący przybiegali do niéj co chwila i wracali po resztę pakietów do hotelu. — Pułkownik przechodził się pod arkadami.

W tém wolno zestąpiła z wysokiego progu pani Stanisławowa oparta na ramieniu Alexandra w podróżnym ubiorze i zatrzymała się pod arkadą

oglądając się na obydwie strony. Zofia stanęła przy matce, a Wacław z szalem i toaletką w ręku, w kaszkiecie kratkowanym na głowie, z torbeczką żółtą skórzaną na plecach, coś perorował z tyłu między właścicielem hotelu, portierem i służącymi.

Pułkownik przybliżył się wolnym krokiem. Pożegnanie było krótkie — bez wielu słów. — Wsadził panią Stanisławową, potem jéj córkę do karety, i kiedy Alexander z drugiéj strony siadał, a Wacław dźwigał się na kozieł, on jeszcze raz podał jéj rękę i zapomniawszy już w téj chwili o Zofii, samę panią Stanisławową pożegnał i prędko krok w tył odskoczył — a postylion zaciął konie.

Pułkownik popatrzał za pędzącą karetą. Gdy ją stracił z oczu — westchnął cicho, i obejrzał się wolno, jakoby się budząc z letargu, na około siebie. — Ulica jeszcze prawie pusta była. Postąpił parę kroków naprzód i widząc przechodzący próżny kabryolet, kiwnął na furmana żeby się zatrzymał.

« Do Świętego Stefana » rzekł siadając.

Koń wolnym truchtem zaczął biegnąć. Pułkownik założył ręce, i nie uważając co się działo na

ulicy i którędy go wieziono, blisko pół godziny, zamyślony tak przepędził.

Wysiadłszy przed Świętym Stefanem, wszedł do kościoła, minął wielki ołtarz i zakrystyą, idąc między kolumnami nawy a kaplicami bocznemi, i zatrzymał się w najdalszéj, przed ołtarzem Matki Boskiéj. — W rogu kaplicy klęczał Marcin. — Pułkownił tuż za nim usiadł. W tem uderzyła dziewiąta na zegarze wieży i ksiądz wyszedł ze mszą świętą.

Przy końcu mszy, Marcin przystąpił do kratek ołtarza i uklęknął. Kiedy — przyjąwszy Sakrament Przenajświętszy, wracał na miejsce z pochyloną głową, łzy gęste kapały mu na długie wąsy — a pułkownika oko także zwilżało.

O dwunastéj godzinie w same południe, pułkownik, Karól, Marcin, Bogdan byli razem na podwórzu dyliżansów Lafita. Przynajmniéj dwadzieścia tych ruchomych domów na około stało. — Jedne pakowano, drugie rozpakowywano, do trzecich zaprzęgano, czwarte już wyjeżdżały.

Kiedy dyliżans idący do *le Mans* był gotów, i zawołano po nazwisku podróżnych do siadania, pułkownik ściskając Marcina, rzekł do niego :

— Tak, chwała Bogu, za parę tygodni zobaczymy się znowu.

— Z łaski pułkownika!

— Będziemy we trzech razem z Aloizym mieszkali?

— Szkoda że pan Karol nie może także mieszkać z nami.

— Ale będziemy się często z nim widywali. Aloizy pisze że blisko katedry najął nam mieszkanie.

— Jakto? to porucznik porzuca fabrykę? zapytał Bogdan Karola.

— Jakoś Bóg nam we wszystkiem dopomaga.— Wuj spotkał przed kilku dniami dawnego kolegę, który trzyma teraz dom pocztowy w *le Mans*. — Ten mu obiecał, że da porucznikowi miejsce dozorcy nad wozami i końmi.

— A to właśnie miejsce dla niego, rzekł Bogdan: jakie szczęście!

— I dla Marcina i dla pułkownika.

Tymczasem Prokop wsiadł do dyliżansu, a za nim Karól. — «Bóg z wami!» zawołał Bogdan.— Marcin jeszcze rękę wyciągnął do pułkownika, ale musiał odskoczyć bo koła warknęły po bruku.

ROZDZIAŁ VIII.

PUŁKOWNIK.

Straszny dzień to był, kiedy po trzeci raz jenerał Bem starł się pod Hermandstat z nieprzyjaciołmi Polski i Węgier. Od czasów króla Jana, żaden gieniusz polski nie zabłysnął jaśniéj w téj krainie.

Ale jenerał Bem nie miał Boga chrześciańskiego w sercu! Taka ręka czy kiedy co dobrego Polsce przyniesie? Przyszły renegat dobył ostatnich sił szalonéj odwagi swojéj dnia tego—i rozbił się o fatalne Europie moskiewskie szeregi.

Słońce jasne — tryumfalne dla Habsburskiego i Romanowów domu, zapadało w ogromnym kręgu, i rzucało jak miotły krwawe, czerwone promienie

po zbroczonéj płaszczyznie.— Zdaleka miasto stało jak w ogniu: wieże w powietrzu, a nieco niżéj okna mnogich domów jaskrawo odbijały uciekające z horyzontu światło : niżéj jeszcze tysiące bagnetów migało nad czarnemi Moskali batalionami, biegącemi do attaku, a kule harmatnie na wsze strony huczały.

Na szerokiéj — otwartéj błoni, stał zastęp polskiéj jazdy. Na jego czele — kilka kroków na przodzie, siwy jak gołąb' starzec, na mołdawskiéj rosłéj bułanéj klaczy; nieco schylony na siodle, z ręką spokojną na cuglach i szablą w pochwie, patrzał w przybliżające się szeregi nieprzyjacielskie, po rozbiciu węgierskiéj piechoty. — Długa klacz wyciągała się i kurczyła pod nim, rwąc prawą nogą co chwila ziemię, i trzęsąc białą grzywą. Z obydwóch stron starca stało dwóch officerów : jeden z nich mógł mieć lat czterdzieści, drugi — ten co był po prawéj stronie, chłopiec młody — mało co nad dwadzieścia lat liczył. — Działowe kule krzyżowały się nad ich głowami; starzec milczał. — Zdawało się że okiem gonił ostatnie błyski nadziei uciekające z ostatniemi promieniami słońca.

W tem od strony głównego sztabu Bema, skąd

jak orły z gniazda wylatywali z rozkazami posłańcy — oderwał się oficer na koniu angielskim, i biegł jak szalony ku polskiemu oddziałowi. — Koń sadził przez rowy, skakał po zagonach i pędził na oślep. — Oficer dobiegając szablą skinął, pokazał bok moskiewskich batalionów nacierających bagnetem na ostatki piechoty Bema, i dał rozkaz po polsku do szarży — stając sam obok starca.

— To ostatnia podobno nasza szarża w tej wojnie, pułkowniku, rzekł Alexander : zrobimy ją razem.

— To ostatnia moja szarża w życiu, odpowiedział Prokop Modliborski dobywając pałasza. W téj chwili kula harmatnia zaryła w ziemi o sto kroków przed szwadronem, i podnosząc się w kurzu, w okamgnieniu przeleciała tuż obok pułkownika, a Aloizy zwalił się z konia. Prokop jęknął głośno spojrzawszy na rozdarte członki wiernego towarzysza na tułactwie i z szablą wyniesioną do góry — między Alexandrem i młodszym Zorowskim, jak pod Cecorą Żołkiewski między dwóma synami, rzucił się na moskiewski batalion. — Bułana klacz kopnęła się polem chrapiąc i pryskając nozdrzami. Strach i ostroga oślepiły ją zupełnie.

Starca jednak pewna i niemylna ręka prowadziła ją jak na placu manewrów, i o krok od Moskali, ogromnym poskokiem wsadziła ją w środek batalionu. — Alexander, młody Prokop Zorowski, brat Karola, dopiero co z domu przybyły do Węgier, i cały oddział wpadł między bagnety za pułkownikiem. Batalion rozbity pierzchnął. Ale wkrótce inne nadchodziły nieprzyjacielskie siły i zastęp Polaków zaczął się cofać z całym korpusem Bema. — Słońce już zupełnie zaszło — mrok opanował szerokie błonia; tylko światło wystrzałów błyskało w rozmaitych kierunkach. — Moskiewskiego wojska massy postępowały za niedobitkami Węgrów.

I upór jenerała Bema nie przemógł. Rad nie rad musiał się cofnąć!

Nasi ustępowali zwolna. Jakiś szmer niepewności i żalu przebiegał szeregi, jakby wiatr po strunach zepsutego instrumentu. — Już połamano porządek i nietrzymano linii. — Zaczęto się rozdzielać i w kupy zbierać. — Kiedy niekiedy kula goniąc z tyłu świstnęła.

Pułkownika klacz ciągle zrywała się i unosiła głowę, a wiatr powstający po zachodzie słońca

rozwiewał jéj grzywę białą i gęsty, długi ogon. — Młody Prokop milcząc jechał tuż przy Prokopie, wuju swoim.—Zbladł ale przytomności nie stracił. Szablę zakrwawioną w ręku trzyma, konia dobrze prowadzi — obiecuje dzielnego żołnierza.

W tem Alexander, zabłąkawszy się w chwili odwrotu, wołał i szukał pułkownika. Przybliżając się spojrzał na niego właśnie kiedy błysnęła harmata i spostrzegł zakrwawiony mundur.

— Pułkownik ranny! zawołał głośno.

— Mówiłem ci, że to będzie ostatnia moja szarża.

— Trzeba stanąć! Przecież Moskale nie tak na karku siedzą, żebyśmy nie mogli ponieść pułkownika.

— Dziękuję ci kochany Alexandrze — dosiedzę jeszcze na koniu. Za dziś ręczę. — Jutro zobaczymy.

Nim jednak dożyjemy tego niepewnego jutra, cofnijmy się myślą i zobaczmy co się działo przez te lat dwanaście ze wszystkiemi naszymi znajomymi, którzy nas szczególniéj w téj powieści obchodzą.

Pani Stanisławowa powróciła była do Paryża podług obietnicy, w rok po oświadczynach Alexandra, a w parę miesięcy późniéj, pułkownik jako

kawaler, poprowadził Zofię do ołtarza. Odtąd dobrana para żyła szczęśliwie, o ile to być może dla oddalonych od kraju i swoich. —Najwięcéj ciężyło na sercu Zofii rozłączenie ciągłe z matką. Pani Stanisławowa bowiem nie mogła, jak się spodziewała z początku, urządzić tak interessów, żeby można było zupełnie kraj opuścić. Dwa razy tylko w przeciągu tych lat dwunastu odwiedziła Paryż. Raz żeby poznać pierworodnego syna Zofii Władysia, drugi raz żeby trzymać do chrztu córeczkę jéj Teklunię. — Za każdym przybyciem pani Stanisławowéj, pułkownik parę tygodni w Paryżu z przyjaciołmi przepędził, potem wracał znowu do *le Mans*, czas na wzdychaniu i oczekiwaniu jak niegdyś w Sablé trawić, żyjąc skromnie ze stu franków zapewnionych mu u rządu. Tylko modlitwa teraz, nadzieja zobaczenia kiedy niekiedy pani Stanisławowéj, pewność przyjaźni Alexandra i Zofii, czułe pielęgnowanie Aloizego i nareszcie koncepta Marcina były mu rozrywką i pociechą— pociechą nawet nie małą. Starzec czuł się bowiem mniéj osierociały niż na początku emigracyi, żyjąc teraz ciągle z takiemi myślami i z takiemi ludźmi.— Dziwna rzecz, że słabszy na pozór od Marcina i

Majora Zorowskiego za młodu, nierównie czerstwiejszą od nich miał starość.

Co Karol — ten skończywszy nauki w Seminaryum i przyjąwszy święcenie, rozłączyć się z wujem musiał. Wkrótce po opuszczeniu miasta *le Mans*, wstąpił do zakonu Lazarystów i wysłany był na missye; ale właśnie w czasie wojny węgierskiéj oczekiwano go z powrotem w Paryżu.

Wacław — który jakeśmy to widzieli, zaraz po wyjeździe Cecylii, już o niéj niewiele myślał, zdawał się zupełnie o tym kaprysie chwilowym późniéj nie pamiętać. Był sobie przez cały ten długi czasu przeciąg młodym paniczem, i ciągle świat reformował i burzył po salonach paryzkich. — Rewolucya 1848 roku zastała go w gorsecie, chociaż niemało już włosów siwych kawaler liczył — ale zastała go oczywiście tryumfującym. Wkrótce po 24 lutego Paryż opuścił i ruszył w świat z bagażem rewolucyjnych frazesów mącić wszędzie. W potrzebie jednak dobył nieraz szpady i szedł z elegancką miną na czele jakiéj falangi demagogów, szczerze zajęty myślą, żeby na przypadek śmiertelnéj kuli, paść pięknie w płaszcz udrapowany i w bohaterskiéj postaci.

Pułkownik zaś patrzał niedowierzającem okiem na te wszystkie rewolucyjne ruchy — często nawet głośno je ganił. Dopiero wieść o wojnie węgierskiéj dodała mu ducha. Opuścił natychmiast *le Mans* z Marcinem, dotąd wozów i koni pocztowych doglądającym. — Aloizy ciągle pracujący w drukarni do nich się także dołączył, i we trzech ruszyli do Paryża, aby znieść się z Alexandrem i naradzić jakim sposobem dostać się na Węgry. — Alexander ucieszył się z przybycia i zamiaru pułkownika, i niedługo potem z nim i Aloizym puścili się w drogę. — Marcin tylko, rad nie rad, musiał pozostać przy pani Zofii i prowadzać Władysia na przechadzki. — Tak postanowiono, a on tembardziéj przystać na tę decyzyą musiał, bo w tych ostatnich czasach, bardzo się ku zgrzybiałości był posunął.

Jak w pierwszéj części téj powieści, tak i w tém miejscu opuszczamy historyczne wypadki wojny. — Wspomnimy tylko, że pułkownik wśród ochotników polskich z których uformował zastęp jazdy, spotkał Prokopa Zorowskiego, brata Karola, który jak tylu innych z nowego w Polsce pokolenia, przekradł się na Węgry, myśląc że

ztamtąd wyjdą pierwsze bataliony na oswobodzenie Polski. — Już jego rodzice wtenczas nie żyli. — Siostry popochodziły za mąż. Dawne dziedzictwo pana Marcina Piwo przeszło do jednego ze szwagrów, bogatszego od drugich. Sam — najmłodszy z rodziny, niefrasując się o jakąś po rodzicach puściznę, zapalił się na pierwszą wieść o powstaniu na Węgrzech i ruszył za innymi. Dzielny i dobry chłopiec, ucieszył się niewymównie, napotkawszy wuja którego nie znał, bo wyrosł dopiero po wojnie trzydziestego pierwszego roku; ale o którym tyle w domu się nasłyszał i imię jego nawet nosił.

Po krwawéj bitwie pod Hermanstatd, pułkownik ranny bagnetem, myślał że już ostatnia jego godzina nadeszła.

— Za dziś ręczę, odpowiedział troszczącemu się o niego Alexandrowi — jutro zobaczymy. — Niebezpieczeństwa jednak bezpośredniego nie było. Rana mało ważna, dla człowieka w młodszym wieku, i dla pułkownika nie zdawała się śmiertelną — jednak uporczywie zagoić się nie chciała.

Do rany wycieńczającéj dołączył się smutek —

smutek coraz głębiéj wpajający się w duszę i wysysający ostatki ziemskiéj pociechy. Naprzód wyjazd Alexandra, który zaraz po przejściu tureckiéj granicy pośpieszył do Paryża, mocno go zasmucił. Na zaklęcia przyjaciela, żeby — skoro tylko rana pozwoli, wracał do Francyi, i w jego domu zamieszkał, odpowiedział, obiecując zadosyć uczynić jego żądaniu — ale w taki sposób, że zdawało się iż nie wiele miał nadziei, żeby jeszcze go kiedy obaczył.

Po wyjeździe Alexandra inne zmartwienie. Ulegając wymagalnościom rossyjskiego i austryackiego dworu, oddalono polsko-węgierskich wychodźców od granic, i Prokop Zorowski musiał także wuja opuścić i ruszyć z innymi do Azyi mniejszéj. — Ledwie samemu pułkownikowi — staremu i rannemu pozostać jakiś czas pozwolono, żeby trochę do zdrowia przyszedł i potem przez Stambuł wrócił do Francyi. Sądzono zapewne, że żyć i korzystać z pozwolenia nie będzie.

Rozstanie się z młodym Prokopem rozdarło mu serce. — Jedna, na pozór drobna okoliczność przymnożyła jeszcze starcowi bolu. — Kawalerzysta i szlachcic polski, przez tyle lat niedostatku i

biedy w czasie emigracyi nadaremnie wzdychał do konia. Dobrał się nareszcie do niego wkraczając do Węgier, a przypadek zdarzył, że dostał bułanéj z białą grzywą klaczy: — maść która mu — przy schyłku życia, przypominała pierwsze lata młodości; pierwsze wycieczki do sąsiedztw na Kujawach, do wuja w Łęczyckie, do Zorowskiego w Rawskie.

Brak pieniędzy zmusił pułkownika do sprzedania konia, tegoż dnia właśnie, kiedy Prokop miał wyjechać. — Może w części dla tego żeby mu coś na drogę udzielić.

Przyprowadzono klacz przed kwaterę, chciał się bowiem stary żołnierz z nią przynajmniéj pożegnać. Młody Prokop wyszedł i głaskał ją przed gankiem. — On patrzał przez okno. — Nareszcie ten co ją kupił, jakiś bojar wołowski na szczęście, kazał ją zabrać. Klacz przeciw zwyczajowi swemu, słupem stanęła. Potem odprowadzana od domu, zaczęła się oglądać i rżeć — zapewne do innych koni pozostałych w stajni. — Ale pułkownikowi się zdawało, że to może przeczucie — że to żal za nim. Nie mógł daléj patrzeć i odszedł od okna.

Tegoż wieczora — sam — stary — ranny, leżał na

twardem łożu w zupełnie obcym kraju, i długo nie śpiąc — modlił się opuszczony od wszystkich — z kończącą się wszelką pociechą na tym świecie. — Czasem oczy otworzył i powiódł je po obszernéj, pustéj izbie. Lampy nawet przy łożu chorego starca nie było. Księżyc tylko Bóg zesłał w jedyne okno w rogu pokoju błyszczące. — «Wszystko minęło! myślał sobie. — Po tylu latach i wojnach — po dwókrotnym wygnaniu, kończę prawdziwe tułactwo — tułactwo świata tego, z zamierzchłą znowu nadzieją, za którąm gonił całe życie: — z zamierzchłą nadzieją dla Polski! — Czy nowe pokolenie podniesie ją znowu?... Zapewne! Alem ja już u kresu. — Już też i czas! Długie życie było..... i wiele biedy! Dzięki ci Boże — żeś mi nigdy jednak pociechy nieszczędził, — że chociaż sam — bez rodziny — bez dziecka — bez domowego szczęścia, do któregom tak wzdychał — jednak zawszem i wszędzie na dobre serca natrafił — zawsze i wszędzie było kogo kochać i mnie też kochano. — Dzięki ci Boże — że choć na obcéj ziemi, ale z czystem sumieniem względem ojczyzny kończę. — A z Tobą panie, może raczysz miłosiernie rachunek ułatwić, kiedyś mnie raczył

w starości już mojéj zagrzać większą miłością ku Tobie.»

Takiemi myślami starzec bawił się noc całą. — Nade dniem dopiero zamknął powieki i odpoczął chwilę. — Siły się pokrzepiły, i budząc się nieco żwawszy, przekonał się, że mimo rany ciągle dokuczającéj, śmierć opóźniała się jeszcze — opóźniła się dłużéj niż myślał — może niż żądał!

Kilka dni pogodniejszych i opieka doktora francuza, postawiły go tak na nogach, że mimo niezagojonéj rany, w parę tygodni późniéj mógł wybrać się w drogę do Stambułu.

Tymczasem Alexander przeleciał wzdłuż przez całe prawie środziemne morze, wylądował w Marsylii, i wkrótce potem uściskał w Paryżu żonę i dzieci. Inna go jeszcze w domu czekała pociecha. Pani Stanisławowa, przepłaciwszy paszport, biegła do córki; wiedziała bowiem, że mąż jéj na Węgrzech wojował. — Lecz niełatwo to granicę carską przekroczyć! Mimo zabiegów i kosztów na parę dni tylko przed Alexandrem do Paryża zdążyła.

Wacław także w tym czasie, z ręką na szarfie, powrócił do Paryża; dostał bowiem kulą wyżéj

łokcia na jednéj z wypraw swoich. — Ale teraz i mowy nawet nie było, żeby mieszkał z matką. Pani Stanisławowa zajechała prosto do córki, a Wacław od czasu wybuchu rewolucyi 1848 roku, mniéj niż kiedykolwiek zgadzał się ze szwagrem Alexandrem.

II

Jednego wieczora w listopadzie, mało co po szóstéj godzinie wstawano od stołu u pana Alexandra, na ulicy *Neuve-des-Mathurins*. — Wacław tego dnia był u siostry na obiedzie. — Dla tego właśnie rozmowa nieszła i smutno było czas cały. Tylko talerze brząkały: jakoś uwijano się z jedzeniem jakżeby chciano co prędzéj skończyć i rozerwać ciasne kółko zasiadających przy stole. — Istotnie tak też było. — Pani Stanisławowéj ciężyły ciągłe sprzeczki między synem a szwagrem. — Zofia — przyjemna i rozmowna w dobranem i spokojnem towarzystwie, nie miała talentu potrzebnego gospodynioni, kierowania rozmową gości. Milczała też, zostawując matce rolę pani

domu. — Stary Marcin Pomykalski wyglądał na weterana spiskowych — zachmurzony i zamyślony. — Dzieci tylko szczebiotały między sobą, lub musiły każdego z kolei do odpowiedzi na tysiączne zapytania.

Lecz dzisiejszego dnia nawet do sprzeczki nie przyszło. Sama obawa, żeby nie wybuchnęła, zamykała usta.

Po wetach nareszcie, bardzo skromnych jak zazwyczaj, wstano od stołu, a Wacław wchodząc do salonu, zaraz za kapelusz uchwycił. — Nie zatrzymywano go wcale. On — pobawiwszy się chwilkę z dziećmi, pocałował matkę w rękę, siostrę i szwagra pożegnał skinieniem głowy i ruszył na miasto.

Ale nie zabrał z sobą zimna które był wniósł do domu przychodząc. — Pani Stanisławowa usiadła przy kominku z założonemi rękami, i pochyliła głowę. — Staruszka już zupełnie osiwiała i z wiekiem zeszczuplała jeszcze bardziéj. — Twarz zdawała się nieco dłuższa niż dawniéj i rysy wydatniejsze. To jéj nadawało wyraz więcéj surowy, kiedy zamyśloną była. Ale ze słowem na usta,

przybywała zarazem do jéj oczów uprzejmość i rozlewała się po szanownéj twarzy.

Mąż i żona usiedli na boku przy stole, na którym paliła się lampa z wierzchu przykryta. Alexander jakieś druki, Zofia robotki swoje przeglądała. — Władyś z Teklunią kręcili się po środku a Marcin w kącie siedząc, wąs kręcił.

Nareszcie Alexander rzucając druki obrócił krzesło i z miną żwawszą, dlatego tylko żeby przerwać milczenie które ciężyło tego wieczora na całem towarzystwie — zapytał :

— Cóż tak zamyśliłeś się kochany Poruczniku ?

— Bom jest niespokojny o pułkownika. Jużby powinien być w Paryżu. Podług ostatniego listu miał wyjechać na początku tego miesiąca ze Stambułu.

— Musiał zapewne opóźnić podróż. Ta nieszczęśliwa rana nie była jeszcze zupełnie zagojona, odpowiedział Alexander.

— Może odpoczywa w Marsylii po morskiéj podróży, dodała Zofia żeby poprzeć, jak zawsze, zdanie męża.

— Ja także niespokojna jestem, odezwała się pani Stanisławowa. — Pułkownik spieszy się do

Paryża, i jeżeli się opóźnił to zapewne gorzéj z jego zdrowiem.

— Mnie się zdaje że Zosia ma racyą kochana mamo odpowiedział Alexander, żeby uspokoić staruszków. Pułkownik musiał zatrzymać się w Marsylii.

— Dałby Bóg! rzekła pani Stanisławowa, a widząc że Alexander powstaje z krzesła, dała mu znak żeby się do niéj przybliżył i powiedziała po cichu :

— Ja się istotnie lękam o niego. On nie zatrzyma się po drodze, chyba że nie będzie mógł ruszyć się z łóżka. On myśli że go śmierć goni..... chce ją uprzedzić do Paryża..... chce się z nami pożegnać.....

Pani Stanisławowa odwróciła głowę wzruszona.

— Może też i statek opóźnił się na morzu. Czas taki brzydki !

Pani Stanisławowa nic już nierzekła i milczenie opanowało znowu całe towarzystwo, prócz dzieci ciągle szczebioczących między sobą. Przerwał je porucznik.

— A Bernińskiemu wszystko się wiedzie !

— Cóż się o nim dowiedziałeś? zapytał Alexander.

— Mamy go tu w sąsiedztwie. Zdrów jak ryba.

— To przyjechał? Nic nam nie mówiłeś.

— Przyjechał dziś wieczorem. Poznałem go jak wysiadał. Zapewne będzie mieszkał u wnuczki.

— Przyjemnie dla pułkownika! rzekł Alexander zmarszczony. Żeby tylko to sąsiedztwo nie odstręczyło go od nas! Pokój przygotowany. — Zosia starała się jak najwygodniéj go urządzić.

— Eh! pułkownik go ztąd wykurzy. — I ja — w awangardzie, miałem ochotę pokazać mu się... przywitać... bo to stara znajomość mospanie! rzekł Marcin powstając i podnosząc głos co raz mocniéj. — Ale JW. Pan nie poznał mnie zdaleka.— Szkoda! A ja przybliżyć się nie mogłem. Zaraz jak wysiadł z karety, tak go otoczono...! tak prowadzono na schody...! że między lokajami, postylionami, portierami nie podobna było się przedrzeć... niezdążyłem. Doprawdy szkoda! byłbym mu powiedział: Niech będzie pochwalony! Pan Bóg poszczęścił od czasu, jakeśmy się rozstali pod Łęczycą Florku!

— Dałbyś mu pokój, kochany poruczniku! przer-

wała pani Stanisławowa: już i my i on niedługo czekać będziemy na sąd Boży: trochę cierpliwości poruczniku! — Mnie daleko więcéj nudzi pobyt jego wnuczki w Paryżu. — Wacławowi przypomniały się znowu dawne...—Nie można na chwilę w domu go zatrzymać. — Ręczę że i teraz do niéj poszedł.

Istotnie Wacław wyszedłszy od matki, wstąpił do pani Oskarowéj, która z mężem — a od kilku godzin z dziaduniem zajmowała pyszne apartamenta na tejże saméj ulicy. — Do pani Oskarowéj, mówimy, bo ładna Cecylia wróciwszy na Ruś, i narobiwszy mnóstwo nieszczęśliwych, czekając zawsze wraz z mamą na jakiego Xięcia, poszła nareszcie w dwudziestym piątym roku życia, z porady doświadczonego dziadunia, za pana Oskara, trzydziesto letniego młodzieńca, niepośledniéj fortuny, pańskiéj okazałości, oględnéj szczodrobliwości, ściśle praktycznego rozumu, znawcy wszystkiego co smaczne, wygodne i ciepłe; nieznanych za to uczuć prócz jednego: — głośnéj i wspaniałéj miłości dla niezrównanéj Cecylii!

Dla niéj galopował on, od jednych wód do drugich — z jednego do drugiego kraju! Dla niéj

sypał pieniędzmi po drodze, choć je umiał rachować! Dla niéj..... już nie wiem co..... nareszcie ją posiadł. — A nacieszywszy się niepojętém szczęściem w pałacu na stepach, wśród licznéj służby dwornéj, stajni i psiarni — ruszył na Zachód, aby na innéj scenie oglądać swoją królowę!

Ale królowa tak była zajęta mnóstwem wyższego polotu rzeczy, spraw i pojęć; takim językiem o nich na paryzkiéj rozprawiała scenie, że Oskar— uwielbiając stale rozum i serce niezrównanéj zawsze Cecylii, chodził coraz częściéj wypoczywać z entuzyazmu na klubie, i ćwiczył wista, lub z wyrozumiałością i niepospolitym taktem zakładał się na kursach końskich.

Cecylia zaś — dochodząc lat trzydziestu, doszła także do pełności wdzięków. — Tylko że rady mamy i długie oglądanie się za kogo iść za mąż, nie bardzo pomyślnie wpłynęły były na jéj rozwinięcie moralne. — Dawne naiwne uniesienia, które w niéj istotnie przyjemnemi były, wyrodziły się w entuzyazm udany; a szczęśliwa pamięć, podżegana próżnością, napasła się tysiącem wiadomości, rozbieranych i klassyfikowanych nie w samotności zbawiennéj tak często dla umysłu; ale w małém familijném, odstrychniętém od reszty myślącego świata kółku, gdzie *adorując się* zobopólnie wszyscy, i *delektując się* jedni drugich zaletami, sądzonemi stronniczo i fałszywie, utworzyli sobie jakiś Olymp bóstw domowych, za którego obrębem nic doskonalszego nie było, *na* kuli ziemskiéj.

Jeżeli do tego dodamy padanie na kolana przed obliczem bogini kojarzącéj w sobie rozum Minerwy z wdziękami Wenery, tuzina kawalerów podobnych do pana Oskara (nim on nad wszystkimi rywalami zwycięztwo odniósł), na których ona spoglądała z góry, jak na zuchwałych śmiertelników przez zbytek zarozumiałości szturmujących do jéj serca; pojmiemy może w części, o ile głowa się rozdęła, a serce skurczyło biednéj Cecylii.

Formułek, regułek, sentencyj, definicyj problematycznéj wartości, a obwiniętych w sentymentalność jak w bawełnę, pełno wydystylowało się w owym pałacu Bernińsko-Chuchowskich na Rusi; i z tym zasobém rzucono się w karetę na odwiedziny stolic Zachodu, wiodąc za sobą pana Oskara męża, aby cieszył się tryumfem żony, robił rachunki, pilnował bagażów i używał wszel-

kich słodyczy materyalnych, materyalnie prze-cywilizowanego świata.

I udało się pani Oskarowéj i jéj małżonkowi. — On wkrótce wydoskonalił się i tembardziéj zagustował w gastronomicznéj sztuce; ona niezadługo pociągnęła za sobą ogon adoratorów, który coraz rozszerzał się, powiększał i roztaczał jak ogon pawia, w środku którego mąż jak jedno ze setnych ozdobiających go kółeczek wyglądał.

Jakież miejsce w tym pawim ogonie adoratorów hr. Wacław zajmował? Miejsce starego kawalera, bo już nim był istotnie; bo nie tylko włos srebrny tu i owdzie przebijający go zdradzał, ale co gorsza, i strój, i rodzaj dowcipkowania nawet; moda bowiem, jeśli nie dowcipem, to dowcipkowaniem, jak wszystkiém co jest manierą — rządzi. I rządzi nielitościwie!

Hr. Wacław musiał się zatém cieszyć poufałą przyjaźnią pani Oskarowéj, znieść czasem uszczypliwy żarcik i nie uważać że dbano więcéj o innych.

Dzisiejszego wieczora drzwi były dla wszystkich zamknięte u pani Oskarowéj, z przyczyny przyjazdu dziadunia.— Wacław nie wiedząc o niczém,

wbiegł na schody i byłby może wpadł do salonu, jakto zwykł robić korzystając z pozwolonéj mu przez gospodynią, a uzurpowanéj na gospodarzu poufałości; ale lokaj zatrzymał go na czas. — I rozkaz zapewne był bardzo wyraźny, bo tą razą protestacye nie pomogły i kawaler musiał się cofnąć.

My jednak z Mefistofelesem zajrzyjmy trochę do mieszkania Florka.

III

Starzec czerstwy, rumiany — siedział przy kominie w szerokim, ciepłym, ciemno-bronzowym surducie. Chustka na szyi szeroko zawiązana; jakiś rodzaj fularu w drobne muszki żółtawe na ciemnym tle— bardzo stosowny do podróży. Żaboty zatabaczone i koszula pogięta, wyglądały z nierówno zapiętéj obszernéj axamitnéj kamizelki. — Nogę na nogę założył — tabakierkę złotą w ręku trzymał. Już kilka razy pod brodę pogłaskał Cecylią, z niewymówną gracyą przyjmującą karesy dziadunia.

Oskar dziś na klub nie poszedł : wszystko urządził w pokoju miłego gościa. Wprawdzie nie wié co dalej robić, ale na każdy przypadek uśmiecha się i cieszy.

O mamie — pani Chuchowskiéj dobre nowiny. Zdrowa, tylko że ruszyć ze wsi się nie chce, to szkoda! Obrzydziła sobie świat z nadchodzącym piędziesiątym rokiem życia. Gospodaruje tymczasem. A umie — o! umie gospodarować. Florka szkoła! Niezapomniała jéj mimo wycieczek do Wiednia, Paryża i Rzymu. — Wracając na Ruś, wracała zawsze do praktycznych zwyczajów, i sentymentalność nie była nigdy na zawadzie twardemu rządowi :

— Co tu słychać w Paryżu, Cesiu kochana? Czy mamy tu kogo z naszych stron?

— Jest kilka osób. Zaraz obok nas, w sąsiedztwie, mieszka pani Stanisławowa.

— A!!!

— Nie moja wina dziaduniu. — Najęłam mieszkanie na całą zimę. — Wtém przyjeżdża pan Alexander z Węgier i sadowi się obok nas. — Za ciasno mu było w dawnym lokalu. Nie tylko matkę umieścił przy sobie, ale jeszcze spodziewają się przyjaciela — owego pułkownika....

— Kiedy jego nie puszczą z Turcyi! Zawołał Berniński głośno. Zapewniono mnie w Wiedniu, że wszystkich emigrantów węgierskich i polskich poszlą do Azyi. — Po co ich puszczać ze smyczy na Europę? Czy bez tego mało socyalistów? Ja byłem liberalny..... całe moje życie, ale socyalistów nie chcę.

— Czy to pułkownik..... jak się nazywa Cesiu?.. zapomniałem — odezwał się Oskar nareszcie:

— Z resztą — jeśli przyjedzie, co nam szkodzi dziaduniu, że na jednéj ulicy z nami mieszkać będzie? rzekła Cecylia nieuważając o co mąż się pyta. — Wszak i pani Stanisławowéj i jéj zięcia nie widujemy? To i pułkownik nam nie bardzo może zawadzać.

— Czy to ten, o którym pan Wacław mówił że ma przyjechać?

— O jakimże innym możemy mówić w téj chwili? odpowiedziała żonka.

— Myślałem.....

— Kiedy mówimy o pułkowniku, co ma mieszkać u pani Stanisławowéj, toć zapewne nie o innym

pan Wacław mówił, że do niéj przyjeżdża na mieszkanie? Czy trudno ci pogodzić te dwie rzeczy.

— I to on socyalista?

Wszystko co chcesz, przerwał Berniński zły i znudzony. No.... darmo moja Cesiu.... nie mamy o czém radzić. Zmęczony jestem. — Chodź moja kochanko, (i pogłaskał ją znowu pod brodę, ale naprędce — jakby bez myśli — jakby tylko ze zwyczaju), odprowadź mnie do mego pokoju. Już się położę. Bądź zdrów Oskarze — dobra noc.

« Aha! to jakby naumyślnie, mówił do siebie zacny pan Florian, skoro sam na sam został w szlafroku i czarnéj, jedwabnéj szlafmycy: ten człowiek mnie goni!..... a raczéj..... djabeł igra z nami i sprowadza nas — jednego do drugiego — z różnych końców świata! Co mu z tego? Chciałbym wiedzieć. Nieszczęśliwy Paryż! — Drugi raz w życiu do niegom zawitał, i drugi raz ten..... ten..... podpiwek na kark mi tu spada. — Wyraźnie djabla sprawa! Boć nie on mnie szuka? Raz wlazł mi do domu niewiedząc gdzie i do kogo idzie; teraz sadowią mi go pod bokiem, a on zapewne nie wie o niczém. — Dziwna jednak rzecz! »

Tak rozmyślał pan Berniński nim się położył — a i nie prędko zasnął, chociaż powtarzał sobie bardzo rozsądnie: « Cóż mi zrobi? Niech sobie mieszka gdzie mu się podoba! Nie mam się o co troszczyć! »

Nareszcie zdrzémnął się trochę. O północy jednak obudził się nagle. Może zegar głośno bijący przestraszył w pierwszym śnie starca? Może po długiéj podróży dziadunio zmęczony gorączki dostał? Cóżkolwiek bądź, Berniński zadzwonił na służącego gwałtownie. — Lecz nim służący na wpół ubrany zdążył, Cecylia ze świecą w ręku wpadła do pokoju. Mąż jéj chrapał już oddawna: ona tylko kończyła jakiś romans i nierozebraną będąc, mogła natychmiast przybiedz do dziadunia.

Stary trochę zawstydził się: nie wiedział po co i dla czego dzwonił. Odprawił wnuczkę — służącemu kazał nocną lampę zapalić i odesłał go spać do przedpokoju.

W téj chwili właśnie koła zahuczały po bruku i galopem ruszył powóz z przed domu pani Stanisławowéj. Cecylia, która wychodząc od dziadunia, zatrzymała się nieco przy oknie w salonie

żeby..... niewiadomo — tak sobie..... żeby na xiężyc spojrzeć, poznała powóz. « Gdzie oni jadą o téj godzinie? rzekła do siebie zdziwiona. Coś szczególnego dziś jest w nocy.» Poszła do swego pokoju — już się jéj czytać odechciało — tylko szepcząc z panną służącą, rozbierała się powoli i kładła do łóżka.

IV

Tymczasem powóz pani Stanisławowéj pędził — to kłusem, to galopem. Przebiegł bulwary i ciasnemi ulicami dążył nad Sekwanę. Za rzeką skręcił na lewo, wpadł w ulicę des Saints Pères i zatrzymał się przed szpitalem *Miłosierdzia.*

Pani Stanisławowa drżąc wysiadła, a Alexander, czekający na nią przed furtką, podał jéj rękę.

— Czy żyje jeszcze?

— Jeszcze żyje, odpowiedział cichym głosem, ale zapewne niedoczeka rana.

Minęli jedno i drugie podwórze. Na trzeciém weszli pod czarne sklepienie i na szerokie schódy.

Oddech szpitalowy uderzył ich mocno kiedy otworzyli drzwi na sale, ciągnące się, jedna za drugą, parę set kroków; — kagańce pozawieszane u góry ledwo je oświecały.

Pani Stanisławowa i Alexander szli spiesznie pomiędzy dwoma szeregami łóżek — śpiących, stękających lub konających nędzarzy. Gdzie niegdzie pomocnik szpitalowy, lub siostra miłosierdzia stała jak cień w pomroku — albo przesunęła się cicho. — Przy końcu trzeciéj sali nareszcie, ujrzano z daleka otoczone łóżko. Z jednéj strony ksiądz Karol nachylony nad poduszką, z drugiéj zakonnica z kubkiem w ręku. — W rogu stał Pomykalski z założonemi rękami. Łzy jak groch spadały mu z oczu i ciekły po zwiędłéj starca twarzy i białych wąsach.

Na łóżku wyciągnięty — z zamkniętemi oczyma leżał pułkownik. Włosy białe, w tył odgarnięte, odsłaniały szerokie, nieco nad brwiami zmarszczone czoło. Gruba koszula szpitalowa, dopiero co obleczona, z odwiniętym i niezawiązanym kołnierzem, odsłaniała szyję i część piersi. Szkaplerz i rana szarzały na nich. — Lekko i spokojnie oddy-

chał. — Pani Stanisławowa przybliżyła się do łóżka.

Na widok człowieka którego najwięcéj szanowała w życiu — jedynego człowieka, któregoby może kochała gdyby jéj wolno było raz w życiu kochać: — którego może i kochała — nie wiedząc; — na widok Prokopa, — owego świetnego niegdyś oficera, okrytego krzyżami i ranami, konającego dziś w szpitalu, w grubéj skarbowéj koszuli — ścisnęło się serce sędziwéj pani. « Takiż to koniec tego człowieka? Od pierwszéj młodości tyle czucia, taka szlachetność, taka rycerska, odważna, a przytém tkliwa dusza; tyle poezyi, zapału, poświęcenia przez ciąg całego długiego życia; najmniejszego cienia samolubstwa: — i, te wszystkie uczucia miały oto zgasnąć w téj piersi — na tém łożu żebraczém — w szpitalu — bez żadnego świadka. Ostatnie uderzenie takiego serca o ledwie nie zginęło, jak krzyk samotnego ptaka na puszczy!.... O Boże! takaż to nagroda za wierność Polsce! »

A jednak.... O Boże!..... łaskaw wielce jesteś na niego!..... boć pozwoliłeś mu między nas zdążyć: — boć przywołałeś te kilka serc do łoża jego... boć... i ja jestem tu przytomna....... i ty sam przychodzisz!

Tak czuła i mówiła w duszy swojéj zapewne pani Stanisławowa, kiedy przybliżywszy się do śmiertelnego łoża, spojrzała była na pułkownika — i po chwili — nie mogąc utrzymać żalu w piersi, zakryła twarz rękami i zaczęła rzewnie płakać.

Pułkownik drgnął płacz posłyszawszy i oczy zwolna otworzył. Ksiądz rękę podniósł znak dając, żeby się uciszono, ale wszyscy skupili się nagle przy łóżku zatrzymując oddech, i patrząc w twarz umierającego z niespokojnością. Ksiądz Karol zapytał po cichu:

— Czy wuj mnie poznaje?

— Poznaję..... Karol..... daj krzyż.....

Ksiądz Karol się obrócił, żeby wziąść krucyfix ze stolika, a tymczasem pani Stanisławowa nachyliła się szybko i zapytała także:

— A mnie Pułkowniku?

— Twarz umierającego zmieniła się cokolwiek — jakby do uśmiechu i powoli — cichszym głosem jeszcze wymówił z trudnością.

— Zdążyłem..... teraz..... trzeba się rozstać..... ale...... do widzenia..... znowu.

Pani Stanisławowa coraz bledsza sama, wzięła pułkownika za rękę. — Łzy jéj kapały na nią; zdawało się że chciała z uszanowaniem usta położyć na niéj. — Pułkownik ścisnął rękę przyjaciółki — i powoli — wysunął swoję — pociągnął ją ku sobie — próbował czy nie potrafi jéj podnieść jeszcze — oczy przymknął — znów ją z wysileniem unosił, aż nareszcie za pomocą Alexandra napotkał drugą trzymającą krzyż na piersiach i obydwiema już wtenczas ujął za znak zbawienia!

Tu Marcin wytrzymać nie mógł, padł przed łóżkiem na kolana i zaczął na głos szlochać.

Pułkownik spojrzał, oczy szeroko otworzywszy. Marcin powstał na jedno kolano — łzy się na chwilę jakby zatrzymały w oczekiwaniu: — on patrzał w twarz przyjaciela z przestrachem — a serce biło częściéj i mocniéj.

—Marcin..... towarzysz..... ratuj..... módl się...

Powieki przymykały się jeszcze same zwolna — jeszcze nie koniec — jeszcze słowa urywane z ust wypadały.

— Polska..... Kujawy..... Święty Prokopie...!

— Jezus Marya, Józef! dodał ksiądz Karol.

— Jezus, Marya Józef odpowiedział stary żoł-

nierz, krzyż ścisnął..... zadrżał..... i wszystko się na tym świecie dla niego skończyło!

Ksiądz Karól podniósł ze łzami oczy do góry jakby gonił ducha jego — otaczający łoże stali chwilę w osłupieniu — potem — za przykładem księdza padli na kolana — modląc się czas jakiś za zmarłego duszę — stojącą przed sądem!!!

Tymczasem otworzyły się oczy pułkownika — ale już martwe. Ksiądz Karol powstał pierwszy — i pokazując je Marcinowi rzekł przerywanym głosem:

— Twoja rzecz..... poruczniku. Przymknij powieki..... towarzyszowi!

Marcin podniósł się z trudnością — nachylił się nad martwem ciałem — popatrzał jeszcze w oczy... krople łez ciekły na wierne przyjacielskie zmarłego piersi: — nareszcie potrząsnął z boleścią głową i kładąc palce na powiekach — przymknął je na zawsze.

Alexander wziął pod rękę ociągającą się panią Stanisławową i opuścił z nią wolnym krokiem sale szpitalowe. Ksiądz i Marcin zostali przy ciele. Pierwszy, otworzył brewiarz, drugi głowę oparłszy o dłonie, siedział pochylony — i nieruchomy jakby

w letargu: — ale myślą przebiegał życie razem spędzone: — ich podwójne życie — od wsi łęczyckiéj i uciech dziecinnych, aż do kłopotów i nędzy tułaczéj; dotykając jak strun instrumentu, wszystkich świetnych i smutnych wydarzeń i okoliczności składających pieśń tego ich wspólnego żywota!

Tak skończył Prokop Modliborski, siostrzeniec pana Marcina Piwo. Z Węgier wkraczając do Turcyi czuł on już jakeśmy to widzieli, że śmierć, która przez pół wieku bojów ochraniała go, i chowała, ktoby myślał, na pociechę i powitanie odradzającéj się Polski — teraz chyżem krokiem biegła ku niemu, w chwili właśnie kiedy znowu wszelka nadzieja zdawała się niknąć dla kraju. Spieszył się więc żeby ją uprzedzić i przynajmniéj przyjaciół zebranych w Paryżu zobaczyć i pożegnać. — Całe życie kochał — ciężko mu tedy było myśleć o śmierci samotnéj.

Ze Stambułu puścił się więc jak mógł najprędzéj do Marsylii. Tam widząc że siły nikną, tém uporczywiéj do Paryża spieszył. W dyliżansie pogorszyła się znacznie rana. Jednak nie zatrzymał się po drodze. W Bourges dobrał się do żelaznéj

drogi, i myślał że lecąc pary pędem, niezawodnie śmierć wyścignie.

Późno — bo koło dziesiątéj wieczorem dobijał do francuzkiéj stolicy. Kilkanaście godzin jazdy zmęczyło go nie pomału. W wagonie współ-podróżni spostrzegli, że siły zaczęły go opuszczać. — Na widok starca z krzyżami, chorego i bez sługi, ofiarowali mu z francuzką grzecznością pomoc niezbędną w téj chwili. — Pułkownik przytomnie na ich pytania odpowiadał, i przyjął usługi, bo czuł że się bez nich obejść już nie mógł. Nie chcąc — przez zbytek delikatności do pana Alexandra tak późno zajeżdżać, prosił, żeby go odprowadzono do Saskiego hotelu na ulicy *Jacob*, mając zamiar nazajutrz dopiero przenieść się do przyjaciela. Lecz trzęsienie doróżki po bruku zadało mu cios ostatni. Osłabł zupełnie i omdlał dojeżdżając do hotelu. Gospodarz zobaczywszy w takim stanie człowieka i przytem licho ubranego', na żaden sposób przyjąć go nie chciał. Posłano po kommisarza policyi — obejrzano papiery. — *Emigrant!!!* Do szpitala więc z nim! Kto za niego zapłaci? kto się pogrzebem zajmie, jeśli umrze? W kieszeni nie wiele pieniędzy — w mantelzaku zapewne ich wcale nie ma!

Komisarz policyi kazał omdlałego pułkownika na gotowe u niego od wszelkiego wypadku nosze jak na mary złożyć i ponieść do pobocznego szpitala.

Lekarz dyżurny, i siostry miłosierne ocucili go po długiem staraniu. — Pułkownik przyszedł do przytomności i zrozumiał, że ostatnia zbliżyła się godzina. — Istotnie gangrena postępowała z zabójczą chyżością. — Pułkownik prosił więc, żeby coprędzéj posłano po księdza Karola Zorowskiego, mieszkającego w domu Lazarystów. Ten wkrótce przybiegł i ze swojéj strony posłał znowu po pana Alexandra i Marcina.

Na kwadrans przed północą ci ostatni stanęli w szpitalu, a pułkownik już był gotów do przyjęcia wiatyku.

Uklękli wszyscy w téj uroczystéj chwili. —Stary żołnierz — jak z całą rycerską i chrześciańską szczerością oddał się Bogu, tak też z ufnością i odwagą szedł ku niemu. Lecz potem ostatniem wysileniu osłabł zupełnie. Nanowo więc złożono głowę konającego na poduszkę, siostra miłosierna przybliżyła się z orzeźwiającym napojem, ksiądz Karol nachylił się żeby pilnować ostatniego odde-

chu, a Marcin osłupiał w rogu łóżka. Tymczasem Alexander wybiegł zobaczyć czy pani Stanisławowa nie nadjeżdża; odebrawszy bowiem wiadomość o stanie pułkownika, nie mógł był czekać na staruszkę już będącą w łóżku, tylko ruszył naprzod z Marcinem doróżką, a dla matki kazał założyć konie do pojazdu.

Ale Bóg raczył był chwilę jeszcze przedłużyć życia Prokopowi, żeby pożegnał wszystkich, co kochał i zostawiał po sobie na ziemi.

Ostatnie słowà wyrzeczone do ludzi — były dla Marcina i dla pani Stanisławowéj. — To też najdawniejsza — z Kujaw jeszcze znajomość — najszczersze przywiązanie dla nich było.

V

Nazajutrz koło jedenastéj godziny, Berniński nieco posępny siedział w szlafroku aksamitnym przy stole pana Oskara i wnuczki. Już resztki pasztetu, i połmisek po spałaszowanym byfszteku, wraz z innemi półmiskami odnoszono, a Cecylia

nalewała kawę i herbatę dla panów na końcu wyśmienitego śniadania, kiedy głośno zadzwoniono u drzwi.

— To zapewne pan Wacław, rzekł Oskar. Czy przyjmiesz go Cesiu?

— Niezawodnie! Ciekawam bardzo co się tak nadzwyczajnego wczoraj stało u pana Alexandra, żeby o północy latali po Paryżu — oni co zawsze w domu siedzą jak na pokucie.

Istotnie był to Wacław. Bez pytania wpadł do sali jadalnéj i przywitał pana Bernińskiego głośno, wesoło i żwawo. Cieszył się bardzo z jego przybycia, za rękę ściskał, wypytywał — zgoła traktował jak panicz poufały i popularny traktuje czasem starszych ludzi od siebie, zasługujących na jego łaskę.

Pan Berniński nie dbał o to. — Siedział ponury i brzdąkał pod nosem odpowiedzi synowi owego Wojewodzica, przed którym, dawnemi czasy, nie śmiał usiąść bez pozwolenia i zachęty.

— Szkoda że pan Wacław tak późno przyszedł, rzekł Oskar : bylibyśmy razem zjedli śniadanie. Jeszcze jest kawałek doskonałego pasztetu i herbata.

— Dziękuję ci bardzo kochany panie Oskarze.— Już jadłem śniadanie : — a żałuję, bo wolałbym z państwem kawy się napić, niż u Alexandra. Wpadłem dziś do nich rano jak Piłat w kredo.

— Dla czego tak? zawołała ciekawa Cecylia. Czy co nowego? Jakie polityczne nowiny? Pan Alexander taki zawsze czynny!

— Ach! on udaje tylko. Ale dziś mają doprawdy kłopot. E! pan znałeś go także... zdaje mi się? rzekł obracając się do Bernińskiego. — Berniński przymrużył oczy, i z kwaśną miną zapytał, kogoby takiego.

— Pułkownika Modliborskiego?

— Hem..... kiedyś go tam widziałem..... Ale... nie byłem w zażyłości.

— Wie pan co się z nim stało?

— Mnie ten pan nie obchodzi. Wstańmy — może przejdziem do salonu.

Berniński ruszył się z krzesła i szedł bez pytania naprzód, a Wacław przybliżając się do Cecylii kończył nowinę :

— Wystaw sobie pani, że dziś w nocy umarł w szpitalu.

— Umarł!..... nagle obracając się wykrzyknął Berniński.

— A tak i umarł. Ztąd rozgowor i harmider u Alexandra? bo go tam adorowano.

— I w szpitalu? dodał zamyślony Berniński.

— W szpitalu miłosierdzia. — Pokazuje się że w nocy przyjechał — ranny — chory — bez przytomności. Nie chciano go przyjąć do oberży i policya kazała go do szpitalu zanieść.

— Skończył..... w szpitalu!..... Ładna karyera!..... nie ma co mówić!

— Pan go znałeś jednak? Przypominam sobie, żem go raz spotkał u Pana. — Kiedyż to było?....

— O znałem! znałem! — Raczéj — za młodu znaliśmy się. — Z jednych stron..... potem..... w szkołach..... pamiętam. Ale to zawsze .... zawsze było... niespokojne indywiduum.—Skończył też.... no..... panie świeć mu na duszy, już też był nie młody człowiek. — A cóż kochany Oskarze? Chciałeś żebym twoje Angielczyki zobaczył? Pojedziemy może na spacer? Co?...

— Myślałem że dziadunio dziś rano trochę jeszcze zmęczony?

— O nie! nie! nic nie szkodzi! Zdawało mi

przed śniadaniem. Ale teraz — jakoś mi lepiéj. I owszem — trzeba świeżem powietrzem odetchnąć. W nocy trochę... trochę mi duszno było... Kochana Cesia! przybiegła do mnie!..... Ale teraz lepiéj... Trzeba się przewietrzeć. O któréj godzinie pojedziemy.

— Pojedziemy wszyscy razem kochany dziaduniu! odezwała się Cecylia : nie prawdaż? Dziś ładny czas — i potem — trzeba żebym pierwszy dzień pobytu dziadunia w Paryżu, przepędziła z nim cały... od rana do wieczora. — Wszak tak dziaduniu?

— Kochana Cesiuleczka!

— Czy za godzinę będzie gotów dziadunio? Czy nie zawczas?

— Zawczas dla mnie?... Dzieci! Oho! ja ranny ptaszek byłem całe życie! Więc... zobaczmy naprzód... która to już godzina... A! już jedenasta.— Dobrze tedy : — o południu będę gotów.

— Ja będę państwu konno towarzyszył, jeśli państwo pozwolą? rzekł Wacław.

I owszem -- i owszem kochany hrabio, zawołał dobroduszny dziadunio, i w najlepszym humorze — jakby podrygując — poszedł do swego pokoju.

— Za godzinę będę gotów! jeszcze raz u drzwi powtórzył.

— Jaki przyjemny staruszek, rzekł Wacław.

— Kochany dziadunio! odpowiedziała Cecylia.

— A jaka głowa! dodał Oskar. Sam wszystkie rachunki zawsze weryfikuje!

O dwunastéj godzinie pan Berniński — rumiany — wesoły — w świeżych żabotach, wszedł do salonu z kapeluszem w ręku, pogłaskał pod brodę Cecylią, powiedział jéj jakiś komplemencik, i zaczął gderać żartobliwym sposobem na guzdrającego się Oskara.

— Wacław jeszcze nie przyjechał, rzekł Oskar broniąc się.

— Wacław nas dogoni w bulońskim lasku, odpowiedziała żona.

— Chodźmy! zawołał Berniński żwawo.

Cecylia chciała podać mu rękę, lecz dziadunio umknął się żywo uśmiechając się:

— Idź asendźka naprzód! Jeszcze nogi mnie dobrze noszą. Jak się dochowasz syna, to mnie będzie prowadzał. Ale trzeba, żebym miał niedługo prawnuczka — rozumiesz asendźka!

Cecylia poskoczyła naprzód, zbiegła ze schodów, i siadła pierwsza do odkrytego powozu. Lokaj stał przy drzwiczkach. Dziadunio zestąpił z pierwszego schodu, a Oskar za nim jeszcze zapinał rękawiczkę. — W tém — rym — głową naprzód runął Berniński na dół i potoczył się aż za próg na ulicę. — Oskar zgapiał. — Cecylia skoczyła w pojeździe i rzuciła się przez drzwiczki niezamknięte do dziadka. — Wacław galopując stanął nagle i zeskoczył z konia. Ludzie się zbiegli z domu i z ulicy — podnoszą... ani drgnie — jakby Bóg piorunem raził! zabiła apoplexya.

VI

Marcin czekał w szpitalu, póki Alexander nie sprowadził trumny. Wtenczas — z księdzem Karolem we trzech chcieli sami — bez niczyjéj pomocy — oddać pułkownikowi wszystkie usługi, które ciało bez duszy, jeszcze od przyjaciół — krewnych — lub też najemników potrzebuje. — Pułkownika kieszenie w sukniach rzuconych w kąt szpitalu, były próżne; nie byłoby czem najemnika zapłacić; ale — jak do śmierci, tak i po śmierci,

nie brakło mu na przyjaciołach. — Marcin umył ciało na w pół wodą, na w pół łzami. Przy pomocy Karola i Alexandra zaniósł je do trumny, ręce na krzyż złożył, ozdoby wojskowe przygotował obok na poduszce i dopiero — wszystko opatrzywszy, koło dwunastéj wyszedł ze szpitalu rozstając się przed furtą z księdzem wracającym do klasztoru i z Alexandrem idącym do Luxemburgu.

Sam zatem Marcin — z pochyloną głową szedł do domu, smutny—zamyślony. — Kiedy niekiedy westchnął po drodze — kiedy niekiedy wąs ze łzy upadłéj otarł. — Tak doszedł do ulicy na któréj mieszkał. — Przybliżając się do domu pani Oskarowéj, już ustępował przed tłumem z trotoaru, kiedy spojrzawszy z rozstargnieniem przed siebie, ujrzał podniesione w téj chwili ciało Bernińskiego. — Drgnął na ten widok i stanął. Już Cecylii nie było. Oskar z Wacławem poprowadzili ją na górę. — Marcin rozstrącił tłum, przystąpił bliżéj i usłyszał głos doktora przypadkiem znajdującego się na ulicy : « apoplexya uderzyła — śmierć nagła — nie ma co robić ! — »

Marcin patrzał na trupa — zamyślił się : — « I tyś dziś skończył? rzekł do siebie powoli : nagłą śmiercią jak twój ojciec. Tamtego pan Piwo... ciebie Bóg od razu zgładził...! Dziwna rzecz!!! — Jakby naumyślnie przyjechał żeby razem z pułkownikiem skończyć..... i razem przed sąd stanąć!... »

« Florku Berniński! udawało ci się całe życie... nie udało na końcu!... »

« Inaczéj między nami skonał pułkownik. — »

« Sprawiedliwy Bóg!... »

« Różny był los wasz... i różna śmierć!... »

« Jaki będzie sąd!... »

Ciało ponieśli do appartamentów — Marcin zniknął z pośród tłumu.

We dwa dni późniéj, pani Stanisławowa, Zofia, Władyś, Teklunia — wszyscy czarno ubrani, siadali do zamkniętego powozu. — O parę kroków daléj, czerniał także cały front domu, gdzie mieszkała pani Oskarowa. — Trupie głowy, białe łzy powyszywane, pstrzyły śmiertelne obicie. — Liberya w żałobie kręciła się pode drzwiami.

Powóz pani Stanisławowéj ruszył. Dzieci zaczęły przypatrywać się ciekawie żałobnym przygotowaniom.

— To i tu ktoś umarł? zapytał Władyś.

— Pan Berniński, odpowiedziała matka.

Nie daleko Bastylii, powoz zaczął iść wolniéj, postępując zdaleka za trumną na prostym miejskim wozie żałobnym złożoną — otoczoną półtysiącem Polaków.

Ksiądz Karól szedł przed trumną z krucyfixem w ręku, a Marcin nieodstępny tuż za nią. — Pochylony starzec, oczy utkwił w ziemię i ciągle cicho płakał.

Alexander w pierwszym szeregu między braćmi tułaczami.

Tak przybyli do drzwi cmentarza — Otworzono. Wóz żałobny wtoczył się na piaszczystą ulicę; za nim postąpił Marcin i szeregi towarzyszów wygnania. Pojazd pani Stanisławowéj zatrzymał się na boku. Władyś wysiadł i pobiegł także na cmentarz: kobiety wychyliły głowy przez okienko powozu, ze łzami w oczach. — Grób był gotów tuż pod murem. Można było wszystko widzieć. — Kiedy zaczęło wieko trumny dudnić pod garściami ziemi, pani Stanisławowa rzuciła się w głąb' powozu, jak przed pięćdziesięcią laty po pożegnaniu, pod Warszawą — nie kryjąc już teraz żalu. —

Pożegnanie smutniejsze jeszcze, bo podróż dalsza! chociaż rozstanie zapewne mniéj długie! — Zofii obficie łzy ciekły po twarzy : milcząc koiła małą Teklunię która widząc, że mama i babunia płacze, serdecznie także szlochała.

W tem polacy — na różne podzieleni grupy, zaczęli — po kilku cmentarz opuszczać. — Władyś przybiegł i wsiadł na kozioł : powóz powoli zakręcił na miejscu i ruszył wolnym kłusem ku miastu.

O kilkaset krokow musiał ustąpić na brzeg drogi publicznéj, żeby przepuścić drugi wóz pogrzebowy. — Trumna bogato ubrana stała na wysokim katafalku. Za nią kilkanaście karet próżnych. — Z pierwszéj tylko wyglądał w żałobie, obok księdza w komży, rumiany i tłusty Oskar.

— Jaki ładny pogrzeb! — zawołała Teklunia.

— Zmów pacierz za duszę umarłego — to znajomy twego dziadka, rzekła pani Stanisławowa. Niech mu pan Bóg będzie miłosierny!

Pogrzeb pociągnął ku cmentarzowi, pani Stanisławowéj powóz ruszył znowu kłusem. — Niedaleko spotkano pędzący kabryolet. To Wacław.

— Już pochowano pułkownika? zawołał głośno mijając.

— Już panie hrabio — odpowiedział lokaj.

— Jaka szkoda! — spóźniłem się! — I ruszył za Bernińskiego trumną.

VII

Tu koniec części drugiéj naszéj powieści. — Jak w pierwszéj części musieliśmy się pożegnać z wielu aktorami ówczesnéj epoki; tak i tu także z panią Stanisławową i z poczciwym Marcinem także rozstać się nam przychodzi.

Pani Stanisławowa na wiosnę powróciła do kraju, a w rok późniéj skończyła tylu nieszczęściami doświadczone życie. — Wzór patryotyzmu i nieskażonych uczuć, żałowana od pól kujawskich po kijowskie błonia. Ofiara urojeń o wielkości i fałszywych pojęć o szczęściu, dobréj ale próżnéj i niebystrego rozumu Starościny, smutnie przepędziła żywot w pałacach i zamkach — zamiast szczęściem darzyć — sama szczęśliwa w jakim dworcu kujawskim wśród rodziny, krewnych i przyjaciół.

Chociaż — gdzie kiedy zapewnione szczęście na tym świecie? Ileż to razy, patrząc na ładną, wesołą, czule przez matkę pielęgnowaną, dorastającą dziewczynkę — myśl przyjdzie: « w co się ten ładny, od wszelkiéj skazy zachowywany kwiatek obróci? — »

Błogosławieństwo Boże, jeśli — mimo zawodów i goryczy świata; mimo upałów i chłodów młodzieńczego i podeszłego wieku, kwiat taki — więdnąc i opadając, potrafi w końcu, jak pani Stanisławowa, owoc pełen cnót i zasług Bogu ofiarować!

I Marcin nasz niedługo także pułkownika przeżył. W półtora roku po jego śmierci, umarł w domu pana Alexandra i tuż obok towarzysza i przyjaciela pochowany — daleko od parafii w któréj się był urodził; daleko od grobów ojca swego i opiekuna pana Marcina Piwo.

Już od śmierci Prokopa niewidziano go wesołym. Zginęły były figlarne uśmiechy i koncepta. — Wzdychał tylko, i jak niegdyś ojciec jego chrzestny, koronką i litaniami przez całe dnie się bawił.

Bóg zapewne raczył przebaczyć mu błędy młodości, pomny na zacne uczucia, poczciwe, kocha-

jące i wierne serce i na modlitwy ostatnich — smutnych chwil jego.

Poszedł do ojców za Prokopem i panną Starościanką, którą także serdecznie kochał, a przez kilka miesięcy rzewnie opłakiwał — bo Bóg zdarzył, że on — Marcin Pomykalski — zamknął szereg naszych starych z Kujaw i Łęczyckiego znajomych, świat ten w krótkim przeciągu czasu, jeden za drugim opuszczających.

Jak daléj pędzili żywot, na tym padole płaczu, Alexander z Zofią, Władysiem i Teklunią? Co się stało z Zorowskimi, księdzem Karolem i Prokopem? jeśli nam pan Bóg jeszcze jakiś czas życia dozwoli... zobaczymy może.

KONIEC POWIEŚCI.

REJESTR.

Rozdział	I.	Nowe pokolenie.	1
Rozdział	II.	Karol.	41
Rozdział	III.	Kilka słów o dawnych znajomych. — Wieczór proszony.	81
Rozdział	IV.	Emigranci na prowincyi.	129
Rozdział	V.	Emigrancka gościnność.	181
Rozdział	VI.	Różny los.	229
Rozdział	VII.	Piękna starość.	287
Rozdział	VIII.	Pułkownik.	345